

VICTORIA
AVEYARD



PRZEKŁĘTA
KORONA

NIE MA NIC GORSZEGO
NIŻ NIEPOWIEDZIANA HISTORIA

moondrive

VICTORIA
AVEYARD

PRZEKŁĘTA
KORONA

tłumaczenie
Maria Smulewska-Dziadosz

moondrive

Kraków 2017

PIEŚŃ KRÓLOWEJ

Julian dał jej książkę – jak zawsze.

Jak w zeszłym roku i jak dwa lata temu, i jak w każde święta czy z jakiegokolwiek innej okazji, jaką udało mu się wymyślić między urodzinami siostry. Miała już całe półki pełne tych tak zwanych prezentów. Niektóre były nawet szczerze dane, inne stanowiły tylko sposób na zrobienie miejsca w bibliotece, którą nazywał swoją sypialnią. Stosy książek piętrzyły się tam w tak ryzykownych konstrukcjach, że nawet koty nie były pewne, czy bezpiecznie jest się prześlizgiwać przez owe labirynty. Tematy były różne – od powieści przygodowych o Prerii po zbiory nadętych wierszy o nudnym królewskim dworze, którego obydwójce unikali za wszelką cenę. „Dobre na podpałkę”, mówiła Coriane za każdym razem, gdy zostawiał jej kolejne niestrawne tomiszczce. Raz, na dwunaste urodziny, dał jej jakiś prastary tekst spisany w języku, którego nawet nie знаła. I którego – jak podejrzewała – on także tak naprawdę nie rozumiał.

Mimo że nie znosiła prawie wszystkich podarowanych przez brata książek, rozrastającą się biblioteczkę trzymała starannie ułożoną na półkach, w alfabetycznej kolejności, z równo ustawionymi skórzanymi grzbietami, żeby było widać tytuły. Większość stała tam nawet nietknięta, nigdy nieotwarta, nieprzeczytana, czego Julian nie mógł pojąć. Brakowało mu słów (a to zdarzało się rzadko), by opisać tę tragedię. Nie ma nic gorszego niż nieopowiedziana historia. A jednak Coriane tak je właśnie przechowywała – zawsze pieczołowicie odkurzone, wręcz wypolerowane. Ich złote litery lśniły w mglistym świetle lata i w zimowej szarzyźnie. W każdej nabazgrane było: „Od Juliana”, i to te dwa słowa ceniła sobie niemal nade wszystko. Ważniejsze były tylko te prawdziwe prezenty – podręczniki i instrukcje obsługi opakowane w plastik i wciśnięte między strony jakiejś genealogii czy encyklopedii. Kilka trzymała nawet pod materacem, żeby móc je sobie wyciągnąć w nocy i zgłębiać łapczywie techniczne schematy i opisy maszyn. Wszystko o tym, jak budować, jak psuć i jak konserwować transportowce, odrzutowce, telegrafy, a nawet żarówki i kuchenki.

Jej ojciec oczywiście tego nie pochwalał. Srebrna, córka Szlachetnego Domu, nie powinna przecież mieć palców powalanych olejem silnikowym, paznokci poniszczonych „pożyczonymi” narzędziami, a oczu zaczerwienionych od nocnego zgłębiania nieodpowiedniej literatury. Harrus Jacos zapominał jednak zawsze o swoich zastrzeżeniach, gdy tylko ekran w bawialni nagle się buntował, syjąc snopy iskier i ukazując tylko jakieś mazaje. „Zrób coś, Cori!” Wtedy wykonywała jego polecenie, za każdym razem łudząc się, że wreszcie go to przekona. Jednak już kilka dni później znów obśmiewał jej talent do majsterkowania, a zupełnie zapominał o tym, że go poratowała w potrzebie.

Dobrze, że teraz go nie było. Wyjechał do stolicy pomóc ich wujowi, lordowi Jacos. Dzięki temu mogła spędzić urodziny z osobami, które naprawdę kochała – z bratem Julianem i z Sarą Skonos, która przyjechała specjalnie na

tę okazję. „Piękniejsza z każdym dniem”, pomyślała Coriane o przyjaciółce. Nie widziały się od miesięcy, a dokładniej odkąd Sara skończyła piętnaście lat i przeniosła się na stałe na dwór królewski. Nie było to może znowu aż tak długo, a jednak dziewczyna wydawała się zupełnie odmieniona. Jej kości policzkowe były teraz ostro zarysowane pod jakby bledszą niż dawniej, niemal wysaną z krwi skórą. A szare oczy – niegdyś jasne jak gwiazdy – stały się mroczne, pełne czających się w nich cieni. Tylko uśmiech pozostał taki sam – wciąż pojawiał się, gdy tylko była w towarzystwie Jacosowych dzieci. „Właściwie to w towarzystwie Juliana”, pomyślała Coriane. Jej brat za to nic a nic się nie zmienił – uśmiechał się równie szeroko jak zawsze i trzymał na dystans, który zdradzał więcej, niżby chłopak chciał. Widać było, że przy Sarze jest świadom każdego swojego ruchu. A Coriane z kolei wyczuwała każdą myśl brata. Miał już przecież siedemnaście lat, wiek w sam raz na oświadczyzny. Siostra podejrzewała, że to kwestia najdalej kilku miesięcy.

Oczywiście nie zadał sobie trudu opakowania prezentu. Bo też i był on piękny sam w sobie. Oprawiona w skórę księga, z żółto-złotymi pasami domu Jacos i wytłoczoną na okładce Płonącą Koroną Norty. Na grzbiecie nie było jednak tytułu. I na przodzie też nie. Coriane od razu wiedziała też, że tym razem nie znajdzie między kartkami żadnej ukrytej instrukcji obsługi. Spojrzała na brata spode łba.

– Chociaż ją otwórz, Cori – poprosił Julian, nim zdążyła cisnąć książkę na mizerną stertę prezentów. Wszystkie one stanowiły tak naprawdę ukryte obelgi: rękawiczki, by ukryć „plebejskie” dłonie, niepraktyczne suknie odpowiednie na dwór, na który nie zamierzała się wybrać, oraz otwarte już pudełko ze słodyczami, których według ojca nie powinna jeść. Te znikną jeszcze przed kolacją.

Coriane wykonała polecenie brata i otworzyła książkę. Była pusta. Kremowe strony były zupełnie czyste. Zmarszczyła nos, nawet nie próbując udawać siostrzanej wdzięczności. Przy Julianie nie musiała kłamać, zresztą i tak by ją przejrzał. Poza tym nie było przy nich nikogo, kto by ją zbeształ za takie zachowanie. „Matka nie żyje, ojciec wyjechał, a kuzynka Jessamine na szczęście jeszcze śpi”. W sali ogrodowej byli więc tylko oni – Julian, Coriane i Sara. Trzy koraliki grzechoczące w zakurzonym słoju posiadłości Jacosów. Pomieszczenie ziało pustką, która doskonale odzwierciedlała zawsze obecną, nieznośną tęsknotę w sercu Coriane. Wysokie okna wychodziły na zarośnięty ogród różany, który od dobrych dziesięciu lat nie widział żadnego Strażnika Zieleni. Podłoga aż się prosiła o pozamiatanie, a złote zasłony były szare od kurzu i pajęczyn. Nawet obraz wiszący nad ubrudzonym sadzą marmurowym kominkiem stracił złotą ramę – sprzedano ją już dawno temu. Mężczyzna gapiący się na nich z nieoprawionego płótna był dziadkiem Coriane i Juliana. Janus Jacos na pewno byłby przerażony stanem rodzinnej posiadłości. Biedni arystokraci próbujący ugrać cokolwiek na

starym nazwisku i tradycjach, a tymczasem ubożający z każdym rokiem.

Julian roześmiał się tym swoim charakterystycznym śmiechem, który w czuły sposób sygnalizował, że kończy mu się już cierpliwość do ukochanej młodszej siostry. Był od niej dwa lata straszny i każda okazja była dobra, by przypomnieć jej o swojej wyższości pod względem wieku i intelektu. Przypomnieć delikatnie oczywiście, ale jednak.

– To dla ciebie, żebyś zaczęła pisać – wyjaśnił, wskazując jej puste strony długimi, smukłymi palcami. – Spisywać swoje przemyślenia, to, co robiłaś w ciągu dnia.

– Wiem, co to pamiętnik – odburknęła, zatrzaszkując książkę. Nie miał jej tego za złe, nie obraził się. Rozumiał ją lepiej niż wszyscy. „Nawet jeśli czasem gadam, co mi ślina na język przyniesie”. – Ale moje dni raczej nie są warte opisywania.

– Bzdura. Jesteś nawet dość interesująca, jeśli się tylko postarasz.

Uśmiechnęła się.

– Coś ci się poczucie humoru wyostrzyło, Julianie. Czyżbyś w końcu znalazł podręcznik, który by uczył tej sztuki? – Spojrzała na Sarę. – A może ktoś ci udziela korepetycji?

Julian zawstydzził się natychmiast, jego policzki napłynęły srebrną krwią i stały się dosłownie błękitne, ale Sara zareagowała błyskawicznie.

– Jestem Uzdrowicielką, a nie cudotwórczynią – rzuciła melodyjnym głosem.

Ich śmiech poniósł się echem i na jedną cudowną chwilę wypełnił pustkę domu. W kącie odezwał się stary zegar, złowieszczo ostrzegając, że minuty Coriane są policzone. Zaraz pojawi się tu kuzynka Jessamine.

Julian wstał szybko i rozciągnął swoje patykowate ciało, które powoli nabierało męskości. Powinien jednak jeszcze sporo urosnąć – i w górę, i wszcz. Coriane z kolei już od kilku lat była tego samego wzrostu i nic nie wskazywało na to, by jej wygląd miał się zmienić. Była pospolita w każdym calu – od niemal bezbarwnych niebieskich oczu aż po przyklapnięte kasztanowe włosy, które jakoś nijak nie chciały urosnąć dalej niż do ramion.

– Nie będziesz ich jadła, prawda? – powiedział i sięgnął po słodycze, ale trzepnęła go po ręce. „W nosie mam etykietę. Cukierki są moje”. – No, no – burknął ostrzegawczo. – Bo powiem Jessamine.

– Nie ma takiej potrzeby – piskliwy głos podstarzałej kuzynki poniósł się echem, gdy stanęła między kolumnami przy wejściu do bawialni.

Coriane aż syknęła z irytacji. Zacisnęła powieki i spróbowała siłą woli po prostu unicestwić Jessamine Jacos. „To na nic. Nie jestem przecież Szeptaczką, tylko Pieśniarką”. A zresztą nawet gdyby starła swoje marne moce z Jessamine, z pewnością nie skończyłoby się to dobrze. Choć kuzynka nie była już młoda, jej

głos i umiejętności nadal były ostre niczym bicz – i potrafiła być o wiele szybsza niż Coriane. „Lepiej z nią nie zadzierać, bo każe mi szorować podłogi, i to z uśmiechem na ustach”.

Coriane zmusiła się więc do uprzejmego uśmiechu i odwróciła w stronę kuzynki opierającej się na zdobionej klejnotami lasce. Był to jeden z bardzo niewielu pięknych przedmiotów w tym domu. I oczywiście należał do najbrzydszej osoby. Jessamine od dawna nie chodziła do Srebrnych Uzdrowicieli Ciała, by – jak to sama ujmowała – „przyzwoicie się zestarzeć”. Rodziny nie było już stać na takie zabiegi u najbardziej utalentowanych Uzdrowicieli z domu Skonos, ani nawet na terminujących u Uzdrowicieli Ciała ludzi niższego stanu. I dlatego skóra Jessamine była obwisła, szara, blada, z fioletowymi plamami na pomarszczonych dłoniach i szyi. Na głowie miała dziś cytrynową, jedwabną chustę, która ukrywała jej siwe, rzadkie włosy, a do tego włożyła długą suknię w tym samym kolorze. Doskonale potrafiła ukryć jej obżarte przez mole krawędzie. Zresztą w ogóle tworzenie iluzji było jej specjalnością.

– Bądź tak dobry i zanieś to do kuchni, Julianie – powiedziała, wskazując długim niczym szpon paznokciem pudełko z łakociami. – Służba będzie ci niezmiernie wdzięczna.

Coriane z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem. Dumne określenie „służba” nie wydawało się adekwatne, skoro w rzeczywistości odnosiło się do jednego Czerwonego, który pełnił funkcję lokaja i był chyba jeszcze starszy niż Jessamine – w każdym razie nie miał już nawet zębów – oraz kucharza i dwóch pokojówek, które jakimś cudem miały dbać o całą posiadłość. Te ostatnie może i ucieszyłyby się ze słodyczy, ale przecież Jessamine nie zamierzała im ich dać. „Pewnie wylądują w śmietniku. Albo może raczej w jej pokoju”.

Mina Juliana wskazywała na to, że podzielał zdanie siostry. Jednak spieranie się z Jessamine było z zasady równie bezowocne jak drzewa w ich starym sadzie.

– Oczywiście, proszę kuzynki – wymamrotał grobowym głosem.

Posłał siostrze przepaszające spojrzenie, a ona odpowiedziała słabo ukrywaną wściekłością. Patrzyła z pogardą, jak podaje ramię Sarze, a drugą ręką chwyta rzekomo nieodpowiedni dla siostry podarek. Oboje chcieli jak najszybciej wymknąć się z terenu Jessamine, choć żał im było zostawiać Coriane na pastwę starej kuzynki. A jednak to właśnie zrobili. Wymknęli się z bawialni i dziewczyna została sama.

„Świetnie, zostawcie mnie. Jak zawsze”. Nic już teraz nie chroniło jej przed Jessamine, która jakiś czas temu za punkt honoru postawiła sobie wychować ją na godną córkę domu Jacos. Godną, czyli taką, która siedzi cicho.

Tak samo zresztą zostawią ją na pastwę ojca, gdy tylko wróci z dworu po tym długim czekaniu na śmierć wuja Jareda. Przywódca domu Jacos, gubernator regionu Aderonack, nie miał własnych dzieci, toteż jego tytuły odziedziczył brat,

a po nim Julian. Ściśle rzecz biorąc, już nie miał dzieci. Bliźniaki Jenna i Caspian zginęły w wojnie lakelandzkiej, a ich ojciec został bez spadkobierców i bez woli życia. Ojciec Coriane miał więc wkrótce przejąć rodowe funkcje, była to tylko kwestia czasu. Przy czym najwyraźniej czasu akurat nie zamierzał marnować. Coriane uważała, że jego zachowanie jest co najmniej obrzydliwe. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła tak się zachować wobec Juliana, choćby nie wiadomo jak ją rozgniewał. Stać tak nad nim i czekać, aż wreszcie umrze. Było to tak okropne i pozbawione miłości, że robiło jej się słabo na samą myśl. „Ale też ja w ogóle za nic nie chciałabym stać na czele naszego rodu, a tymczasem ojcu może i brakuje taktu, ale na pewno nie ambicji”.

Pojęcia nie miała, co zamierzał zrobić z tym nowym stanowiskiem. Dom Jacos był przecież mały i w ogóle się nie liczył. Nie zarządzał niczym ważnym i nie miał wiele, poza ich niby-szlachetną krwią. Oraz kuzynką Jessamine, która, trzeba jej to przyznać, robiła, co mogła, by wszyscy udawali, że ich sytuacja wcale nie jest tragiczna.

Teraz usiadła z gracją, której można by się spodziewać po kimś o połowę od niej młodszym, i stuknęła laską w brudną podłogę.

– To niedorzeczne – syknęła, wskazując wirujący w promieniach słońca kurz. – Jakże trudno w dzisiejszych czasach o dobrą służbę.

„Szczególnie, jeśli kogoś na nią nie stać”, zakpiła sobie Coriane w myślach.

– W rzeczy samej, proszę kuzynki. Bardzo trudno.

– Cóż, podaj mi je. Zobaczmy, co ci tam Jared wysłał.

Jej szponiasta dłoń wyciągnęła się chciwie. Coriane aż się wzdrygnęła. Przygryzła wargę, żeby jej się nie wymsknęło nic głupiego. Uniosła dwie suknie, które dostała od wuja, i rozłożyła je na sofie, gdzie przysiadła Jessamine.

Kuzynka przyglądała im się mniej więcej tak, jak Julian swoim ukochanym księgom. Sprawdziła szwy, obejrzała dokładnie koronkę, pomacała materiał, oberwała jakieś zupełnie niewidoczne nitki, które widać w jej mniemaniu wychodziły z obu złotych sukni.

– Ujdą – mruknęła po dłuższej chwili. – Choć mogłyby być nowsze. Wyszły już nieco z mody.

– Kto by pomyślał – wyrwało się Coriane, nim się zdążyła ugryźć w język.

Buch. Laska uderzyła w podłogę.

– Sarkazm nie przystoi damie.

„Jakoś każda dama, jaką miałam wątpliwą przyjemność poznać, szafowała sarkazmem na lewo i prawo. Ciebie nie wyłączając. O ile da się ciebie nazwać damą”. Prawda była zresztą taka, że Jessamine nie była na dworze królewskim od co najmniej dziesięciu lat. Nie miała pojęcia, jaka teraz obowiązuje moda, a gdy wypięła za dużo ukochanego dżinu, nie pamiętała nawet, jaki król zasiada obecnie na tronie.

– Tyberiasz Szósty? Piąty? Nie, na pewno jeszcze Czwarty, stary płomień tak łatwo się nie wypala.

I Coriane musiała jej wtedy delikatnie przypomnieć, że obecnie panuje Tyberiasz Piąty. Dopiero jego syn, książę koronny, stanie się – kiedy umrze jego ojciec – Tyberiaszem Szóstym. Jednak ponieważ wszem i wobec wiadomo było, że książę ma słabość do wojaczki, Coriane podejrzewała, że pewnie nie dożyje koronacji. Cała historia Norty sprowadzała się właściwie do długiej listy nieustraszonych bohaterów z domu Calore, którzy ginęli jak muchy, choć dotąd byli to głównie jacyś młodszy bracia lub kuzyni. Coriane miała nawet cichą nadzieję, że książę zginie, bo ciekawa była, co by się wtedy stało. Z tego, co wiedziała, nie miał rodzeństwa, a kuzyni z domu Calore byli nieliczni i – jeśli wierzyć wiadomościom przekazywanym jej przez Jessamine – słabi. Już od stulecia Norta walczyła z Lakelandczykami, teraz wyglądało jednak na to, że grozi im jeszcze jedna wojna, tym razem domowa, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu – wojna między Szlachetnymi Domami o tron. Nie żeby dom Jacos w ogóle się miał po co w to angażować. Jego zupełny brak znaczenia na arenie politycznej był takim samym pewnikiem jak przynudzanie kuzynki.

– Cóż, jeśli wierzyć słowom twego ojca, suknie te przydadzą ci się już niebawem – stwierdziła Jessamine.

Odłożyła dary od krewnego i nie przejmując się zupełnie wczesną porą ani obecnością Coriane, wyjęła z zakamarków sukni szklaną piersióweczkę dzinu i pociągnęła zdrowo. Zapachniało jałowcem.

Coriane zmarszczyła brwi i podniosła wzrok znad nowych rękawiczek, które usiłowała właśnie włożyć.

– Wuj źle się czuje?

Buch.

– Co za głupie pytanie. Dobrze wiesz, że już od lat źle się czuje.

Coriane oblała się srebrnym rumieńcem.

– Chciałam powiedzieć: „gorzej”. Czy gorzej się czuje?

– Harrus tak uważa. Jared nie wychodzi już ze swoich komnat, coraz rzadziej bywa na bankietach, zebraniach administracyjnych i posiedzeniach rady gubernatorów. Twój ojciec musi go zastępować coraz częściej. Nie mówiąc już o tym, że twój wuj uparł się przepić całą zawartość szkatułu domu Jacos. – Kolejny łyk dzinu. Coriane o mało nie prychnęła. – Jak można być takim egoistą?

– Rzeczywiście. Jak można – zgodziła się dziewczyna. „Nawet nie złożyłaś mi życzeń urodzinowych”. Ale oczywiście nie poruszyła tego tematu. Zawsze przykro usłyszeć, że się jest niewdzięcznicą, nawet jeśli obelga padnie z ust tak wrednej osoby.

– Kolejna książka od Juliana, no tak. O! Rękawiczki. Piękne. Harrus dobrze zrobił, że posłuchał mojej rady. A co dostałaś od Skonos?

– Nic.

„Jeszcze nic”. Sara kazała jej poczekać. Powiedziała, że jej prezent nie powinien wylądować na stercie z pozostałymi.

– Nic?! I śmie siedzieć tutaj, jeść nasze pożywienie, zajmować miejsce...

Coriane bardzo się skupiła na tym, by słowa Jessamine przeleciały obok niej jak chmury po niebie w wietrzny dzień. Starła się myśleć o tym, co czytała wczoraj w nocy. „Akumulatory. Katody i anody. W przeciwieństwie do ogniów pierwotnych, które należy po użyciu wyrzucić, ogniwa wtórne można ładować wielokrotnie...”

Buch.

– Tak, proszę kuzynki?

Starucha wpatrywała się w nią okropnymi oczami, jej wściekłość widać było w każdej zmarszczce.

– Nie robię tego dla własnej przyjemności, Coriane.

– No, z pewnością też nie dla mojej – odparowała dziewczyna.

Jessamine zarechotała złośliwie w odpowiedzi.

– A więc tak ci się wydaje? Że dla rozrywki siedzę tu i znoszę te twoje fochy? Musisz przestać wciąż myśleć o sobie, Coriane. Poświęcam się dla dobra domu Jacos, dla dobra nas wszystkich. Wiem, że stać nas na więcej. I pamiętam aż za dobrze czasy, gdy mieszkaliśmy na dworze, gdy negocjowaliśmy traktaty, gdy królowie Calore uważali nas za równie niezastąpionych jak ogień. Pamiętam. Nie ma większej kary niż pamięć. – Obracała w dłoni laskę, automatycznie licząc palcem klejnoty, które polerowała co wieczór. Szafiry, rubiny, szmaragdy i pojedynczy diament. Coriane nie wiedziała nawet, czy kuzynka dostała je od jakiegoś zalotnika, krewnego czy przyjaciela. Lecz z pewnością były jej największym skarbem, a oczy staruchy lśniły takim samym blaskiem jak kamienie. – Twój ojciec wkrótce będzie stał na czele domu Jacos. A po nim twój brat. Najwyższy czas, byś znalazła sobie własnego lorda. Chyba że wolisz zostać tu na zawsze?

„Jak ty”. Sugestia była dość jasna. Nagle coś ścisnęło Coriane za gardło. Zdołała tylko pokręcić głową. „Nie, Jessamine. Nie chcę tu zostać. Nie chcę stać się taka jak ty”.

– Dobrze – syknęła Jessamine, znów uderzając laską. – Zaczynamy więc.

*

Wieczorem Coriane siadła do pisania. Pióro sunęło po stronach pamiętnika od Juliana, brocząc atramentem jak krwią. Pisała o wszystkim. O Jessamine, o ojcu, o Julianie. O tej rozpaczliwej świadomości, że brat ją opuści, by ratować się jakoś przed nadciągającym huraganem. Ma przecież teraz Sarę. Tuż przed kolacją przyłapała ich na pocałunku. Zmusiła się do uśmiechu, nawet udawała, że

chichocze na widok ich rumieńców i nieporadnych wyjaśnień, ale w głębi duszy była załamana. „Sara była moją najbliższą przyjaciółką. Była jedyną osobą, która należała do mnie”. Ale to już przeszłość. Sara odsunie się od niej, tak jak i Julian. A Coriane zostanie sama w tym zakurzonej, zapomnianym przez wszystkich domu, skazana na swoje zapomniane życie.

Bez względu na to, co wygadywała Jessamine o przyszłości Coriane, dziewczyna wiedziała, że wszystko to wysane z palca kłamstwa i nie da się już nic zrobić. „Nikt nie weźmie mnie za żonę, a w każdym razie nikt, za kogo chciałabym wyjść”. Pogodziła się już z tą okrutną prawdą. „Nigdy nie opuszczę tego miejsca – napisała. – Te złote ściany staną się moim grobowcem”.

Jared Jacos miał dwa pogrzeby.

Pierwszy odbył się w mglisty, deszczowy wiosenny dzień na dworze w Archeonie.

Drugi zaplanowano na tydzień później w jego posiadłości w Aderonack. Ciało miało zostać złożone w rodzinnym grobowcu, w marmurowym grobie, za który zapłacono jednym z klejnotów z laski Jessamine. Szmaragd został na oczach Coriane, Juliana i ich podstarzałej kuzynki sprzedany kupcowi ze Wschodniego Archeonu. Jessamine miała nieobecny wyraz twarzy, nawet nie patrzyła na zielony kamień, gdy przechodził z ręki nowego przywódcy domu Jacos w łapy Srebrnego jubilera. Coriane wiedziała dobrze, że to ktoś z plebsu. Jego ubrania nie wskazywały na przynależność do żadnego znaczącego domu, a jednak był na pewno zamożniejszy od nich – bogato odziany, obwieszony biżuterią. „Może i należymy do arystokracji, ale ten człowiek mógłby kupić całą naszą rodzinę, gdyby tylko mu się zachciało”.

Zgodnie ze zwyczajem rodzina przywdziała żałobę. Coriane musiała pożyczyć czarną suknię – jedną z obrzydliwych szmat Jessamine, bo kuzynka widziała już oczywiście niejednego pogrzeb w domu Jacos. Dziewczynę wszystko swędziało w tym okropnym kostiumie, ale szła idealnie wyprostowana, gdy wyszli od kupca i podążyli w stronę wielkiego mostu nad rzeką Capital. Łączył on obie części miasta. „Jessamine zbeształaby mnie albo od razu uderzyła, gdybym tylko się podrapała”.

Nie była to pierwsza wizyta Coriane w stolicy, nawet nie jej dziesiąta. Była tu już wiele razy, zwykle z polecenia wuja – by okazać tę jakże wątpliwą siłę domu Jacos. Głupcy. Tak naprawdę ich rodzina była nie tylko biedna, ale i mała, niknąca wręcz w oczach po śmierci bliźniąt. Gdzie im do rozrastających się drzew genealogicznych domów Iral, Samos, Rhambos czy innych. Były to bogate rody mogące spokojnie udźwignąć obowiązek utrzymywania rozlicznych krewnych. Miejsce wśród Szlachetnych Domów zapewniała im nie tylko szlachetna krew, ale i siła. To właśnie różniło je od domu Jacos. Jedyna nadzieja w tym, że ojciec Coriane, Harrus, znajdzie jakiś sposób, by udowodnić królowi i innym domom, że jest coś wart. Czyli w zasadzie Coriane nie miała nadziei. Region Aderonack znajdował się na pograniczu, był słabo zaludniony, za to nie brakowało tu lasów, których nikomu nie chciało się nawet ścinać. Nie mieli ani kopalni, ani młynów, ani choćby żyznej ziemi. W tej części świata nie było po prostu niczego, co mogłoby się do czegośkolwiek przydać.

W pasie przewiązała tę okropną suknię złotą szarfą, żeby jako tako wyglądać, choć nie miała złudzeń – na pewno nie prezentowała się modnie. Powiedziała sobie, że nic ją nie obchodzi szept na dworze, kpiny innych młodych dam, które patrzyły na nią z taką odrazą, jakby była jakimś robakiem, albo gorzej – Czerwoną. Wszystkie one były okrutne i głupie. Nie myślały o niczym innym jak

o Królewskiej Próbie. Choć to oczywiście nie do końca była prawda. Przecież Sara też należała do tych dam z dworu, czyż nie? Była córką lorda Skonos. Miała zostać Uzdrowicielką i dużo sobie obiecywano po jej talencie. Jeśli tylko się postara, będzie pewnie służyć rodzinie królewskiej.

– Wcale bym tego nie chciała – zwierzyła jej się Sara kilka miesięcy temu, gdy była u niej w odwiedzinach. – Czułabym, że tracę czas, gdybym miała całe życie poświęcić na leczenie palców zaciętych papierem i kurzych łapek. O wiele bardziej przydałabym się w okopach Duszni albo w szpitalach Corvium. Wiesz przecież, że tam codziennie giną żołnierze. Czerwoni i Srebrni. Umierają od bomb i kul Lakelandczyków właśnie dlatego, że ludzie tacy jak ja tkwią tutaj.

Oczywiście nie powiedziałyby tego nikomu innemu. A już na pewno nie swojemu ojcu. Takie słowa mogły paść tylko koło północy, gdy dziewczęta szeptały sobie o swoich marzeniach, nie bojąc się, że ktoś je usłyszy.

– Chciałabym budować – powiedziała Coriane swojej przyjaciółce w takiej właśnie chwili.

– Co budować?

– Odrzutowce, sterowce, transportowce, ekrany wideo... piekarniki! Nie wiem, Saro, sama nie wiem. Po prostu chciałabym... coś tworzyć.

Sara uśmiechnęła się, jej zęby błysnęły w księżycowej poświacie.

– Zbudować coś swojego? O to ci chodzi, Cori?

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś.

– Naprawdę rozumiem, dlaczego Julian aż tak cię lubi.

To natychmiast uciszyło Sarę i już po chwili smacznie spała. Ale Coriane leżała z szeroko otwartymi oczami, patrzyła na cienie na ścianie i myślała.

Teraz na moście, wśród kolorowego, jaskrawego chaosu zrobiła dokładnie to samo. Wokół przepływał tłum arystokratów, obywateli, kupców. Ich skóra była zimna, krok powolny, wzrok twardy i mroczny bez względu na kolor ich oczu. Oczu spijających światło poranka z łapczywością człowieka, który pije, choć ugasił już pragnienie; pije, choć inni umierają z braku wody. Pozostali byli oczywiście Czerwonymi, każdy z naznaczającą go opaską, niektórzy odziani w barwy swoich Szlachetnych Domów, jeśli jakiemuś służyli. Ich ruchy były zdecydowane, wzrok skupiony, każdy gest wskazywał na to, że spieszą się wykonać swoje zadania. „Przynajmniej mają w życiu jakiś cel – pomyślała Coriane. – A to już i tak więcej niż ja”.

Poczuła nagle przemożną chęć chwycenia się pierwszej z brzegu latarni, żeby chociaż nie odlecieć jak liść na wietrze. Albo nie wpaść w wodę jak kamień. Odlecieć, utonąć albo jedno i drugie. Wciąż dawać się targać jakimś siłom, na które zupełnie nie ma wpływu.

Na jej nadgarstku zacisnęły się nagle palce Juliana. Brat wziął ją pod ramię.

Trzymał mocno.

„To wystarczy – pomyślała i poczuła, że coś się w niej uspokaja. – Julian nie pozwoli mi zniknąć”.

Później niewiele zanotowała w pamiętniku na temat tego formalnego pogrzebu, wpis z tego dnia pełen był kleksów i wykreślonych słów. Z jej ortografią było już jednak coraz lepiej i stawała się coraz sprawniejszą pisarką. Nie napisała nic o zwłokach wuja Jareda, o jego skórze bielszej niż księżyc, bo w procesie balsamowania pozbawionej krwi. Nie odnotowała tego, że usta jej ojca drżały, zdradzając rozpacz, jaką w rzeczywistości odczuwał jednak po śmierci brata. W jej zapiskach nie było też wzmianki o tym, jak deszcz ustał akurat na wystarczająco długą chwilę, by odbyła się uroczystość, ani o tłumach lordów, którzy przybyli złożyć hołd zmarłemu. Nie zaprzętała sobie głowy odnotowaniem tego drobnego faktu, że obecni byli sam król oraz jego syn Tyberiasz o ciemnych brwiach i jeszcze ciemniejszym spojrzeniu.

„Wuja już z nami nie ma – zanotowała tylko. – I w pewnym sensie mu zazdroszczę”.

Potem jak zawsze schowała pamiętnik pod materac razem z innymi swoimi skarbami – narzędziami. Udało jej się zwinąć je jeszcze w domu, z nieużywanej od dawna szopy ogrodnika, i odtąd strzegła ich zazdrośnie. Dwa śrubokręty, młoteczek, jedno szczypce półokrągłe i klucz płaski tak zardzewiały, że prawie do niczego się nie nadawał. Ale tylko prawie. Był też zwój drutu, który udało jej się odzyskać z wiekowej, zapomnianej lampy stojącej w kącie. Podobnie jak posiadłość domu Jacos również ich kamienica w mieście rozpadała się ze starości. Było tu też okropnie wilgotno. Mokre ściany sprawiały, że czuła się, jakby schowała się przed burzą w jakiejś jaskini.

Wciąż miała na sobie czarną suknię i złotą szarfę, a jej rzęsy nie obeschły jeszcze (od deszczu, bo przecież była pewna, że nie łez), gdy do jej komnaty wpadła Jessamine. Oczywiście, żeby – jak to zwykle przed wszelkimi uroczystościami – pohisteryzować na temat jej wyglądu. Stara kuzynka robiła, co mogła, żeby dziewczyna jakoś wyglądała na dworze. Wczuwała się w to tak, jakby zależało od tego jej życie. „Bo i być może zależy. Być może naprawdę na dworze potrzebują nowej instruktorki etykiety. Być może ludzi się, że jeśli dokona jakiegoś cudu i przemieni mnie w damę, pozwolą jej uczyć dzieci arystokratów z kręgu króla. Nawet Jessamine zrobi wszystko, żeby się stąd wyrwać”.

– No już, dość tego mazgajstwa – ofuknęła młodszą kuzynkę, ocierając jej łzy chusteczką. Potem sprawnie umalowała je czarnym ołówkiem, żeby oczy Coriane zdawały się wyraźniejsze. Do tego fioletowoniebieski róż na policzki, tworzący złudzenie jakichkolwiek kości policzkowych. Na usta nic, bo Coriane nadal nie posiadała sztuki niebrudzenia sobie szminką zębów i niezostawiania jej na szklankach. – To musi wystarczyć.

– Tak, Jessamine.

Choć staruszka była zachwycona takim posłuszeństwem, nieco ją ono zastanowiło. Dziewczyna była mocno przybita, najwyraźniej za bardzo się przejęła tym całym pogrzebem.

– O co chodzi, moje dziecko? O suknię?

„Nic mnie nie obchodzi ani ten wyblakły jedwab, ani bankiet, ani wredny dwór. Mam to wszystko w nosie”.

– O nic, proszę kuzynki. Pewnie tylko trochę głód mi doskwiera. – Był to prosty manewr. Wystarczyło podsunąć Jessamine jedną swoją wadę, by ukryć inną.

– Ten twój nieznośny apetyt – odburknęła staruszka, przewracając oczami. – Pamiętaj, by jeść z umiarem, jak ptaszyna. Tak, żebyś zawsze miała jedzenie na talerzu. Po troszeczkę, po troszeczkę...

„Po troszeczkę, po troszeczkę...” Rada krewnej skrobnęła po czaszce Coriane, jakby ktoś przejechał jej po kości ostrym paznokciem. Zmusiła się jednak do uśmiechu, od którego aż bolały ją kąciki ust bólem podobnym do tego zadawanego przez słowa, przez deszcz, przez uczucie spadania prześladowające ją od tamtej chwili na moście.

Na dole już czekali na nią Julian i ojciec, skuleni przy dymiącym ogniu w kominku. Byli w identycznych garniturach – czarnych z bladozłotymi, ciągnącymi się od ramienia po biodro szarfami. Lord Jacos czule dotknął nowo nabytej ozdoby wpiętej w szarfę – bitego ze złota kwadratu tak starego jak jego dom. Trudno to było nawet porównywać z klejnotami, medalionami i odznakami innych gubernatorów, ale póki co wystarczy.

Julian pochwycił spojrzenie siostry i wyraźnie chciał puścić do niej oko, ale rozmyślił się na widok jej przygnębienia. Całą drogę na bankiet nie odstępował jej na krok, trzymał za rękę w wynajętym transportowcu, a potem wziął pod ramię, gdy przechodzili przez wielką bramę na placu Cezara. Pałac Białego Ognia, do którego podążali, rozciągał się na lewo od nich, zajmując większość południowej części brukowanego placu, gdzie aż się kłębiło od arystokracji.

Mimo sędziwego wieku Jessamine drżała z ekscytacji. Uśmiechała się i pozdrawiała skinieniem wszystkich, których mijali. Nawet machała niektórym, a rękawy jej czarno-złotej sukni powiewały wówczas zamasyście.

„Komunikacja za pomocą stroju – pomyślała bez przekonania Coriane. – Co za bzdura. Jak i zresztą cały ten absurdalny taniec, który skończy się jeszcze większym upokorzeniem dla domu Jacos. Po co opóźniać to, co nieuniknione? Po co w ogóle podejmować grę, skoro nie możemy jej wygrać?” Pojęcia nie miała. Jej mózg potrafił analizować zespoły obwodów elektrycznych, a nie niuanse intryg wyższych sfer. Tych drugich właściwie w ogóle nie ogarniała. Bo też nie dało się za nic zrozumieć logiki dworu Norty, tak zresztą jak i jej własnej rodziny. Ani nawet logiki Juliana.

– Wiem, o co poprosiłeś ojca – wymamrotała, ostrożnie kryjąc przy tym swoją brodę za jego ramieniem. Jego ubranie przytłumiło jej głos, ale nie aż tak, by mógł udawać, że jej nie usłyszał.

Poczuła, jak się spina.

– Cori...

– Muszę przyznać, że nie do końca rozumiem. Myślałam... – głos uwiązał jej w gardle. – Myślałam, że chcesz być z Sarą. Teraz, gdy i tak musimy się przenieść na dwór...

„Poprosiłeś, by pozwolił ci jechać do Delphie, żebyś mógł pracować tam z naukowcami na wykopalisku, zamiast zostać, być prawą ręką ojca i uczyć się od niego, jak stać na czele domu Jacos. Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego, Julianie?” A najgorsze pytanie, pytanie, którego nie miała nawet siły zadać, brzmiało: „Jak możesz tak mnie opuścić?”

Brat westchnął ciężko i ścisnął mocniej jej rękę.

– Bo chcę... Chcę z nią być. Ale...

– Ale co? Czy coś się stało?

– Nie. Nic. Ani dobrego, ani złego – dodał i wyczuła w jego głosie lekki uśmiech. – Ale wiem, że póki ja tu będę przy ojcu, ona nie opuści dworu. A tego nie mogę jej zrobić. To miejsce... Nie mogę pozwolić, by utknęła w tym wężowisku.

Coriane ścisnęło się serce na myśl o jej szlachetnym, altruistycznym, głupim bracie.

– A więc pozwolisz jej pojechać na front?

– Nie ma tu żadnego „pozwolisz”. Powinna móc sama o sobie decydować.

– A jeśli jej ojciec... jeśli lord Skonos się nie zgodzi? – „A na pewno się nie zgodzi”.

– Wtedy ożenię się z nią zgodnie z planem i zabiorę ze sobą do Delphie.

– Zawsze masz wszystko zaplanowane, co?

– W każdym razie staram się, żeby tak było.

Poczuła mieszankę radości – jej brat ożeni się z jej najlepszą przyjaciółką – i rozpaczy. „Oni będą razem, a ty zostaniesz sama”.

Palce Juliana znów zacisnęły się ciut mocniej na jej dłoni. Mimo mżawki były takie ciepłe.

– I oczywiście ciebie też do siebie sprowadzę. Chyba nie myślisz, że zostawiłbym cię na dworze, na pastwę ojca i Jessamine? – Potem pocałował ją w policzek i puścił do niej oko. – Za kogo ty mnie masz, Cori?

Zmusiła się do tak szerokiego uśmiechu, że jej zęby błysnęły bielą w światłach pałacu. Zrobiła to dla niego, choć nie podzielała jego optymizmu. „Jak możesz być tak mądry i tak naiwny jednocześnie?” Nie mogła tego pojąć i bardzo ją to smuciło. Nawet jeśli ojciec zgodzi się wysłać Juliana na nauki do Delphie,

w życiu nie zezwoli Coriane na taki sam wyjazd. Nie mogła się pochwalić ani wielkim intelektem, ani urokiem, ani urodą, ani nawet nie potrafiła walczyć. Jedyne pożytkiem, jaki ojciec mógł z niej mieć, to wydać ją za męża, żeby zyskać jakiegoś sojusznika. I nie uratują ją przed tym losem ani księgi brata, ani jego dobra wola.

Cały Pałac Białego Ognia był ozdobiony barwami domu Calore, każda alabastrowa kolumna zachwycała więc czernią, czerwienią i królewskim srebrem. Okna świeciły wewnętrznym blaskiem, a z głównego wejścia wylewał się na zewnątrz gwar przyjęcia. W drzwiach stali osobiści strażnicy króla, wszyscy w płomiennych pelerynach i maskach. Mijając ich, Coriane jeszcze mocniej zacisnęła palce na dłoni brata. Nie czuła się wcale jak dama wchodząca na przyjęcie, ale jak więzień prowadzony do celi.

Coriane starała się, jak mogła, by jeść po troszeczkę, po troszeczkę.

Miała jednak wielką chęć schować do kieszeni kilka złożonych widelców. Tylko że naprzeciwko siedział akurat dom Merandus, a wszyscy oni byli Szeptaczami, więc potrafili czytać w myślach i pewnie i tak już wiedzieli, co zamierzała zrobić. Wprawdzie Sara mówiła, że Coriane wyczuje, gdyby to robili, zauważy, jeśli któryś będzie próbował grzebać w jej głowie, ale na wszelki wypadek zachowywała czujność i starała się panować nad własnym mózgiem, przez co siedziała dziwnie cicha i blada, wpatrując się z uporem w talerz pełen rozbabranego, niezjedzonego posiłku.

Julian próbował jakoś odwrócić jej uwagę, tak zresztą jak i Jessamine, choć ta z pewnością nieświadomie. Po prostu robiła, co mogła, by przypochlebić się lordowi i lady Merandus, komplementując dosłownie wszystko – od pasujących do siebie strojów (garnitur lorda i suknia lady lśniły niczym rozgwieżdżone granatowe niebo) po wspaniałe dochody, jakie czerpali z ziem swoich przodków (w większości znajdujących się w Haven, w tym w Wesołym Mieście, czyli slumsach techników, które z pewnością do wesołych nie należały, co do tego Coriane nie miała złudzeń). Dom Merandus najwyraźniej zamierzał w miarę możliwości ignorować dom Jacos, skupiając się na rozmowach między sobą i obserwując uważnie podwyższony stół, przy którym ucztowała rodzina królewska. Coriane też spojrzała z ciekawością w tę stronę.

Pośrodku siedział oczywiście król Norty Tyberiasz Piąty. Wyprostowany opierał się o zdobne oparcie. Jego czarny mundur przepasany był jedwabnym, karmazynowo-srebrnym warkoczem, cały strój był nieznośnie wręcz idealny i dopasowany. Był to mężczyzna tak przystojny, że właściwie piękny – o oczach jak z płynnego złota i kościach policzkowych, które dosłownie wywoływały łzy u poetów. Nawet jego brodę, po królewsku usianą siwizną, przyszyrzyżono z idealną precyzją. Z tego, co mówiła Jessamine, podczas jego Królewskiej Próby doszło do prawdziwej jatki między damami, które pragnęły zostać jego królową. Widać żadnej jakoś nie przeszkadzało to, że król nie będzie jej kochał. Pragnęły tylko urodzić mu dzieci, stać się jego powierniczką i oczywiście dostać przy okazji własną koronę. I udało się to królowej Anabel, Niweczniczce z domu Lerolan. Teraz z uśmiechem siedziała po lewicy króla i nie spuszczała oczu ze swego jedyne go syna. Mundur miała lekko rozpięty, dzięki czemu widać było bogactwo klejnotów wiszących na jej szyi – czerwonych, pomarańczowych i żółtych kamieni, które przywodziły na myśl jej wybuchowe zdolności. Jej korona była mała, ale raczej nie dało jej się przeoczyć – grube pasmo różowego złota wysadzone czarnymi klejnotami, które błyskały przy każdym ruchu.

Ukochany króla miał na głowie podobną koronę, choć bez klejnotów. Nie wyglądał jednak, jakby go to martwiło. Z jego twarzy także nie schodził uśmiech, a palce zawsze miał splecione z królewskimi. Książę Robert z domu Iral. W jego

żyłach nie było ani kropli królewskiej krwi, ale z rozkazu króla już od dziesięcioleci nosił tytuł książęcy. Tak jak królowa obwieszony był klejnotami – niebieskimi i czerwonymi, by odpowiadały barwom jego domu. Rzuciły się one w oczy tym bardziej, że jego mundur był czarny, długie włosy hebanowe, a skóra nieskazitelnie brązowa. Jego śmiech był tak melodyjny, że niósł się echem po sali mimo gwaru rozmów rozlicznych gości. Coriane przemknęło przez myśl, że wygląda na dobrą osobę – co byłoby dość nietypowe u kogoś, kto tak dużo czasu spędził na dworze. Nawet trochę ją to pocieszyło, ale zaraz potem spojrzała na jego ród, który zasiadał obok niego – na ich surowe, bezlitosne miny, szybkie spojrzenia i zwierzęce uśmiechy. Usiłowała wygrzebać z pamięci ich imiona, ale przypomniawszy sobie tylko jedno – jego siostry. To wielmożna Ara. Stała na czele domu Iral i wyglądała odpowiednio do tego stanowiska. Teraz, zupełnie jakby wyczuła jej wzrok, spojrzała nagle swym ponurym wzrokiem prosto na Coriane i dziewczyna musiała popatrzeć gdzieś indziej.

Padło na księcia koronnego. Przyszłego Tyberiasza Szóstego, póki co po prostu Tyberiasza. Nastolatek był rówieśnikiem Juliana, na brodzie miał nierówny cień zarostu, który pewnie kiedyś będzie podobny do ojcowskiej brody. Najwyraźniej lubił wino, jeśli wnioskować po pustym kieliszku, który wciąż mu pospiesznie napełniano, oraz po srebrnym rumieńcu na policzkach młodzieńca. Przypomniawszy sobie, jak na pogrzebie jej wuja stał nad grobem w pozie posłusznego, opanowanego syna. Teraz uśmiechał się, swobodnie żartując z matką.

Na chwilę pochwycił jej wzrok i spojrzał nad ramieniem królowej Anabel na dziewczynę w starej sukni. Skinął jej lekko głową w odpowiedzi na jej zagapione spojrzenie, by zaraz potem wrócić do swoich wygłupów i wina.

– W głowie się nie mieści, że ona na to pozwala – powiedział jakiś głos po drugiej stronie stołu.

Coriane odwróciła się i zobaczyła, że Elara Merandus również patrzy na królewską rodzinę. Dziewczyna mrużyła oczy ze zdegustowania. Nosiła taki sam błyszczący, granatowy, wysadzany białymi klejnotami jedwab co rodzice, ale dla niej uszyto nie suknię, tylko kopertową bluzę z rozciętymi rękawami. Miała długie, niesamowicie wręcz proste włosy, które spływały jej niczym jasna zasłona na jedno ramię, odsłaniając ucho zdobione olśniewającymi, kryształowymi kolczykami. Zresztą cała była wręcz skrupulatnie idealna. Długie, ciemne rzęsy, skóra blada i nieskazitelna niczym porcelana, dosłownie wypolerowana, wyczelowana. Coriane i tak czuła się już bardzo niepewnie, ale teraz odruchowo poprawiła smętną złotą szarfę przewiazaną w talii. Gdyby tak mogła po prostu wyjść w tej chwili z sali i wrócić do domu.

– Mówię do ciebie, Jacos.

– Wybacz, jeśli mnie to zaskoczyło – odpowiedziała Coriane, starając się zapanować nad głosem. Elara raczej nie słyneła z uprzejmości. Właściwie to

z niczego nie słyszała. Choć ta Szeptaczka była córką potężnego lorda, Coriane jakoś niewiele o niej wiedziała. – Kogo masz na myśli?

Elara przewróciła wdzięcznie oczami.

– Królową, oczywiście. Nie mogę pojąć, dlaczego siedzi przy jednym stole z tą dziwką swojego męża, a już tym bardziej z jego rodziną. Co za zniewaga dla kobiety.

Coriane znów obejrzała się na księcia Roberta. Jego obecność wyraźnie uspokajała króla. Być może królowa rzeczywiście przejmowała się tym układem, ale jeśli tak, to zdecydowanie nie było tego po niej widać. W tej chwili akurat szeptali coś między sobą we trójkę. Natomiast zniknęli gdzieś królewicz i jego kieliszek.

– W życiu bym nie dopuściła do czegoś takiego – ciągnęła Elara, odsuwając zupełnie pusty talerz. „Przynajmniej ma dość odwagi, by jeść”. – A przy królu siedziałby mój dom, a nie jego. To przecież przywilej królowej.

„A zatem Elara planuje stanąć do Królewskiej Próby”.

– Oczywiście, że tak.

Coriane aż zadrżała w panice. „Czy ona właśnie...?”

– To chyba jasne. – Twarz Elary wykrzywiła się w kpiącym uśmiechu. To dotknęło Coriane do żywego i o mało nie spadła z krzesła ze zdumienia. Nic nie poczuła, nawet najmniejszego dotknięcia w głowie, żadnego znaku, że Elara słucha jej myśli.

– Ja... – wybąkała. – Przepraszam na chwilę.

Wstała na niepewnych nogach. W końcu siedziała na tym krześle od dobrych trzynastu dań. Ale jakoś udało jej się wstać i zrobiła to z własnej woli. „Pusta głowa, pusta, pusta”, myślała ze wszystkich sił, wyobrażając sobie białą ścianę, biały papier, białą nicłość. Elara patrzyła tylko i zakrywała usta dłonią. Chichotała z uciechy.

– Cori...? – usłyszała głos Juliana, ale brat jej nie powstrzymał. Jessamine też nie, przecież za nic nie chciałyby tu żadnej sceny. Ojciec natomiast zbyt był zajęty słuchaniem jakiegoś wywodu lorda Provosa, żeby w ogóle zwrócić na nią uwagę.

„Pustka, pustka, pustka”.

Szła równym krokiem, nie za szybko, nie za wolno. „Jak bardzo muszę się oddalić?”

„Bardziej”, usłyszała w głowie kpiący głos Elary. Mało się od tego nie potknęła. Drwiące słowo poniosło się echem po sali i po wnętrznościach dziewczyny – odbiło się od okien i jej kości, od żyrandoli i od krwi huczącej jej w uszach. „Jeszcze bardziej, Jacos”.

„Pustka, pustka, pustka”.

Dopiero gdy wyszła z sali bankietowej, uświadomiła sobie, że szepcze te

słowa, powtarza je niczym gorączkową modlitwę. Była już na korytarzu, szklane drzwi zamknęły się za nią. Przed nią znajdował się niewielki dziedziniec. Pachniało deszczem i słodkimi kwiatami.

– Pustka, pustka, pustka – mamrotała, wchodząc dalej w ogród.

Magnolie wyginały się w łuk z białych kwiatów i gęstych, zielonych liści. Prawie już nie padało, wystarczyło schować się pod drzewami, żeby skryć się przed ostatnimi kroplami burzy. Było chłodniej, niż się tego spodziewała, ale to jej nie przeszkadzało. Już nie słyszała w głowie głosu Elary.

Westchnęła i opadła na kamienną ławkę pod drzewami. Kamień był jeszcze chłodniejszy i aż się skuliła z zimna.

– W tym akurat mógłbym pomóc – odezwał się jakiś głęboki głos, a słowa były ciężkie, powolne.

Coriane obróciła się natychmiast w panice. Była niemal pewna, że to Elara ją tu dopadła. Choć przecież mógł to być Julian albo Jessamine, która na pewno chętnie zganiłaby ją za nagłe wyjście z sali. Ale postać stojąca kilka kroków od niej zdecydowanie nie była żadną z tych osób.

– Wasza Wysokość – wybąkała Coriane, zrywając się na równe nogi, żeby móc się odpowiednio pokłonić.

Królewicz stał nad nią w ciemności z kieliszkiem w jednej a butelką w drugiej dłoni. Odczekał uprzejmie, aż wykona swoje wygibasy, i nie skomentował ich jakości.

– Wystarczy – powiedział w końcu, dając jej znak, żeby wstała.

Pospiesznie wykonała rozkaz, wyprostowała się i spojrzała mu w twarz.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

– Może kieliszek wina, wielmożna panno? – spytał, choć już właściwie nalewał. Bo też trudno przecież o kogoś tak głupiego, by próbował odmówić królewiczowi Norty. – Nie jest to może płaszcz, ale jednak cię rozgrzeje. Szkoda, że nie mamy do dyspozycji whisky.

Coriane zmusiła się do kiwnięcia głową.

– Tak, szkoda – zgodziła się, choć w życiu nie miała w ustach tego brązowego trunku.

Drżącą dłonią przyjęła od niego pełny kieliszek. Jej palce musnęły jego. Skórę miał ciepłą jak rozgrzany na słońcu kamień. Zaskoczyło ją to, jak bardzo miała ochotę chwycić tę rękę. Zamiast tego wzięła łapczywy łyk wina.

On zresztą też, choć już prosto z butelki. „Co za nieokrzeseanie – pomyślała, patrząc na jego grdykę. – Gdybym zrobiła coś takiego, Jessamine chyba by mnie żywcem obdarła ze skóry”.

Książę koronny nie usiadł przy niej i zachowywał dystans, tak że czuła jedynie jego odległe ciepło. Dość, by wiedzieć, że jego krew jest gorąca nawet przy tak nieznośnej wilgotności powietrza. Zaczęła się nawet zastanawiać, jakim cudem

królewicz wytrzymuje w garniturze i się nie poci. W głębi duszy zamarzyła, by usiadł jednak przy niej, żeby mogła się przynajmniej ogrzać.

Takie zachowanie było jednak nie do pomyslenia, dla nich obojga.

– Jesteś bratanicą Jareda Jacosa, prawda? – Jego ton był uprzejmy, świadczył o dobrym wychowaniu. Pewnie od urodzenia chodził za nim krok w krok trener etykiety. Znow nie czekał nawet na jej odpowiedź. – Przyjmij moje kondolencje oczywiście.

– Dziękuję. Na imię mi Coriane – przedstawiła się, bo dotarło do niej, że o to nie spyta.

„Pyta tylko o to, co już i tak wie”.

Skinął głową.

– Tak. Pozwolisz, że oszczędzę nam tych wygłupów i nie będę się przedstawiał.

Wbrew zasadom etykiety Coriane po prostu się uśmiechnęła i wypila kolejny łyk wina, bo nie wiedziała, co ma zrobić. Jessamine nie dała jej zbyt wielu wskazówek w sprawie rozmów z członkami rodziny królewskiej, a już na pewno nie z księciem koronnym. Jedyne, co jej się teraz przypomniało, to złota zasada: „Mów tylko, gdy ktoś do ciebie mówi”, zacisnęła więc usta tak mocno, że aż została po nich cieniutka linia.

Tyberiasz parsknął śmiechem. Był już chyba lekko pijany i wyraźnie go tym ubawiła.

– Czy ty masz pojęcie, jakie to denerwujące, że muszę prowadzić dosłownie każdą rozmowę? – spytał wesoło. – Staram się gadać głównie z Robertem i rodzicami po prostu dlatego, że to mi idzie o wiele łatwiej niż wyciąganie z ludzi każdego słowa.

„Ale kicha”, przemknęło jej przez głowę.

– To bardzo niefortunne – powiedziała na głos tak skromnie, jak tylko się dało. – Być może, gdy już zostaniesz królem, będziesz mógł wprowadzić jakieś zmiany w etykiecie?

– Za dużo by z tym było roboty – mruknął między jednym łykiem wina a drugim. – I jakie to w zasadzie ma znaczenie w porównaniu... Prowadzimy przecież wojnę, jakbyś nie zauważyła.

Miał rację. Wino chyba już uderzyło jej do głowy, bo odparła:

– Wojnę? Gdzie? Kiedy? Nic o tym nie słyszałam.

Królewicz spojrział na nią zaskoczony. Coriane prychnęła cicho.

Wybuchnął śmiechem i machnął w jej kierunku butelką.

– Nawet na chwilę dałem się nabrać, panno Jacos.

Szeroko uśmiechnięty usiadł w końcu na ławce. Nie tak blisko, by jej dotykać, ale wystarczająco, by Coriane zamarła i straciła natychmiast ochotę do żartów. Udawał jednak, że tego nie zauważył, a ona robiła, co mogła, by sprawić

wrażenie spokojnej i opanowanej.

– A więc siedzę sobie w tym ogrodzie, bo rodzicom nie bardzo się podoba, jak się upijam na oczach całego dworu. – Czuła bijące od niego ciepło, tym większe, że teraz był wyraźnie poirytowany. Było to bardzo przyjemne uczucie, zwłaszcza że jeszcze przed chwilą siedziała zziębnięta na kość. – A ty co tu robisz? Czekał, niech zgadnę... Posadzono was z domem Merandus, co?

Zacisnęła zęby i skinęła głową.

– Ten, kto planował, jak usadzić gości przy stole, najwyraźniej mnie nienawidzi – mruknęła.

– Organizatorzy przyjęć nie nienawidzą nikogo, poza moją matką, oczywiście. Nie ma głowy do dekoracji, kwiatów, sadzania gości, a oni zawsze mają jej to za złe. Wyobrażają sobie, że zaniedbuje swoje królewskie obowiązki. Bzdura – dodał od razu. Kolejny łyk. – O wiele częściej niż ojciec bierze udział w naradach wojennych. I na pewno trenuje za nich dwoje.

Coriane pomyślała o królowej w mundurze, o licznych medalach na jej piersi.

– To niesamowita kobieta – powiedziała, bo nie przyszło jej nic innego do głowy. Przypomniały jej się uwagi Elary Merandus, jej zde gustowanie tym, że królowa jakoby się poddała.

– O tak. – Jego wzrok padł na jej pusty kieliszek. – Jeszcze odrobinę? – spytał i tym razem naprawdę poczekał na odpowiedź.

– Nie powinnam – przyznała, odstawiając kieliszek na ławkę. – Prawdę powiedziawszy, muszę już wrócić do środka. Jessamine, moja kuzynka, będzie na mnie wściekła. – „Oby tylko nie strzeliła mi dziś o to wszystko za długiego kazania”.

Niebo tymczasem stało się zupełnie czarne, chmury odpłynęły i ukazały się jasne gwiazdy. Wcale nie chciało jej się wychodzić z wytworzonej przez ciało księcia strefy ciepła. Wzięła głęboki wdech, napawając się zapachem magnolii, i wreszcie niechętnie wstała.

Tyberiasz zerwał się na równe nogi.

– Pozwolisz, że będę ci towarzyszył? – spytał, jak przystało dżentelmenowi, ale Coriane dojrzała w jego oczach niepewność, machnęła więc ręką.

– Nie, dzięki, po co miałabym ściągać karę na nas oboje.

– Mówiąc o karze... – Jego oczy błysnęły groźnie. – Następnym razem, gdy Elara znów będzie do ciebie szeptać, pokaż jej, gdzie raki zimują.

– Ale... Ale skąd wiesz, że ona...?

Przez jego twarz przemknęło nagle kłębowisko emocji, z których dużej części Coriane nie potrafiła nawet odczytać. Ale na pewno rozpoznawała wśród nich złość.

– Tak jak wszyscy zresztą, Elara dobrze wie, że już wkrótce mój ojciec

ogłosi Królewską Próbę. Głowę daję, że ta wredna baba pakuje się z łapami do mózgu każdej panny na wydaniu, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o swoich rywalkach i ofiarach. – Z podejrzaną szybkością wypił resztę wina. Butelka jednak nie była długo pusta. Coś zamigotało na jego nadgarstku, posypały się żółte i białe iskry. W butelce zapłonął płomień, który przez chwilę wypalał ostatnie krople alkoholu w zielonej klatce. – Ponoć jej technika jest niemal doskonała. Nie poczujesz nic, jeśli ona nie będzie tego chciała.

Coriane z trudem przełknęła ślinę. Wbiła wzrok w płomień w butelce, żeby nie musieć patrzeć Tyberiaszowi w oczy. Szkło właśnie popękało od gorąca, ale butelka nie rozpadła się.

– Tak – szepnęła ochryplym głosem. – Nic się nie czuje.

– Ale ty jesteś przecież Pieśniarką, prawda? – jego głos stał się nagle równie groźny co jego płomień, ostry, żółty, migoczący za zielonym szkłem. – Odpłać jej pięknym za nadobne.

– Nie mogłabym. Nie mam aż takich zdolności. Poza tym zgodnie z prawem nie mogę przecież wykorzystywać zdolności przeciwko naszym, poza ustalonymi okazjami...

Tym razem jego śmiech zabrzmiał szyderczo.

– I Elara Merandus przestrzega tego prawa? Zaatakowała cię, to jej oddajesz, Coriane. Tak to działa w tym moim królestwie.

– To jeszcze nie jest twoje królestwo – usłyszała swój cichy głos.

Lecz Tyberiasz się tym nie przejął. Więcej – uśmiechnął się na jej słowa ponuro.

– Myślałem, że masz więcej odwagi, Coriane Jacos.

„Wyzywa mnie od tchórzy?” Zalała ją wściekłość, której oczywiście nie mogła okazać. On był królewiczem, przyszłym królem. A ona nikim, marną córką jakiegoś Srebrnego z jednego z wielu Szlachetnych Domów. Zamiast więc wyprostować się dumnie, co najchętniej by zrobiła, znów pokornie przed nim dygnęła.

– Wasza Wysokość – powiedziała i spuściła wzrok na jego ciężkie buty.

Ani drgnął. Nie podszedł bliżej, jak robili to amanci w książkach. Tyberiasz Calore po prostu stał tam i pozwolił jej odejść, wrócić do tego legowiska wilków, choć nie miała przecież żadnej tarczy poza własnym sercem.

Po chwili usłyszała za sobą brzdęk przyskającego szkła, okruchy butelki posypały się po liściach magnolii.

„Dziwny królewicz, dziwna noc – napisała później. – Nie wiem, czy w ogóle chcę go więcej widzieć. Ale zdawał się równie samotny jak ja. Czy nie moglibyśmy być samotni razem?”

Przynajmniej Jessamine była zbyt pijana, by skrzyknąć mnie za wyjście z przyjęcia”.

Życie na dworze nie było ani lepsze, ani gorsze od życia w ich dawnej posiadłości.

Teraz rodzina miała wprawdzie większe dochody, ale nie aż takie, żeby stać ją było na coś więcej niż podstawowe rzeczy. Coriane nadal nie miała nawet pokojówki i wcale nie chciała mieć, mimo że Jessamine nie przestawała gderać, iż jej akurat by się jakaś przydała. Przynajmniej kamienicę w Archeonie łatwiej było utrzymać niż posiadłość Aderonack, która teraz zresztą stała opuszczona i zapomniana, bo przecież cała rodzina przeniosła się do stolicy.

„Trochę jednak tęsknię za domem – pisała Coriane. – Za kurzem, zarośniętym ogrodem, pustką i ciszą. Tyle tam było kątów, które mogłam nazwać własnymi. Gdzie czasem dało się jakoś skryć przed ojcem, Jessamine czy nawet Julianem”. Najbardziej żałowała utraty garażu i budynków gospodarczych. Rodziny od lat nie było oczywiście stać na żaden działający środek transportu, a tym bardziej na kierowcę czy mechanika, ale budynki stały. W środku jednego z nich krył się rozklekotany szkielet prywatnego, sześciuosobowego transportowca, którego silnik uległ już dawno transplantacji w podłogę niczym jakiś makabryczny organ. A do tego pęknięte bojłery, stare piece obgryzione z takich czy innych części oraz niekończące się drobiazgi z dawno już niepotrzebnych maszyn ogrodowych, które zagracały najróżniejsze szopy i składy. „Zostawiłam tam niedokończoną układankę, której fragmenty nigdy już nie zostaną ułożone. Co za strata. Nie przedmiotów, ale mojego czasu. Ileż go zmarnowałam, wyciągając druty czy licząc śrubki. Po co? By zdobyć wiedzę, która nigdy mi się nie przyda? Wiedzę, która przez wszystkich uważana jest za przeklętą, gorszą, głupią? Co ja w ogóle robiłam przez te piętnaście lat? Jestem jak nic niewarta konstrukcja. Może tęsknię za naszym domem, bo był ze mną w tej mojej pustce i ciszy. Zawsze myślałam, że go nienawidzę, ale o wiele bardziej nienawidzę stolicy”.

Lord Jacos oczywiście odrzucił prośbę syna. Mowy nie było, żeby jego dziedzic siedział w Delphie nad tłumaczeniami jakichś sypiących się zapisków i archiwalnych bzdet.

– Byłoby to zupełnie bezcelowe – orzekł.

Za bezcelowe uważał zresztą też zajęcia Coriane i nieustannie jej o tym przypominał.

Jego dzieci snuły się więc po domu rozczarowane, przekonane, że odcięto im jedyne drogi ucieczki. Nawet Jessamine zarejestrowała ich przygnębienie, choć nikomu o tym nie wspomniała. Coriane czuła wszakże w tych pierwszych tygodniach na dworze, że stara kuzynka jest dla niej nieco łagodniejsza. Za to coraz częściej zaglądała do kieliszka. Bo choć przedtem nieustannie nawijała o Archeonie i Summerton, tak naprawdę Jessamine nie przepadała za tymi miastami – o ile można było wnioskować na podstawie ilości spożywanego teraz przez nią dżinu.

Coriane coraz częściej wymykała się podczas „drzemki” Jessamine i snuła się po mieście, licząc na to, że może znajdzie jakieś swoje miejsce, cokolwiek, co mogłoby pełnić funkcję kotwicy na tym nowym morzu jej życia.

Nie znalazła takiego zakątka. Zamiast tego znalazła jednak osobę.

Po kilku tygodniach poprosił, żeby mówiła na niego Tibe. To takie jego rodzinne zdrobnienie, używane tylko przez najbliższych i przyjaciół.

– Dobrze – zgodziła się Coriane. – Ciągłe mówienie „Wasza Wysokość” może rzeczywiście było trochę denerwujące.

Pierwszy raz spotkali się przypadkiem na wielkim moście na rzece Capital. Łączył on obie strony Archeonu imponującą konstrukcją z wygiętej stali i żeliwnych kratownic podtrzymujących trzy piętra dróg, placów i rynków. Na Coriane nie robiły specjalnego wrażenia sklepy z jedwabiem czy stylowe restauracje tuż nad taflą wody, ale intrygował ją sam most i jego konstrukcja. Próbowwała oszacować, ile ton metalu znajdowało się pod jej stopami. W głowie aż jej huczało od intrygujących obliczeń. Może dlatego w ogóle nie zauważyła idących w jej stronę strażników. Za nimi kroczył królewicz. Tym razem trzeźwy i bez butelki w dłoni, uznała więc, że po prostu ją minie.

On jednak zatrzymał się przy niej, ciepło jego energii było niczym dotyk promieni słonecznych.

– Panno Jacos – zwrócił się do niej, podążając za jej wzrokiem w kierunku stali. – Coś ciekawego?

Schyliła głowę w ukłonie, ale odpuściła sobie kolejną pokraczną próbę dygania. Już dość się przed nim zbłąźniła.

– Moim zdaniem tak – odpowiedziała. – Zastanawiałam się właśnie, na ilu tonach metalu stoimy i czy aby nas utrzyma.

Książę koronny prychnął nieco nerwowym śmiechem. Spojrzał pod swoje stopy, jakby dopiero teraz dotarło do niego, jak wysoko nad wodą się znajdują.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wypchnąć z myśli tę kwestię – mruknął. – Jeszcze jakieś straszne pomysły, którymi warto by się ze mną podzielić?

– A ile czasu ma Wasza Wysokość? – spytała i uśmiechnęła się słabo, bo w stolicy po prostu nie miała siły uśmiechnąć się bardziej.

Wyglądało jednak na to, że Tyberiasz Calore także nie był tu szczęśliwy.

– Masz może ochotę na spacer? – spytał, oferując jej swoje ramię.

Powiedział to bez wahania, wręcz nawet trudno było to nazwać pytaniem. Przecież znał odpowiedź.

– Oczywiście.

I posłusznie przyjęła jego ramię.

„Idę pod ramię z prawdziwym księciem – pomyślała, gdy szli przez most. – To się już na pewno nie powtórzy”. Myślała tak za każdym razem. I za każdym

razem się myliła.

*

Na początku czerwca, tydzień przed tym, jak dwór opuścił Archeon i przeniósł się do mniejszego, ale równie wspaniałego letniego pałacu, Tibe postanowił jej kogoś przedstawić. Mieli się spotkać we wschodniej części Archeonu, w ogrodzie rzeźb, przed teatrem Hexaprin. Coriane przyszła wcześniej, bo Jessamine zaczęła pić już przy śniadaniu, łatwiej było się więc wymknąć. Tym razem dla odmiany cieszyła się z tego, że jest stosunkowo uboga. Jej ubrania były przeciętne, wyraźnie należała do Srebrnych, ale gdy nie miała na sobie barw domu Jacos, zupełnie nie rzucała się w oczy. Żadnych klejnotów, które by sugerowały, że jest jakąś damą ze Szlachetnego Domu czy w ogóle kimś wartym uwagi. Byłe służący w uniformie budził większy szacunek. Inni Srebrni przechadzający się wśród marmurowych rzeźb w ogóle jej nie zauważali i było jej to bardzo na rękę.

Zielona kopuła teatru była na tyle wysoka, że Coriane bez trudu kryła się w jej cieniu przed wschodzącym słońcem. Na szczycie budowli przysiadł czarny łabędź z gładkiego granitu. Jego długa szyja wygięta była w łuk, skrzydła rozłożone szeroko, a każde pióro wyrzeźbione z wielką pieczołowitością. Uosobienie piękna i przepychu, którymi tak lubili się popisywać Srebrni. „Z pewnością zrobiony przez Czerwonych”, pomyślała, rozglądając się wokół. Tu, w ogrodzie, nie było żadnych Czerwonych, ale nie brakowało ich na ulicy. Czasami zatrzymywali się i zadzierali głowy, by popatrzeć na teatr, do którego nigdy nie będzie im dane wejść. „Może zabiorę tu kiedyś Elizę i Melanie”. Ale nie miała pewności, czy pokojówkom spodobałby się ten pomysł. Może raczej zawstydziłaby je taką dziwaczną dobroczynnością.

Nigdy się jednak nie dowiedziała, co by na to powiedziały, bo pojawił się Tibe i z jej głowy zniknęły wszelkie myśli o Czerwonych służących. A raczej wszelkie myśli w ogóle.

Nie był tak piękny jak ojciec, ale na pewno przystojny. Miał silną szczękę, na której uparcie próbował zapuścić brodę, złote oczy i kpiący uśmiech. Gdy wypił, na jego policzkach pojawiały się rumieńce, a śmiech stawał się głośniejszy. Wtedy też wydzielał więcej ciepła. Teraz jednak był trzeźwy jak świnia. „I zdenerwowany”, skostatowała Coriane, gdy ruszyła na spotkanie jemu i jego towarzyszom.

Ubrany był tego dnia bardzo zwyczajnie. „Choć nie tak biednie jak ja”. Żadnego munduru, medali, niczego, co mogłoby wskazywać na jego królewskie pochodzenie. Miał na sobie prosty, szary płaszcz, pod tym białą koszulę, ciemnoczerwone spodnie i czarne, wypolerowane na glanc buty. To jego strażnicy wyglądali bardziej oficjalnie, ich maski i płomienne peleryny z miejsca zdradzały jego urodzenie.

– Dzień dobry – powiedział i dostrzegła, że bębni szybko palcami o ubranie. – Pomyślałem, że moglibyśmy zobaczyć *Kres zimy*. To nowa sztuka z Piedmontu.

Serce jej zamarło. Teatr należał do tych ekstrawaganckich rozrywek, na które jej rodzina naprawdę nie mogła sobie często pozwolić. Błysk w jego oku sugerował, że Tibe dobrze o tym wiedział.

– Oczywiście, wspaniały pomysł.

– Dobrze – odparł, podając jej ramię. Robił to już teraz niemal odruchowo, ale Coriane zawsze czuła to samo mrowienie, gdy podawała mu rękę. Już dawno postanowiła sobie, że łączy ich tylko przyjaźń, był przecież księciem koronnym i jako taki skazany był na Królewską Próbę. Ale przecież na razie mogła rozkoszować się jego obecnością.

Wyszli z ogrodu, kierując się w stronę schodów teatru i fontanny stojącej na placu przed nimi. Ludzie natychmiast schodzili im z drogi i patrzyli, jak królewicz i jakaś dama idą do teatru. Kilku gapiów strzeliło im parę zdjęć, flesze oślepiły lekko Coriane, ale Tibe tylko się uśmiechał. Był do tego przyzwyczajony. Jej także to nie przeszkadzało, w każdym razie nie jakoś bardzo. Zaczęła się od razu zastanawiać, czy nie dałoby się przytłumić fleszy na tyle, żeby jednak nie oślepiły każdego, kto się nawinie. I przez chwilę zapomniała o wszystkim skupiona na żarówkach, kablach i zaciemniających szklach. Z zamyślenia wyrwał ją głos Tibe'a.

– A tak w ogóle to Robert dziś tu do nas wpadnie – powiedział nagle, gdy już przekraczali próg teatru.

Pod ich stopami rozpościerała się wspaniała mozaika przedstawiająca zrywające się do lotu czarne łabędzie. Coriane niemal go nie słyszała oszołomiona pięknem teatru – jego marmurowymi ścianami, olbrzymimi schodami, wielością kwiatów i lustrami na suficie obwieszonym kilkunastoma złożonymi żyrandolami. Ale natychmiast zamknęła rozdziawioną buzię i odwróciła się w stronę Tibe'a, który właśnie splonął się rumieńcem, jakiego w życiu nie widziała.

Zamrugnęła zdezorientowana. Stał przed oczami kochanek króla, księżę bez królewskiej krwi.

– Mnie to nie przeszkadza – powiedziała, starając się mówić jak najciszej. Wokół panował już tłok, ludzie cisnęli się na poranne przedstawienie. – Chyba że przeszkadza to tobie?

– Nie, nie. Bardzo się cieszę, że przyjdzie. Sam go o to poprosiłem. – Z jakiegoś powodu księżę z trudem dobierał odpowiednie słowa, ale Coriane nie mogła zrozumieć, co się za tym kryje. – Chciałem, żeby cię poznał.

– O – rzuciła, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Spojrzała na swoją suknię, tak zwykłą, tak niemodną, i zmarszczyła brwi. – Szkoda, że się lepiej nie ubrałam. Nie co dzień w końcu spotyka się księcia – dodała, bardzo dyskretnie

puszczając do niego oko.

Prychnął śmiechem z wyraźną ulgą.

– Dowcipna jesteś, Coriane.

Minęli kasy biletowe i wejście dla publiczności. Tibe poprowadził ją w górę po wijących się schodach, dzięki czemu miała lepszy widok na to niesamowite foyer. Tak jak przedtem na moście znów zaczęła się zastanawiać, kto zbudował to miejsce, ale w głębi duszy знаła odpowiedź. Czerwoni robotnicy, Czerwoni rzemieślnicy, może z jakimiś Żeleźcami do pomocy. I znów to zdumienie, którego nie potrafiła się pozbyć. „Jak to możliwe, że służący tworzą coś tak pięknego i nadal są uważani za tych gorszych? Przecież potrafią czynić cuda zupełnie inne od naszych”. Tyle że swoje umiejętności zdobywali pracą własnych rąk zamiast się z nimi urodzić. „Czy nie jest to równie potężne jak dary Srebrnych, jeśli nie wspanialsze?” Ale nie zastanawiała się nad tym za długo. Nigdy. „Tak już jest ten świat zbudowany”.

Łoża królewska znajdowała się na końcu długiego, wyłożonego dywanem korytarza. Na ścianach wisiały rozliczne obrazy, a duża część przedstawiała księcia Roberta i królową Anabel jako wielkich mecenasów sztuki. Tibe wskazywał je Coriane z dumą. Zatrzymał się dłużej przy jednym, na którym Robert i jego matka namalowani byli z wszystkimi możliwymi insygniami królewskimi.

– Anabel nie znosi tego obrazka – odezwał się jakiś głos z drugiego końca korytarza.

Był tak melodyjny jak jego śmiech. Mógł należeć tylko do księcia Roberta. Coriane zaczęła się nawet zastanawiać, czy księżę aby nie miał jakiegoś Pieśniarza wśród przodków.

Podszedł do nich cichymi, długimi, eleganckimi krokami. „Jedwabisty”, pomyślała Coriane, przypominając sobie, że księżę jest z domu Iral, a zatem cechują go zwinność, równowaga, płynne ruchy akrobaty. Długie włosy spływały mu na ramię, lśniąc ciemnymi, granatowymi falami. Z bliska Coriane zauważyła lekko siwiejące skronie, a przy ustach i oczach zmarszczki od śmiechu.

– Uważa, że nie oddaje rzeczywistości. Że wyglądamy na nim za ładnie, znasz swoją matkę – ciągnął Robert, zatrzymując się przed obrazem. Wskazał twarz Anabel, potem swoją. Obie promieniały młodością, życiem. Obie były rzeczywiście piękne. – Ale ja uważam, że dobrze jest, jak jest. W końcu któż w naszym wieku nie potrzebuje odrobiny retuszu? – dodał i mrugnął wesoło. – Sam się o tym wkrótce przekonasz, Tibe.

– Wolałbym raczej nie – mruknął księżę. – Pozowanie malarzom to chyba jeden z najnudniejszych obowiązków króla.

Coriane spojrzała na niego spod oka.

– Nie jest to przecież aż tak wysoka cena. Za koronę.

– Otóż to, panno Jacos, otóż to. – Robert roześmiał się, odrzucając w tył

włosy. – Uważaj przy niej, mój chłopcze. Choć odnoszę wrażenie, że już zapomniałeś zupełnie o manierach.

– O, przepraszam – zreflektował się Tibe i dał Coriane dłonią znać, by podeszła bliżej. – Wuju Robercie, przedstawiam ci Coriane z domu Jacos, córkę lorda Harrusa, gubernatora regionu Aderonack. Coriane, oto księżę Robert z domu Iral, Małżonek Przysięgły Jego Królewskiej Mości Króla Tyberiasza Piątego.

Po tych kilku miesiącach ćwiczeń dygała już może trochę lepiej, ale tylko trochę. Zamierzała tym razem naprawdę bardzo się postarać, ale okazało się to niepotrzebne, bo Robert po prostu natychmiast ją serdecznie przytulił. Pachniał lawendą i... świeżo upieczonym chlebem?

– Jak się cieszę, że wreszcie mam okazję cię poznać – powiedział, odsuwając ją trochę, żeby móc się jej przyjrzeć. Coriane nie czuła się jednak wcale obserwowana. Robert wydawał się wręcz fizycznie niezdolny do jakiegokolwiek nieuprzejmości. – Chodźmy już, zaraz zaczynają. – Ujął jej ramię i poklepał ją po dłoni niczym rozczulony dziadek wnuczkę. – Siedzisz przy mnie, to chyba oczywiste.

Coriane ogarnęło bardzo dziwne, nieznanne uczucie. Czy to było... szczęście? Zaczynała podejrzewać, że tak.

Uśmiechając się szeroko, obejrzała się przez ramię. Tibe szedł za nimi. Wyraźnie mu ulżyło. Podążył za nią wzrokiem z radosnym uśmiechem.

*

Następnego dnia księżę wyjechał z ojcem na front zrobić przegląd wojska w Delphie, Coriane mogła więc odwiedzić Sarę. Dom Skonos posiadał luksusową kamienicę na zboczach zachodniej części Archeonu, ale dodatkowo rezydował także w apartamentach znajdujących się w samym Pałacu Białego Ognia, tak żeby rodzina królewska zawsze miała pod ręką jakiegoś doskonałego Uzdrowiciela Ciała. Sara wyszła po nią aż do bramy, sama, uśmiechnięta uśmiechem idealnym, który miał oszukać strażę, ale dla Coriane stanowił wystarczające ostrzeżenie.

– Co się stało? O co chodzi? – szepnęła, gdy tylko schowały się w ogrodzie przed komnatami domu Skonos.

Sara wciągnęła ją jeszcze głębiej między drzewa, aż w końcu ukryły się tuż obok porośniętego bluszczem muru ogrodu. Z drugiej strony zasłaniał je gęsty krzew różany. Coriane ogarnęła panika. „Czy coś się stało? Może rodzicom Sary? A może Julian się mylił? Może Sara chce ich zostawić i wyjechać na wojnę?” Coriane miała nadzieję, że nie. Kochała Sarę miłością egoistyczną i w przeciwieństwie do Juliana nie chciałaby za nic, żeby przyjaciółka wyjechała, nawet jeśli celem tego wyjazdu miało być realizowanie jej aspiracji. Na samą tę myśl łzy napłynęły jej do oczu.

– Saro, czy ty wyjeżdżasz? – wyjąkała, ale Uzdrowicielka od razu machnęła

na to ręką.

– Och, Cori, to w ogóle nie ma nic wspólnego ze mną. Ani się waż płakać – dodała i przytuliła ją, zmuszając się do śmiechu. – Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. Po prostu wolałabym, żeby nikt nas nie słyszał.

Coriane odetchnęła z ulgą.

– Barwom dzięki – wymamrotała. – Więc co takiego jest aż tak tajne? Czyżby twoja babka znów kazała ci podnieść sobie brwi?

– Uważaj, bo wykraczesz.

– To o co chodzi?

– Spotkałaś się z księciem Robertem.

Coriane tylko prychnęła.

– No i co z tego? W końcu jesteśmy na dworze, wszyscy tu co i rusz spotykają Roberta...

– Wszyscy go znają, ale na pewno nie wszyscy mają prywatne audyencje u królewskiego kochanka. Prawda jest taka, że w ogóle nie jest zbyt lubiany.

– Pojęcia nie mam dlaczego. Jest chyba najmiłszą osobą na całym dworze.

– Pewnie głównie z zazdrości. Poza tym te co bardziej tradycyjne domy uważają, że nie powinno się go wynosić tak wysoko. Mówią o nim „królewska prostytutka”.

Coriane zarumieniła się z oburzenia.

– Nic mnie to nie obchodzi, że spotkanie się z nim jest źle widziane albo wywołuje skandal. Lubię go. Zresztą Jessamine nie miała nic przeciwko temu. Była dość podekscytowana, gdy wyjaśniłam jej...

– W tym skandalu nie chodzi o Roberta, Coriane. – Sara ujęła jej dłonie i Coriane poczuła, jak odrobina mocy przyjaciółki przelewa się na jej skórę. Ten zimny dotyk ręki Sary oznaczał, że za chwilę zniknie zacięcie, które Coriane zrobiła sobie wczoraj papierem. – Chodzi o ciebie i królewicza, o to jak blisko ze sobą jesteście. Wszyscy wiedzą, jak zżyta jest rodzina królewska, szczególnie z Robertem. Jego cenią sobie nad wszystko i gotowi są go chronić za wszelką cenę. Jeśli Tyberiasz postanowił was ze sobą poznać...

Mimo tego miłego chłodu, Coriane wysunęła dłonie z rąk Sary.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Nic z tego nie będzie. – Zmusiła się do chichotu, który zabrzmiał jakoś obco. – Przecież nie wyobrażasz sobie chyba, że Tibe myśli o mnie w jakikolwiek inny sposób, prawda? Nie oczekuje ode mnie niczego ponad przyjaźń. Nie może niczego więcej oczekiwać. To chyba jasne.

Była pewna, że przyjaciółka dołączy do jej śmiechu, że obróci to wszystko w żart. Sara jednak spojrzała na nią tak poważnie jak nigdy.

– Wszystko na to wskazuje, Coriane.

– Bzdura. Ja nie... On nigdy... Zresztą pomyśl tylko o Królewskiej Próbie.

Pewnie już jest zaplanowana, przecież księżę jest w odpowiednim wieku. A nikomu by przecież nie strzeliło do głowy mnie na niej wybrać.

Sara znów ujęła jej dłonie i ścisnęła je lekko.

– Myślę, że jemu owszem.

– Nie mów tak – wyszeptała Coriane.

Utkwiła wzrok w różach, ale widziała w nich twarz Tibe'a. Tak znajomą po miesiącach przyjaźni. Jego nos, usta, szczeka, oczy, oczy przede wszystkim. Gdy na nią patrzył, czuła bliskość, której nie zaznała z nikim innym. Widziała w jego oczach samą siebie, swój ból, swoją radość. „Jesteśmy tacy sami – pomyślała. – Tak samo szukamy kotwicy, by nie zgubić się w tłumie obcych ludzi”.

– To niemożliwe. I mówienie mi takich rzeczy, dawanie mi nadziei, gdy tymczasem... – Westchnęła i przygryzła wargę. – Mam dość zmartwień i bez złamanego serca. Tibe jest moim przyjacielem. I nikim poza tym.

Sara nie była specjalistką od marzeń i fantazjowania. Wiedziała, jak nastawić złamaną kość, nie złamane serce. I dlatego właśnie Coriane mimowolnie wierzyła jej słowom, nawet jeśli nie pokrywały się z jej niepokojami.

– Bez względu na to, czy łączy was tylko przyjaźń czy coś więcej, Tibe zdecydowanie cię faworyzuje. I dlatego właśnie musisz bardzo uważać. Przez niego stałaś się potencjalnym celem ataku niemal wszystkich dziewczyn na dworze.

– Oj, Saro, przecież żadna dziewczyna na dworze nie wie nawet o moim istnieniu.

Jednak w drodze do domu na wszelki wypadek miała się na baczności.

A w nocy śniły jej się noże w jedwabiu – noże, które wbijały jej się w plecy.

Nie będzie żadnej Królewskiej Próby.

W Palatium Słońca minęły już dwa miesiące i każdego ranka dwór liczył na zapowiedź próby. Lordowie i damy męczyli króla coraz bardziej, wciąż pytając, kiedy jego syn wybierze sobie którąś z ich córek na żonę. Władca jednak pozostawał głuchy na prośby i groźby, uparcie odpowiadając jedynie swoim pięknym, stoickim spojrzeniem. Królowa Anabel zachowywała się podobnie, nie zdradzając nikomu, kiedy w końcu jej syn podejmie się tego jednego z najważniejszych przecież obowiązków następcy tronu. Tylko książę Robert miał czelność uśmiechać się szeroko na myśl o burzy, która już zbierała się na horyzoncie. Z każdym dniem szeptano coraz więcej. Czy to możliwe, że Tyberiasz jest taki sam jak ojciec? Że i on woli mężczyzn? Ale przecież w tym wypadku i tak musi wybrać królową, która urodzi mu synów. Ci co bardziej przebiegli natomiast skupiali się na szukaniu okruszków, które ostrożnie zostawiał plotkarzom Robert. Miały bardzo dyskretnie przekazać prosty komunikat: „Królewicz podjął już decyzję i żadna arena nie zmieni jego zdania”.

Coriane Jacos regularnie jadła z Robertem i królową Anabel. Oboje szybko zachwycili się dziewczyną. To z kolei wywołało kolejne domysły – może dom Jacos wcale nie jest tak słaby, jak się to wszystkim dotąd wydawało? Czy to podstęp? Czy to tylko maska, pod którą kryje się potężna moc? Cynicy znaleźli jeszcze inne wyjaśnienie. Przecież to Pieśniarka. Wiadomo – manipulantka. Spojrzała królewiczowi w oczy i to wystarczyło, by się w niej zakochał. Nie pierwszy raz ktoś łamie prawo, by zdobyć naszą koronę.

Lord Harrus był zachwycony tym nagłym zainteresowaniem. Wykorzystywał je, jak mógł, usiłując przehandlować przyszłość córki za tetrarchy i pożyczki. Był jednak zbyt słabym graczem jak na tak dużą i skomplikowaną grę. Stracił tyle, ile pożyczył. Pieniądze znikwały podczas gry w karty, rozplywały się w niefortunnych inwestycjach w akcje skarbu królestwa i nieprzemyślanych, kosztownych „reformach” w regionie, którym zarządzał. Za radą lorda Samosa założył dwie kopalnie, bo ten zapewnił go, że w górach Aderonack znajdują się bogate złoża żelaza. Obie trzeba było zamknąć już po kilku tygodniach – wydobywano w nich jedynie bezwartościową ziemię.

Teoretycznie w te rozpaczliwe inwestycje wtajemniczony był tylko Julian i bardzo się starał, by siostra nic o nich nie wiedziała. Tibe, Robert i Anabel też chronili ją, jak mogli, przed plotkami, współpracując ściśle z Julianem i Sarą, by Coriane trwała w błogiej nieświadomości. Ale oczywiście do Coriane docierało wszystko. Lecz, by nie martwić rodziny i przyjaciół, udawała, że o niczym nie wie. Tylko pamiętnikowi zwierzała się z tego, jak dużo kosztują ją te kłamstwa.

„Ojciec robi wszystko, by nas zgubić. Chwali się swoim niby to przyjaciółom, że będę wkrótce królową. Nigdy przedtem nie poświęcał mi tyle uwagi, a zresztą nawet teraz nie robi tego szczerze. Raptem udaje, że mnie kocha,

ale przecież chodzi mu nie o mnie, tylko o Tibe'a. Jedyne dzięki temu, że ktoś inny uznał, że jestem coś warta, ojciec udaje teraz, że i on to widzi”.

Przez ojca śniła jej się Królewska Próba, że jej nie wygrała, że wygnano ją do ich starego domu. Musiała spać w rodzinnym grobowcu, przy nieruchomym, nagim trupie wuja. Zmarły poruszył się, jego ręce dosięgły jej szyi i wtedy się obudziła zlaną potem. Tamtej nocy nie mogła już zasnąć.

„Julian i Sara mają mnie za osobę słabą, wrażliwą, za porcelanową laleczkę, której wystarczy dotknąć palcem, by rozbiła się w drobny mak – napisała. – Co gorsza, zaczynam myśleć, że mają rację. Czy naprawdę jestem aż tak słaba? Czy rzeczywiście do niczego się nie nadaję? Przecież na pewno mogłabym jakoś pomóc, gdyby tylko Julian mnie o tę pomoc poprosił. Czy jedyne, do czego się nadaję, to lekcje Jessamine? Kim ja się w ogóle stałam w tym nowym miejscu? Pewnie nie potrafiłabym już nawet wymienić żarówki. Sama siebie nie poznaję. Czy na tym właśnie polega dorastanie?”

Przez Juliana śniło jej się, że jest w pięknej komnacie. Lecz wszystkie drzwi były zamknięte, wszystkie okna zatrzęsnięte. I nikogo, kto mógłby jej dotrzymać towarzystwa. Żadnych książek. Niczego, co mogłoby ją niepokoić. A potem komnata zawsze przemieniała się w pozłacaną klatkę. Kurczyła się coraz bardziej, aż w końcu pręty wbijały jej się w skórę i wtedy się budziła.

„Nie jestem przecież tym potworem, za jakiego mają mnie plotkarze. Niczego nie zrobiłam, nikogo nie zmanipulowałam. Od miesięcy nawet nie próbowałam wykorzystywać swojej zdolności, zwyczajnie dlatego, że Julian nie ma już czasu mnie uczyć. Ale oczywiście nikt mi nie wierzy. Widzę przecież, jak na mnie patrzą, nawet Szeptacze z domu Merandus. Nawet Elara. Poza tym jednym razem, wtedy na bankiecie, gdy uciekając przed jej kpinami, wpadłam na Tibe'a, nie słyszałam jej już nigdy w swojej głowie. Być może tamta sytuacja paradoksalnie dała jej nauczkę. Może boi się spojrzeć mi w oczy, usłyszeć mój głos, może wydaje jej się, że władam mocami równie potężnymi jak te jej okrutne szeptki. Co przecież nie jest prawdą. W starciu z ludźmi takimi jak ona nie mam szans. W sumie powinnam podziękować temu, kto puścił plotkę o mojej rzekomej potędze. Chyba tylko ta bujda chroni mnie przed drapieżnikami pokroju Elary”.

Przez Elarę śniły jej się zimne, błękitne oczy podążające za nią bezlitosnym wzrokiem, wpatrujące się w jej nową koronę. Ludzie kłaniali się jej, gdy na nich spoglądała, lecz kpili z niej za jej plecami, wciąż knując coś przeciwko nowej królowej. Bali się jej i nienawidzili jej niczym wilki tylko czekające na chwilę, gdy okaże się wreszcie, że jest jednak jagnięciem. W tym śnie śpiewała – pieśń bez słów, pieśń, którą nic nie działała, a jedynie spotęgowała ich żądzę krwi. Czasami sen kończył się tym, że ją zabijali, czasami ją ignorowali, czasami lądowała w celi. Każde zakończenie wyrывało ją ze snu.

„Dziś Tibe powiedział mi, że mnie kocha, że chce się ze mną ożenić. Nie

wierzę mu. Dlaczego miałby pragnąć czegoś takiego? Jestem nikim. Brak mi urody, inteligencji, siły, zdolności, która przydałaby mu się we władaniu królestwem. Przez mnie będzie miał same zmartwienia. Potrzebuje przy swoim boku kogoś potężnego, kogoś, kto śmieje się z plotek i umie pokonać własne wątpliwości. Bo Tibe jest równie słaby jak ja, to taki samotny chłopiec, który kroczy własną drogą. Ja mu tylko utrudnię tę podróż. Ściągnę na niego jedynie ból. Jakże mogłabym do tego dopuścić?”

Przez księcia śniła o opuszczeniu dworu raz na zawsze. Przecież Julian też chciał z niego uciec, by nie zatrzymywał tu Sary. Dokąd umknąć? Odpowiedź zmieniała się każdej nocy. To kryła się w Delphie, to w zatoce Harbor, to w Piedmoncie, to nawet w Lakelandii, a każde z tych miejsc widziała w szarościach i czerniach. Miasta cienie, które mogłyby ją pochłonąć i uratować przed księciem i oferowaną przez niego koroną. Ale i one ją przerażały. Zawsze były takie puste, opuszczone nawet przez duchy. W tych snach zostawała sama. Budziła się z nich cicho o poranku z zaschniętymi na policzkach łzami i rozpaczą w sercu.

A jednak nie znalazła w sobie dość siły, by mu odmówić.

Kiedy Tyberiasz Calore, dziedzic tronu Norty, padł przed nią na kolana, przyjęła pierścień, który jej ofiarował. Uśmiechnęła się. Pocałowała go. Powiedziała „tak”.

– Nie przypuszczałem nigdy, że mogę być tak szczęśliwy – powiedział jej.

– Wiem, co czujesz – odparła i nie kłamała.

Była szczęśliwa. Tak, na swój sposób była szczęśliwa.

Co innego jednak być pojedynczą świecą w ciemności, a co innego być wschodzącym słońcem.

*

Szlachetne Domy były oczywiście oburzone. W końcu Królewska Próba stanowiła ich przywilej i nie zamierzały z niego tak łatwo zrezygnować. Najszlachetniejszy syn miał poślubić najbardziej utalentowaną córkę. Domy Merandus, Samos, Osanos od dawna przecież szykowały się do zaciętej walki o tron, ich córki wychowano na królowe. A teraz koronę sprzątnęła im sprzed nosa jakaś dziewczyna znikąd. Król jednak się nie ugiął. Zresztą były już precedensy. Co najmniej dwóch królów Calore ożeniło się, nie wykorzystując Królewskiej Próby. Tibe będzie zatem trzeci.

Próbując niejako wynagrodzić takie odstępstwo od zwyczaju, ślub zorganizowano w sposób ściśle tradycyjny. Oczekano do szesnastych urodzin Coriane, czyli aż do wiosny. Narzeczeństwo przeciągnęło się, ale przynajmniej rodzina królewska miała dzięki temu dość czasu, by przekonać prośbą, groźbą lub przekupstwem każdy Szlachetny Dom z osobna. W końcu wszystkie przystały na

następujące warunki: Coriane Jacos zostanie królową, ale jej dzieci, wszystkie jej dzieci, będą miały małżeństwa ściśle polityczne. Coriane nie chciała się z początku zgodzić na taki pakt, ale Tibe nie miał nic przeciwko, a ona nie potrafiła mu odmówić.

Jessamine oczywiście uznała wszystko to za swoją zasługę. Jeszcze w chwili, gdy Coriane wiązano gorset ślubnej sukni, ledwie na godzinę przed ślubem krewnej, stara kuzynka mamrotała z dumą znad pełnego kieliszka:

– Co za sylwetka, co za kości. Jacos w każdym calu. Smukła, pełna gracji niczym ptak.

Coriane jednak nie podzielała jej zdania. „Gdybym była ptakiem, mogłabym odfrunąć stąd z Tibe’em”. Tiara na jej głowie – pierwsza z tak wielu – wbijała jej się w skórę. Zły znak.

– Przyzwyczajasz się – szepnęła jej królowa Anabel do ucha, a Coriane tak bardzo chciała jej uwierzyć.

Dziewczyna nie miała przecież matki, tym bardziej pragnęła więc pokochać Anabel i Roberta niczym nowych rodziców. Gdyby to od niej zależało, wołałaby, żeby to Robert odprowadził ją do ołtarza, a nie jej okropny ojciec. W ramach prezentu ślubnego Harrus zażądał pięciu tysięcy tetrarch. Jakoś chyba nie dotarło do niego, że prezenty raczej się daje pannie młodej, a nie ich od niej żąda. Mimo pozycji córki na dworze Harrus był tak nieudolnym zarządcą, że zdołał stracić wszystkie swoje wpływy. Osłabiona nietypowymi zaręczynami Tibe’a rodzina królewska nie mogła już bardziej ryzykować i nie zdołała mu pomóc, tak więc zarząd nad regionem Aderonack natychmiast przejął dom Provos.

Po ceremonii i przyjęciu, gdy Tibe zasnął już w ich nowej komnacie, Coriane znów siadła do pisania pamiętnika. Jej pismo było nierówne, zamazane, litery krzywe, kleksy przeciekały przez strony. Pisywała już teraz coraz rzadziej.

„Jestem żoną księcia, który pewnego dnia zostanie królem. Zwykle właśnie ślubem kończą się bajki. I obawiam się, że nie bez powodu żadne opowieści nie opisują tego, co dzieje się potem. Nad moim życiem zawisła trwoga, czarna chmura, której nie potrafię odegnąć. W moim sercu czai się niepokój, wysysa wszystkie moje siły. Może to po prostu początek jakiejś choroby. To też niewykluczone. Sara by wiedziała.

Wciąż prześladowają mnie te oczy. Oczy Elary. Czy to możliwe, że zsyła na mnie te koszmary? Czy Szeptacze potrafią robić coś takiego? Muszę się dowiedzieć. Muszę. Muszę. MUSZE”.

*

Pierwsze, co uczyniła Coriane jako księżniczka Norty, to zatrudniła sobie prawdziwego nauczyciela oraz wzięła Juliana do swojego domu. Miał pomóc jej doskonalić zdolności i chronić ją przed tym, co nazywała „niedogodnościami”.

Starannie dobrane słowo. Jak zawsze dobrze skrywała jednak swoje problemy, żeby nie martwić brata. Tak zresztą jak i małżonka. Obaj mieli przecież tak dużo na głowie. Julian martwił się o Sarę, a Tibe miał też swoją dobrze skrywaną tajemnicę.

Król był chory.

Minęły dwa długie lata, nim dwór domyślił się w końcu, że coś jest nie tak.

– To się już ciągnie od jakiegoś czasu – wyznał jej Robert, trzymając ją za rękę. Stała z nim na balkonie, wpatrując się w księcia smutnymi oczyma. Wciąż był przystojny, wciąż uśmiechnięty, a jednak jego skóra stała się szara, ciemna, pozbawiona życia. Pomyślała sobie, że jest zupełnie tak, jakby umierał razem z królem. Robert wszakże umierał z miłości, a nie na chorobę kości i krwi, na którą według królewskich Uzdrowicieli zapadł ojciec Tibe’a. Rak, wyniszczający Tyberiasza nowotwór.

Księżę Robert zadrzał, choć świeciło przecież słońce, a powietrze było ciepłe, jak to latem. Coriane czuła pot na karku, ale rozumiała aż za dobrze to przerażające zimno, które czuł w sercu Robert.

– Uzdrowiciele Ciała nie mogą zrobić już nic więcej. Gdyby tylko złamał sobie zamiast tego kręgosłup – zażartował, ale jego śmiech był pusty niczym pieśń bez nut. Król żył jeszcze, ale jego ukochany już był cieniem samego siebie. I choć Coriane martwiła się bardzo o swojego teścia, bo wiedziała dobrze, jak bolesna śmierć go czeka, była równie przerażana stanem Roberta. „Nie może się teraz poddać. Nie pozwolę mu na to”.

– Rozumiem, nie musisz nic mówić – wymamrotała. Z trudem powstrzymywała łzy. „Jak to możliwe? Czyż nie jesteśmy Srebrnymi? Czyż nie jesteśmy bogami?” – Czy czegoś mu trzeba? A może ty czegoś potrzebujesz?

Robert odpowiedział tylko smutnym uśmiechem. Jego wzrok zatrzymał się na jej brzuchu, zbyt płaskim, by można się było domyślić kryjącego się w nim życia. Nie wiedziała jeszcze, czy to księżniczka czy księżę.

– Na pewno chciałby zobaczyć wasze dziecko.

Uzdrowiciele z domu Skonos próbowali wszystkiego, nawet przetoczyli królowi krew, ale choroba nie dawała się przegonić. Niszczyła go szybciej, niż oni potrafili go leczyć. Zwykle Robert czuwał przy nim w jego komnacie, dziś jednak zostawił Tyberiasza sam na sam z synem i Coriane wiedziała aż za dobrze dlaczego. Koniec króla był już bliski. Wkrótce korona przejdzie w ręce Tibe’a i pewne sprawy król musiał przekazać swemu następcy bez żadnych świadków.

W dzień śmierci króla Coriane zaznaczyła tylko datę i zamalowała całą stronę w pamiętniku czarnym atramentem. Kilka miesięcy później to samo zrobiła, gdy zmarł Robert. Stracił wolę życia, jego serce nie chciało już dłużej bić. Coś zżerało i jego, aż w końcu połknęło go zupełnie. Nie dało się nic zrobić. Nikt nie potrafił go powstrzymać i Robert odszedł do krainy cieni. Coriane płakała gorzko,

gdy zamalowywała kolejną stronę w pamiętniku.

Potem już trzymała się tego zwyczaju. Czarne strony, czarne dni śmierci. Jedna strona dla Jessamine, której ciało było już po prostu zbyt stare. Jedna dla ojca, który znalazł śmierć na dnie kieliszka.

I trzy po poronieniach, z których każde przychodziło nocą po kolejnym koszmarze.

Coriane miała dwadzieścia jeden lat i była w czwartej ciąży.

Nie powiedziała o niej nikomu, nawet Tibe'owi. Nie chciała, by znów cierpiał. Nie chciała też, by ktokolwiek wiedział. Jeśli Elara Merandus rzeczywiście nadal ją prześladowała, jeśli to właśnie za jej sprawką ciało Coriane obracało się przeciwko jej nienarodzonym dzieciom, lepiej jak najdłużej unikać wszelkich oświadczeń na temat kolejnego królewskiego potomka.

Obawy słabej królowej nie były przecież wystarczającym powodem, by wygnać jakikolwiek Szlachetny Dom, a już na pewno nie dom tak potężny jak Merandus, toteż Elara wciąż przebywała na dworze. Była ostatnią z trzech faworytek Królewskiej Próby, która nie wyszła jeszcze za mąż. Nie narzucała się Tibe'owi, wręcz przeciwnie – uparcie prosiła o zaszczyt dołączenia do grona dwórek Coriane. Za każdym razem odmawiano jej jednak.

„Będzie zaskoczona, gdy sama ją znajdę – myślała Coriane, analizując po raz kolejny swój desperacki plan. – Nie będzie się niczego spodziewać, będzie na tyle zdziwiona, że dam radę”. Przećwiczyła to już przecież na Julianie i na Sarze, a nawet na własnym mężu. Nigdy dotąd nie posługiwała się tak sprawnie swoimi umiejętnościami. „Uda mi się”.

Pożegnalny Bał, który zawsze zamykał sezon letni, stanowił idealną okazję. Tylu gości, tyle umysłów. Łatwo będzie zbliżyć się do Elary. Nie będzie się spodziewała, że królowa Coriane zamierza się do niej odezwać, a tym bardziej – zaśpiewać. A Coriane zamierzała zrobić i jedno, i drugie.

Starannie ubrała się na tę okazję. Wciąż – mimo całego tego bogactwa, jakie wiązało się z koroną – czuła się nieswojo w tych karmazynowych i złotych jedwabiach. Jak dziewczynka poprzebierana dla zabawy wśród prawdziwych dam i lordów. Tibe zagwizdał z uznaniem jak zawsze, powiedział jej, że jest piękna i że dla niego jest jedyną kobietą na całym świecie, tym i każdym innym. Zwykle bardzo ją to uspokajało, ale teraz nie potrafiła zapanować nad nerwami i przestać myśleć o zadaniu, jakie ją czekało.

Wszystko działo się jednocześnie za wolno i za szybko. Posiłek, tańce, witanie kolejnych zaciętych twarzy z przyklejonymi uśmiechami. Dla wielu wciąż bowiem była Królową Pieśniarką, kobietą, która czarami zdobyła tron. „Gdyby tylko tak było. Gdybym rzeczywiście była tak potężna, jak im się wydaje, nie musiałabym przejmować się Elarą. Nie musiałabym czuwać każdej nocy, bojąc się zasnąć, bojąc się śnić”.

Odpowiedni moment pojawił się późną nocą, gdy kończyło się już wino, a Tibe pił swoją ukochaną whisky. Wymknęła się, zostawiając pijanego króla pod opieką Juliana. Nawet Sara nie zauważyła, że królowa zniknęła ze swojego miejsca i znalazła się nagle tuż przy Elarze Merandus, tuż przy drzwiach wychodzących na balkon.

– Wyjdźmy na świeże powietrze, panno Elaro – zaproponowała Coriane

z oczami szeroko otwartymi, skupionymi na Elarze. Jeśli ktoś je mijał, pomyślał pewnie, że jej głos jest niczym muzyka, niczym chór, elegancki, rozpaczliwy, niebezpieczny. Że jest to broń równie straszna co płomień króla.

Elara nie spuściła wzroku, patrzyła jej prosto w twarz i serce królowej zamarło. „Skup się – powiedziała sobie. – Skup się, do licha”. Jeśli bowiem nie da się rzucić uroku na tę kobietę z domu Merandus, Coriane czeka coś o wiele gorszego niż nocne koszmary.

Powoli jednak, niemal niezdarnie, nie odrywając wzroku od Coriane, Elara zrobiła krok do tyłu.

– Tak – wymamrotała tępo i ręką pchnęła balkonowe drzwi.

Wyszły razem na zewnątrz. Coriane trzymała Elarę za ramię, żeby kobieta się nie potknęła. Powietrze było gorące, parne, ostatni oddech upalnego lata nad rzeką. Coriane jednak nawet tego nie zauważyła. Skupiona była na oczach Elary.

– Czy grzebiez mi w umyśle? – spytała prosto z mostu.

– Od jakiegoś czasu już nie – odpowiedziała Elara ze wzrokiem wbitym w dal.

– Kiedy ostatni raz to zrobiłaś?

– W dzień twojego ślubu.

Coriane zamrugnęła zdumiona. „To było tak dawno temu”.

– Co takiego? Co wtedy zrobiłaś?

– Sprawiałam, że się potknęłaś. – Zamyślona twarz Elary rozpromieniła się w uśmiechu. – Potknęłaś się o własną suknię.

– I... I to wszystko?

– Tak.

– A sny? A koszmary?

Elara nie odpowiedziała. „Bo też nie ma nic do powiedzenia”. Coriane wzięła głęboki wdech, żeby opanować łzy. „Zatem te strachy są moje. Zawsze były tylko moje. I zawsze będą. Byłam taka głupia, zanim przeniosłam się na dwór. I nadal jestem równie głupia”.

– Wejź do środka – syknęła w końcu. – Zapomnij o całej tej rozmowie.

Potem odwróciła się, zrywając kontakt wzrokowy, potrzebny, by kontrolować Elarę.

Kobieta zamrugnęła, jakby raptem się obudziła. Spojrzała zaskoczona na królową, po czym pospiesznie weszła z powrotem na salę balową.

Coriane ruszyła w przeciwnym kierunku. Oparła się o balustradę i oddychała łapczywie, byle tylko nie zacząć krzyczeć. Pod nią rozciągał się ogród pełen zieleni, fontann i kamieni. Ponad dziesięć metrów w dół. Przez krótką, koszmarną chwilę walczyła z odruchem, by po prostu skoczyć.

*

Następnego dnia wzięła sobie dodatkowego strażnika, który miał za zadanie chronić ją przed wszelkimi zdolnościami Srebrnych, gdyby ewentualnie chcieli ich używać przeciwko niej. Bo jeśli nie prześladowe ją Elara, to w takim razie musi to być ktoś inny z domu Merandus. Niemożliwe przecież, by jej umysł sam wymykał się spod kontroli, by raz był szczęśliwy, a za chwilę w rozpacz, by miotał się między tymi emocjami niczym latawiec na wietrze.

Strażnik był z domu Arven, z rodu Uciszaczy. Na imię miał Rane. Miał być jej wybawcą w białej zbroi. Poprzysiągł bronić królowej przed wszelkimi mocami.

*

Zgodnie ze zwyczajem dziecku dali na imię Tyberiasz. Coriane zgodziła się na to, bo Tibe zapewnił ją, że następne nazwą na cześć Juliana. Było to tłuściutkie skóre do uśmiechu maleństwo. Śmiało się często i rosło jak na drożdżach. Mówiła na niego Cal, żeby odróżnić go jakoś od ojca i dziadka. I tak już zostało.

Syn był niczym słońce na jej niebie. W gorsze dni dawał jej nadzieję. W lepsze opromieniał cały jej świat. Kiedy Tibe wyjeżdżał na front, a teraz, gdy wojna znów się rozszalała, bywało, że króla nie było w domu nawet kilka tygodni, to Cal chronił matkę. Ten kilkumiesięczny brzdąc już był potężniejszy niż jakakolwiek tarcza w całym królestwie.

Julian ubóstwiał siostrzeńca, zasypywał go zabawkami, czytał mu. Cal miał zwyczaj rozkładać wszystko na części, potem składać to jakoś przedziwnie. Coriane z radością siedziała następnie godzinami nad jego zabawkami, żeby znów działały – trudno było powiedzieć, czy bawiło to bardziej ją czy jego.

– Będzie wyższy od ojca – zapowiedziała jej Sara, która była teraz najważniejszą damą dworu i jednocześnie osobistą lekarką królowej. – To silny chłopiec.

Każdą inną matkę ucieszyłyby te słowa, ale Coriane przejęły trwogą. „Wyższy od ojca, silny chłopiec”. Wiedziała aż za dobrze, co to oznacza dla księcia Calore, spadkobiercy Płonącej Korony.

„Nie będzie żołnierzem – zapisała w swoim najnowszym pamiętniku. – Jestem mu to winna. Zbyt długo już synowie i córki domu Calore walczą, zbyt długo nasz kraj ma króla wojownika. Zbyt długo trwa wojna, ta na froncie i ta wewnętrzna. Być może przestępstwem jest pisać takie rzeczy, ale jestem królową. Jestem królową tego kraju. Mogę mówić i pisać, co myślę”.

Mijały miesiące, a Coriane myślała coraz częściej o swoim rodzinnym domu. Posiadłość przepadła oczywiście, zniszczyli ją członkowie domu Provos, wygnali z niej jej duchy, jej wspomnienia. Znajdowała się zbyt blisko lakelandzkiej granicy, by zechciał w niej mieszkać jakikolwiek szanujący się Srebrny, mimo że walka odbywała się właściwie tylko na bombardowanych nieustannie terytoriach Duszni. Ginęło niewielu Srebrnych, za to Czerwoni padali tysiącami. Rekrutowano ich

z każdego najdalszego nawet zakątka królestwa, zmuszano do walki. „Za moje królestwo. I to mój mąż podpisuje kolejne nakazy rekrutacji, nie robi nic, by zatrzymać to błędne koło, narzeka tylko, że boli go ręka od pisania”.

Patrzyła na syna bawiącego się na podłodze. Uśmiechał się właśnie, widać było jego pierwszy ząbek. Zapamiętała stukot dwoma drewnianymi klockami. „On będzie inny”, postanowiła sobie.

Koszmary wróciły ze zdwojoną siłą. Śniło jej się, że dziecko dorasta, że ma na sobie zbroję, prowadzi żołnierzy w kłęby dymu. Że idzie z nimi, by nigdy już nie wrócić.

Z ciemnymi cieniami pod oczami zapisała słowa, które miały się stać przedostatnim wpisem do jej pamiętnika. Słowa, które zdawały się wyrzeźbione na stronie. Nie spała już od trzech dni. Bała się, że nie znieśie kolejnego koszmaru o śmierci syna.

„Dzieci domu Calore to dzieci ognia, tak silnego i niszczącego jak ich płomień, ale Cal taki nie będzie. Ogień może niszczyć, może zabijać, ale może też tworzyć. Las spalony latem odrodzi się wiosną bardziej zielony, lepszy, silniejszy. Płomień Cala będzie budował, sprawi, że w powojennym popiele wyrosną korzenie. Wystrzały zamilkną, dym się rozwieje, a żołnierze, Czerwoni i Srebrni, wrócą do domów. Po stu latach wojny mój syn zaprowadzi pokój. Nie zginie w walce. Nie on. NIE ON”.

Tibe’a nie było, znów przebywał w Forcie Patriot w zatoce Harbor. Ale przy drzwiach stał przecież na warcie Arven, jego obecność była jak oddech ulgi. „Póki on tu jest, nic mi nie grozi – pomyślała, głaszcząc pokrytą meszkiem główkę syna. – Jediną osobą w mojej głowie jestem ja sama”.

Opiekunka, która przysłała zająć się dzieckiem, zauważyła niepokój królowej, drżące ręce, dziki wzrok, ale nic nie powiedziała. Nie śmiała się wtrącać.

Nadeszła i minęła kolejna noc. Bez snu. Ostatni wpis w pamiętniku. Wokół każdego słowa Coriane narysowała kwiaty – magnolie.

„Jediną osobą w mojej głowie jestem ja sama.

Tibe się zmienił. Korona go zmieniła. Dokładnie tak, jak się tego obawiałaś.

Jest w nim ogień, ogień, który spali cały świat. Ten sam ogień, który jest w twoim synu, w księciu, który nie zdoła zmienić swojej krwi i który nigdy nie zasiądzie na tronie.

Jediną osobą w mojej głowie jestem ja sama.

Jediną osobą, która się nie zmieniła, jesteś ty. Jesteś wciąż tylko tą małą dziewczynką w zakurzonej sypialni, zapomnianą, niechcianą, niepasującą. Jesteś królową, matką pięknego syna, żoną króla, który cię kocha, a tymczasem nawet nie potrafisz się uśmiechnąć.

Nie potrafisz nic stworzyć.

Jesteś pusta.

Jedyną osobą w twojej głowie jesteś ty sama.

A ona w ogóle się nie liczy.

Jest nikim”.

Następnego dnia służąca znalazła na podłodze jej ślubną koronę, perły, wygięte złoto. A na niej srebro, krew ściemniała po tylu godzinach.

Woda w wannie była od niej aż czarna.

*

Pamiętnik zakończył się nagle, ale i tak nie widział go nikt, kto powinien go przeczytać.

Znała go tylko Elara, która obserwowała to powolne umieranie kobiety od środka.

Zniszczyła jej zapiski tak, jak zniszczyła przedtem Coriane.

I nie śniło jej się nic.

STALOWE BLIZNY

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 61 operacji JEZIORAK, etap 3.

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: Solmary, LL.

Do: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Operacja JEZIORAK ukończona przed czasem, cel osiągnięty. Kanaly i śluzy na jeziorach PERIUS, MISKIN i NERON pod kontrolą Szkarłatnej Gwardii.

– Agenci BICZ i OPTYK odpowiedzialni za dalszy rozwój operacji JEZIORAK, stały kontakt, umożliwienie przemieszczania się do RUCHOMA BAZA i DOWÓDZTWO. Wg protokołu czuwaj-i-raportuj, w oczekiwaniu na rozkazy.

– Wracam do TRIAL z JAGNIĘ.

– JEZIORAK – podsumowanie:

Polegli: D. FERRON, T. MILLS, M. PERCHER (3).

Ranni: SWIFTY, WISHBONE (2).

Straty po stronie Srebrnych (3): Strażnik Zieleni (1), Siłacz (1), Uzdrowiciel Ciała? (1).

Straty wśród ludności cywilnej: Nieznane.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

– Burza idzie prosto na nas – mówi pułkownik, by wypełnić ciszę. Zdrowe oko przyciska do pęknięcia w ścianie wagonu i wpatruje się w horyzont. Drugie

gapi się znieruchomiała, choć prawdę powiedziawszy, prawie go nie widać zza karmazynowej warstwy krwi. To nic nowego. Jego lewe oko od lat już do niczego się nie nadaje.

Podążam za jego wzrokiem i też wpatruję się w szparę między deskami. Kilka kilometrów przed nami zbierają się ciemne chmury, ledwie się wychylają znad lasów na wzgórzach. W oddali słychać już jednak grzmoty. Nic mnie one właściwie nie obchodzą. Mam tylko nadzieję, że nie spowolnią pociągu i nie będziemy musieli spędzić przez nie choćby i sekundy dłużej w tej kryjówce pod podłogą wagonu towarowego.

Nie mamy czasu na burze ani pogaduszki. Nie spałam od dwóch dni i na pewno to po mnie widać. Marzę o spokoju, o kilku godzinach odpoczynku, nim trafimy znów do bazy w Trial. Na szczęście niewiele mamy tu do roboty poza leżeniem właśnie. Jestem za wysoka na takie małe przestrzenie, pułkownik zresztą też. Leżymy więc pokracznie rozłożeni w naszej co najmniej słabo oświetlonej kryjówce. Wkrótce zapadnie noc i jedyną towarzyszką będzie nam ciemność.

Nie powinnam narzekać na ten środek transportu. W drodze z Solmary spędziłam połowę czasu na barce z owocami. Utknęła na Jeziorze Nerońskim i większość towaru zdążyła porządnie zgnić. Pierwszy tydzień operacji zszedł mi więc na praniu ciuchów, żeby się jakoś pozbyć tego smrodu. Chyba nigdy też nie zapomnę tego syfu tuż przed rozpoczęciem operacji Jeziorak w Detraonie. Trzy dni w wagonie z bydłem, po czym okazało się, że stolica Lakelandczyków i tak jest zupełnie poza naszym zasięgiem. Była zdecydowanie zbyt blisko Duszni i frontu, żebyśmy mieli jakiegokolwiek szanse na znalezienie dziury w zabezpieczeniach. Co jakoś głupio przeoczyłam przy planowaniu. Ale wtedy nie byłam jeszcze oficerem i to nie ja podjęłam decyzję o próbie infiltrowania stolicy Srebrnych bez odpowiedniego zaplecza szpiegowskiego i bez żadnego wsparcia. Podjął ją pułkownik. Był wtedy jedynie kapitanem o kryptonimie Baran. Chciał zbyt wiele udowodnić. Miał jeszcze o co walczyć. Ja byłam tylko na przyczepkę, zwykły świeżo zaprzysiężony żołnierz. No i też chciałam coś udowodnić.

Pułkownik wpatruje się uparcie w krajobraz. Nie po to, żeby rzeczywiście coś zobaczyć, ale by nie musieć patrzeć na mnie. „W porządku”. Też nie przepadam za patrzeniem na niego.

Może i nie jesteśmy przyjaciółmi, ale tworzymy zgrany zespół. Dowództwo o tym wie, my to wiemy. I dlatego wciąż wysyłają nas razem. Detraon był tylko jednym nieudanym krokiem, potknięciem w niekończącym się marszu dla dobra sprawy. To dla niej, dla Szkarłatnej Gwardii, odsuwamy na bok to, co nas dzieli.

– Dokąd potem? – Tak samo jak pułkownik słabo znoszę tę ciężką ciszę.

Odrywa się od ściany, marszczy brwi, ale wciąż na mnie nie patrzy.

– Wie pani przecież, że nie tak to działa, pani kapitan.

Oficerem jestem już od dwóch lat, przedtem dwa lata służyłam jako zwykły

żołnierz i właściwie całe życie przeżyłam w cieniu Gwardii. „Oczywiście, że wiem, że to tak nie działa”, mam ochotę warknąć.

Nikt nie wie więcej, niż musi. Nikomu nie mówi się więcej, niż tego wymaga dana operacja przeprowadzona przez dany szwadron pod danym przywódcą. Informacja jest niebezpieczniejsza niż wszelka inna broń, którą dysponujemy. Zrozumieliśmy to dobrze po kilku dziesięcioleciach nieudanych powstań, z których każde kończyło się natychmiast, gdy jakikolwiek Czerwony rebeliant trafiał w łapska Srebrnego Szeptacza. Nawet najlepszy żołnierz nie oprze się atakowi na umysł. Wyda każdy sekret. Dlatego moi szpiegowie i żołnierze odpowiadają tylko przede mną, ich kapitanem. Ja odpowiadam przed pułkownikiem, a on przed Dowództwem, ktokolwiek to jest. Wiemy tylko tyle, ile trzeba, by zrobić krok naprzód. Dzięki temu właśnie Gwardia przetrwała tak długo, dłużej niż wszelkie inne podziemne organizacje.

Nie ma jednak systemów doskonałych.

– To, że nie otrzymał pan nowych rozkazów, nie znaczy przecież, że się pan nie domyśla, jak mogą one brzmieć – rzucam.

Drżenie mięśnia na policzku – trudno powiedzieć, czy to zapowiada zmarszczenie brwi czy uśmiech. Raczej pewnie nie to drugie. Pułkownik w zasadzie się nie uśmiecha. Od lat.

– Mam swoje podejrzenia – odburkuje po dłuższej chwili.

– I...?

– Zachowam je dla siebie.

Prycham. Typowe. Choć, jak mam być szczerą, tak pewnie jest lepiej. Nieraz już ocierałam się o gończe psy Srebrnych. Aż za dobrze wiem, jak ważne jest zachowanie tajemnic Gwardii. Mój umysł i tak zawiera już zbyt dużo nazwisk, dat, operacji, danych, które wystarczyłyby do zniszczenia ze dwóch lat naszej pracy w Lakelandii.

– Pani kapitan Farley.

W oficjalnej korespondencji nie używamy ani tytułów, ani imion, ani nazwisk. We wszystkich tekstach, które mogłyby zostać potencjalnie przechwycone, widnieję jako Jagnię. To kolejne zabezpieczenie. Jeśli nawet jakaś wiadomość wpadnie w niepowołane ręce, jeśli Srebrnym uda się złamać szyfr, nadal będą mieli poważne trudności z namierzeniem nas i połapaniem się w naszej rozległej, oddanej sprawie siatce.

– Pułkowniku – odpowiadam i w końcu na mnie patrzy.

W jego zdrowym oku błyska żal. Ten znajomy mi odcień błękitu. Reszta tak bardzo się zmieniła przez te lata. Jest twardszy, to widać. Potężny kłęb mięśni zwiniętych niczym wąż, przyczajonych pod znośnym ubraniem. Włosy, jeszcze jaśniejsze niż moje, mocno się ostatnio przeredziły. Na skroniach pojawiła się siwizna. Przedziwne, że wcześniej jej nie zauważyłam. Pułkownik się starzeje. Ale

nie jest przez to wolniejszy. Ani głupszy. Nigdy jeszcze nie był tak szybki i tak niebezpieczny.

Ani drgnę, gdy tak obserwuje mnie chwilę w milczeniu. Przy nim wszystko jest próbą. Gdy otwiera usta, wiem już, że tę akurat przesłałam.

– Co pani wie o Norcie?

Uśmiecham się twardo.

– A zatem postanowili jednak rozszerzyć działania.

– Zadałem pani pytanie, Jagniątko.

To przezwisko jest śmieszne. Mam prawie metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Kolejna monarchia taka jak Lakelandia – warczę. – Czerwoni muszą pracować albo idą do wojska. Zamieszkują głównie wybrzeże, stolicą jest Archeon. Od prawie stu lat w stanie wojny z Lakelandią. Z Piedmontem mają sojusz. Ich król nazywa się Tyberiasz... Tyberiasz...

– Szósty – kończy głosem surowego nauczyciela. Nie żebym miała w życiu dużo do czynienia z nauczycielami. Jego wina zresztą. – Z domu Calore.

„Idioci. Nie mają nawet dość rozumu, żeby zdołać wymyślić dzieciom inne imiona”.

– To Płomienni – dodaję. – Mają się za spadkobierców tak zwanej Płonącej Korony. Idealne przeciwieństwo królów Lakelandii, którzy są przecież Wodniakami. – Tę monarchię znam akurat aż za dobrze. W końcu od urodzenia żyję pod jej panowaniem. Jest ona równie bezgraniczna i nieugięta jak wody jej królestwa.

– Otóż to. Przeciwieństwo. Ale aż nazbyt podobne.

– A zatem infiltrowanie ich powinno być równie łatwe.

Unosi jedną brew, macha ręką wokół, wskazując mi naszą niemożliwie małą przestrzeń. Wygląda na niemal rozbawionego.

– To jest dla pani „łatwe”?

– Dziś ani razu do mnie nie strzelano, więc tak, powiedziałabym, że mam dziś wyjątkowo łatwo – odparowuję. – Poza tym Norta jest chyba z połowę mniejsza od Lakelandii, prawda?

– Jej terytorium tak, ale nie populacja. Gęsto zaludnione miasta, bardziej zaawansowana infrastruktura...

– Tym lepiej dla nas. W tłumie łatwiej się schować.

Zgrzyta zębami. Działam mu na nerwy.

– Ma pani odpowiedź na wszystko?

– Jestem dobra w tym, co robię.

Na zewnątrz znów słychać grzmoty, teraz już bliżej.

– Czyli potem wybieramy się do Norty. Znów to, co tutaj – cisnę.

Moje ciało aż drży z ekscytacji. Na to właśnie czekałam. Lakelandia to tylko jedna szprycha w kole, jeden naród na kontynencie pełnym wielu. Rebelia

ograniczona do jednego kraju nie ma szans, prędzej czy później zduszą ją inne narody. Jeśli jednak dojdzie do czegoś większego, jeśli fala zaleje dwa królestwa, jeśli pod nogami Srebrnych zapadną się kolejne fundamenty – wtedy jest nadzieja. Nadzieja, że uda mi się zrobić to, co zrobić muszę.

Nielegalna broń, którą czuję na biodrze, nigdy jeszcze nie wydawała mi się tak cenna.

– Niech pani nie zapomina, pani kapitan... – Teraz to już się gapi. A to trudno mi znieść. „Jest tak okropnie do niej podobny”. – Niech pani nie zapomina, na czym polega nasza siła. Od czego zaczynaliśmy, skąd się wzięliśmy.

Bez żadnego ostrzeżenia kopię butem w deski pod nami. Ani drgnie. Moja złość nie jest dla niego zaskoczeniem.

– Jak bym niby miała zapomnieć? – drwię. Z trudem opanowuję chęć, by pociągnąć za długi, jasny warkocz, który zwisa mi na ramieniu. – Lustro przypomina mi o tym każdego dnia.

Nigdy nie wygrywam tych naszych kłótni. Ale tym razem czuję, że osiągnęłam coś w rodzaju remisu.

Odwraca wzrok, znów wbija go w ścianę. Ostatnie promienie słońca przebijają się przez szpary, oświetlają jego krwawe oko. Czerwony błysk w zamierającym świetle.

Wzdycha ciężko.

– Mnie również.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: Trial, LL.

Do: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Wróciłem do TRIAL z JAGNIĘ.

– Raporty na temat oporu Srebrnych z LL w ADELA zweryfikowane.

– Prośba o pozwolenie na wysłanie agenta WAKACJE i jej zespołu w celu obserwacji/reakcji.

– Prośba o pozwolenie na rozpoczęcie analizy w sprawie kontaktów w NRT.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: BARAN w Trial, LL.

– Udzielam pozwolenia na wysłanie agenta WAKACJE. Tylko obserwacja, operacja NA OKU.

– Udzielam pozwolenia na analizę możliwości kontaktowych w NRT.

– JAGNIĘ stanie na czele operacji CZERWONA SIEĆ, nawiąże kontakty z siatką przemytników i podziemiem w NRT, nacisk na czarny rynek prowadzony przez PUKAWKI. W załączniku rozkazy, ściśle tajne, tylko dla JAGNIĘ. Wyruszy do NRT w ciągu tygodnia.

– BARAN stanie na czele operacji ŚCIANA TARCZ. W załączniku rozkazy, ściśle tajne, tylko dla BARAN. Wyruszy do Ronto w ciągu tygodnia.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

Trial to największe lakelandzkie miasto na granicy z Nortą. Rzeźbione mury i wieże nad jeziorem Redbone, a potem już tylko odludne pustkowia Norty. W jeziorze kryje się zatopione miasto, zrabowane doszczętnie przez Wodniaki. Niewolnikom z Lakelandii kazano zbudować na brzegu Trial. Miał to być triumf nad zatopionymi ruinami i dziczą Norty.

Kiedyś nie mogłam pojąć, jak głupi muszą być ci, którzy prowadzą tę wojnę Srebrnych, skoro upierają się, by utrzymać ją bez końca na terytorium Duszni. Północna granica jest długa i kręta, ciągnie się wzdłuż rzeki, po obu stronach

w większości porasta ją las. Zawsze jest strzeżona, ale nigdy nikt jej nie atakuje. Zimą jest to oczywiście okrutna kraina mrozu i śniegu, ale wiosną? Latem? Teraz? Gdyby nie to, że Norta i Lakelandia walczą już ze sobą od stulecia, spodziewałabym się, że lada chwila czeka nas szturm na miasto. Ale taki szturm nie nastąpi. Ani teraz, ani potem.

Bo ta wojna to nie wojna.

To eksterminacja.

Czerwoni wstępują do wojska, walczą i giną tysiącami. Rok w rok. Są przekonani, że biją się za swoich królów, by bronić ojczyzny i swoich rodzin, które z pewnością zginęłyby niechybnie, gdyby nie ich żołnierska, nawet jeśli wymuszona, odwaga. Srebrni tymczasem siedzą wygodnie i bez końca bawią się swoimi legionami, przesuwając je w tę i w tę, wymieniając ciosy, które jakoś donikąd nie prowadzą. Czerwoni są jednak zbyt mali, zbyt ograniczeni, zbyt niewykształceni, by się w tym połapać. Obrzydliwość.

To tylko jeden z tysiąca powodów, dla których wierzę w sprawę i w Szkarłatną Gwardię. Ale od samego wierzenia nie jest lżej, gdy znów trafi cię kulka. Jak choćby ostatnim razem, kiedy wróciłam do Irabelle z krwawiącym brzuchem i tak słaba, że nie mogłam nawet iść bez cholernej pomocy pułkownika. Przynajmniej dali mi wtedy tydzień na odpoczynek i powrót do zdrowia. Teraz pewnie nie dostanę więcej niż kilka dni i znów nas wyślą.

Z tego, co wiem, Irabelle to jedyna porządna baza Gwardii w tym regionie. Bezpieczne budynki rozsiane są wokół rzeki i głębiej w lesie, ale to Irabelle jest z całą pewnością sercem naszej organizacji. W dużej mierze znajduje się pod ziemią, bardzo trudno w ogóle ją znaleźć, a jednak dla większości z nas to właśnie namiastka domu. Bo też większość z nas nie ma prawdziwego domu, tylko Gwardię i innych Czerwonych rebeliantów.

Baza jest o wiele większa, niż tego potrzebujemy. Tak duża, że ktoś z zewnątrz łatwo by się zgubił, gdyby, dajmy na to, próbował się tu wkraść. Idealna dla tego, kto lubi ciszę. Poza tym większość wejść i korytarzy wyposażona jest w śluzę. Wystarczy jeden rozkaz pułkownika, a całość pójdzie pod wodę zatopiona jak stary świat. Przez to jest tu dość wilgotno i zimno latem, a lodowato zimą. Ściany dosłownie zamarzają. Bez względu na porę roku lubię jednak szwendać się po tych tunelach na samotnym patrolu, wałęsać się po ciemnych, betonowych korytarzach, zapomnianych przez wszystkich poza mną. Po męczarni w pociągu, gdy czas schodził mi głównie na unikaniu oskarżycielskiego szkarłatnego spojrzenia pułkownika, chłodne powietrze rozpościerającego się przede mną tunelu jest dla mnie niczym powiew wolności. Lepszej w każdym razie nie znam.

Pistolet kręci się lekko na moim placu, jestem dobra w takich zabawach. Ale nie jest naładowany, jeszcze nie zgłupiałam. Wystarczy jednak jego ciężar, już od niego jest mi lepiej. „Norta”. Pistolet wiruje. „O wiele trudniej tam o pozwolenie

na broń. W przeciwieństwie do Lakelandii tam mogą ją nosić tylko myśliwi. A tych jest niewiele”. Kolejna przeszkoda, której już się nie mogę doczekać. Pokonam i ją. Nigdy nie byłam w Norcie, ale zakładam, że czeka mnie tam to, co w Lakelandii. Srebrni, niebezpieczeństwo i powszechna głupota. Tysiąc katów, milion w kolejce do stryczka.

Dawno już przestałam nawet pytać, dlaczego to się w ogóle dzieje. Wiem jedno: nie dla mnie te wszystkie klatki. W przeciwieństwie do tylu innych nigdy nie pogodzę się z takim losem, nie uznam za sposób na przetrwanie tego, co jest przecież tylko jakimś głupim poddawaniem się panom. W sumie to pułkownikowi właśnie powinnam być wdzięczna za tę moją upartą wiarę w wolność. Nie pozwolił mi myśleć inaczej. Nie pozwolił zaakceptować przeszłości. Ale oczywiście nigdy mu tego nie powiem. Już dawno przekreślił swoje szanse na jakiegokolwiek podziękowania z mojej strony.

I odwrotnie. W zasadzie więc wygląda na to, że jest sprawiedliwie. A czy nie o sprawiedliwość właśnie mi chodzi?

Kroki. Obracam głowę. Pistolet chowam. Ktoś z Gwardii nie miałby mi za złe własnej broni, ale oficer Srebrnych z pewnością tak. Choć też nie spodziewam się tu raczej żadnego. Nigdy nas tu jeszcze nie znaleźli.

Indy nie bawi się w uprzejmości. Zatrzymuje się kilka kroków ode mnie. Nawet w tym słabym świetle dobrze widać tatuaże na jej opalanej skórze. Po jednej stronie kolce – od nadgarstka aż po czubek ogolonej głowy. A z drugiej strony idące w dół róże. Jej kryptonim to Wakacje, ale bardziej pasowałby Ogród. Jest kapitanem jak ja i też odpowiada przed pułkownikiem. Jest nas dziesięcioro i każdy ma swój oddział żołnierzy.

– Pułkownik cię wzywa. Nowe rozkazy – mówi, a potem zniża głos, choć przecież w otchłaniach Irabelle nikt nie może nas słyszeć. – Nie jest zadowolony.

Uśmiecham się i ją mijam. Jest niższa i jak większość ludzi musi się bardzo postarać, żeby dotrzymać mi kroku.

– A to on w ogóle bywa z czegoś zadowolony?

– Wiesz, co mam na myśli.

Widzę w jej ciemnych oczach prawdziwy strach, a to rzadkość. Ostatni raz widziałam u niej takie spojrzenie w izbie chorych, gdy stała nad innym kapitanem. Saraline, kryptonim Litość, straciła nerkę podczas rutynowego nalotu. Wciąż nie może dojść do siebie. Chirurg się nie spisał. „Nie twoja wina. Nie jesteś lekarzem”, przypominam sobie. Zrobiłam, co mogłam. Jestem przyzwyczajona do widoku krwi, a w danej chwili nie mieliśmy nikogo lepszego do tej roboty. Tylko że nigdy przedtem nie trzymałam w ręku ludzkiego organu. „Przynajmniej żyje”.

– Już chodzi – mówi Indy, widać moje poczucie winy jest ewidentne. – Powoli, ale jednak.

– To dobrze – odpowiadam, ale nie dodaję, że powinna chodzić całe

tygodnie temu. „Nie twoja wina”, powtarzam sobie.

Docieramy do środka bazy i Indy skręca w stronę izby chorych. Niemal bez przerwy czuwa przy Saraline, oczywiście z wyjątkiem tych chwil, gdy zostaje wysłana na jakąś misję. Albo gdy załatwia coś dla pułkownika. Pojawiły się w Gwardii razem, były jak siostry. A potem stało się jasne, że jednak nie są siostrami. Nikomu to nie przeszkadza. Nie ma zasad zabraniających związków w obrębie organizacji, byle tylko robota została załatwiona i wszyscy wrócili cało. Jak dotąd nikt w Irabelle nie był na tyle głupi, żeby takie drobiazgi jak uczucia zagrażały dobru sprawy.

Zostawiam Indy na pastwę jej zmartwień i idę w przeciwną stronę, tam, gdzie już czeka pułkownik.

Jego biuro nadawałoby się na wspianiały grobowiec. Żadnych okien, betonowe ściany i lampa, która zawsze gaśnie, gdy nie trzeba. W Irabelle nie brakuje o wiele lepszych miejsc, w których mógłby urzędować, ale on woli ciszę i zamknięte przestrzenie. Jest tak wysoki, że pod tym niskim sufitem wydaje się olbrzymem. To dla niego pewnie tylko kolejny powód, by lubić ten pokój.

Gdy wstaje na moje powitanie, głową dotyka sufitu.

– Nowe rozkazy? – pytam, choć znam przecież odpowiedź. Siedzimy tu już od dwóch dni. Wiem, że nie mam co liczyć na wakacje i to, że operacja Jeziorak zakończyła się sporym sukcesem, nie ma większego znaczenia.

Trzy połączone ze sobą jeziora w środku Lakelandii znajdują się teraz pod naszą kontrolą i nikt nie ma o tym pojęcia. Po co nam to? Tego nie wiem. Ale to zmartwienie pułkownika, nie moje.

Pułkownik przesuwając po stole złożony papier. Z zapieczętowanymi brzegami. Muszę złamać pieczęć. „Dziwne”. Nigdy dotąd nie otrzymywałam zaklejonych rozkazów.

Przebiegam wzrokiem pismo, moje oczy rozwierają się szerzej z każdym słowem. Rozkazy od Dowództwa. Bezpośrednio dla mnie, z pominięciem pułkownika.

– To...

Unosi dłoń, żeby mnie uciszyć.

– Dowództwo zastrzegło, że nikt poza panią nie ma tego widzieć. – Opanowany głos, ale przecież wyczuwam jego wściekłość. – To pani operacja.

Muszę zacisnąć pięść, żeby się uspokoić. „Moja własna operacja!” Dudni mi w uszach, to krew z dziko walącego serca. Zaciskam szczęki, żeby się nie uśmiechnąć. Znów spoglądam na rozkazy, chcąc się upewnić, że to prawda. „Operacja Czerwona Sieć”.

Po chwili dociera do mnie, że czegoś tu brakuje.

– W rozkazach nie ma wzmianki o panu, panie pułkowniku.

Unosi brew nad nieruchomym okiem.

– A powinna być, pani kapitan? Nie jestem pani niańką.

Maska opanowania może mu spaść w każdej chwili. Skupia się na biurku. Strzepuje z niego jakiś nieistniejący pyłek.

Wzruszam ramionami na tę zniewagę.

– Dobrze więc. Zakładam, że pan otrzymał osobne rozkazy.

– Owszem – mówi szybko.

– Należałoby więc to jakoś uczcić.

– Zawsze miała pani parcie na szkło, co? To chce pani świętować? Czy raczej pić z okazji swojej misji samobójczej?

Teraz to już naprawdę się uśmiecham.

– Jakoś tak tego nie postrzegam. – Powoli składam kartkę z rozkazami i wsuwam ją do kieszeni kurtki. – Dziś piję za moją pierwszą samodzielną misję. A jutro ruszam do Norty.

– Wiadomość miała być tajna, pani kapitan.

Odwracam się jeszcze w drzwiach i posyłam mu piorunujące spojrzenie.

– I mam się niby łudzić, że pan nie wiedział, co w niej jest.

Jego milczenie wystarcza mi za odpowiedź.

– Poza tym i tak przecież raporty będę składać panu, żeby mógł je pan przekazać Dowództwu – dodaję. Nie mogę się powstrzymać, żeby mu trochę nie podokuczać. Należy mu się za ten docinek o niańczeniu mnie. – A zatem pan też ma odtąd nową rolę. Pośrednika.

– Radzę pani mieć się na baczności, pani kapitan.

Otwieram drzwi, z uśmiechem kiwam mu głową na pożegnanie.

– Zawsze się mam.

Na szczęście tym razem nie odpowiada ciężkim milczeniem.

– Pani ekipa filmowa już czeka w barakach. Nie ma co zwlekać.

– Mam nadzieję, że dobrze wypadnę przed kamerą. – Chichoczę sztucznie i udaję, że poprawiam fryzurę.

Macha na mnie ręką. Mogę to chyba uznać za oficjalny znak, że chce, bym mu w końcu zeszła z oczu. Robię to z miłą chęcią i pełna nowej energii zagłębiam się w korytarze Irabelle.

Ku mojemu zdziwieniu energii nie starcza mi jednak na długo. W stronę baraków ruszyłam dziarskim krokiem i już się cieszyłam na myśl o tym, że będę mogła zebrać swoich żołnierzy i przekazać im dobrą nowinę, ale jakoś nie wiem, kiedy zwolniłam, a radość zastąpił niepokój. Może nawet strach.

Nie bez powodu nazwano nas Baran i Jagnię. Nigdy dotąd nie ruszałam się nigdzie bez pułkownika. Zawsze był przy mnie. Niczym siatka asekuracyjna, której nie chciałam, ale do której aż nadto się przyzwyczaiłam. Uratował mi życie tyle razy, że trudno by to w ogóle zliczyć. I to dzięki niemu w ogóle tu jestem. To on wyrwał mnie z zamarzniętej wioski, gdzie każdej zimy traci się kolejne palce,

a przy każdej turze werbowania – kolejnych przyjaciół. Może się nie dogadujemy, ale zawsze udaje nam się wykonać zadanie i zostać przy życiu. I to tam, gdzie innym się to nie udaje. Teraz będę musiała nauczyć się robić to samo bez niego. Muszę odtąd chronić innych, wziąć pełną odpowiedzialność za ich życie. I za ich śmierć.

Przystaję, daję sobie jeszcze chwilę, żeby się zebrać w sobie.

Chłodny cień kusi. Przywieram do mokrego betonu ściany, chłonę łapczywie jej zimno. „Muszę być teraz jak pułkownik. Jestem kapitanem mojego oddziału, ich przywódcą, i muszę być idealna. Nie ma miejsca na błędy ani wahania. Do przodu za wszelką cenę. Powstań, Czerwona niczym świt”.

Pułkownik nie jest może dobrą osobą, ale jest na pewno doskonałym przywódcą. To wystarcza. A teraz ja muszę zrobić wszystko, by też taka być.

Ponownie analizuję swój plan. Niech reszta jeszcze sobie chwilę poleniuchuje.

Potem sama, wyprostowana dumnie, wkraczam do baraków. Nie wiem, dlaczego mnie wybrano, dlaczego Dowództwo chce, bym to ja wykrzyczała te słowa. Ale jestem pewna, że istnieje po temu dobry powód. Jeśli flagę będzie trzymała młoda kobieta, z pewnością rzuci się to w oczy – i zmyli przeciwnika. Tak, Srebrni posyłają na front zarówno mężczyzn, jak i kobiety, ale jednak rebeliantów pod dowództwem młodej dziewczyny łatwiej zignorować. I pewnie właśnie tego chce Dowództwo. Albo po prostu wolą, żeby to mnie w końcu dorwano i stracono, a nie kogoś spośród nich.

Pierwszy członek ekipy, na jakiego się natykam, ani chybi zwiął ze slumsów. W każdym razie na to wskazywałyby jego tatuaże. Gestem wskazuje mi miejsce przed kamerą. Inny podaje mi czerwoną chustę i wydrukowaną wiadomość, której przez wiele miesięcy jeszcze nikt nie usłyszy.

Ale gdy już się to stanie, gdy te słowa poniosą się po całej Norcie i Lakelandii, wszystko zadrży w posadach od siły ich uderzenia.

Staję przed kamerą sama, z ukrytą twarzą i słowami twardymi jak stal.

– Powstańcie, Czerwoni niczym świt.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: Trial, LL.

Do: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Zespół NA OKU pod dowództwem agenta WAKACJE natknął się na opór w ADELA.

– Kryjówka w ADELA zniszczona.

– NA OKU – podsumowanie:

Polegli: R. INDY, N. CAWRALL, T. TREALLER, E. KEYNE (4).

Straty po stronie Srebrnych: Zero (0).

Straty wśród ludności cywilnej: Nieznane.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 4 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 1.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Zatoka Harbor, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Droga przez prowincje ADERONACK, KNIEJA, MOKRADŁA bez problemów.

– Droga przez WYBRZEŻE utrudniona, wysokie zagęszczenie wojsk NRT.

– Kontakt z MARYNARZE nawiązany. Z ich pomocą wkraczam do ZATOKA HARBOR.

– **Spotkanie z EGAN, przywódcą MARYNARZE. Ocenę przydatność.**

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

Każdy dobry kucharz wam powie, że w kuchni zawsze są szczury.

Nie inaczej w Królestwie Norty. Po kątach, w szczelinach czają się – jak by to określiła Srebrna elita – najróżniejsze szkodniki. Czerwoni złodzieje, przemytnicy, dezercerzy, nastolatki kryjące się przed werbunkiem albo słabowite starszki usiłujące uniknąć kary za „przestępstwo”, które polega na tym, że zachciało im się zestarzeć. Chowają się po lasach i małych wioskach na północnym pustkowiu przy granicy z Lakelandią, znajdując schronienie tam, gdzie nie zamieszkałby żaden szanujący się Srebrny. Lecz w takich miastach jak Harbor, w których Srebrni mają swoje piękne domy i brzydkie prawa, Czerwoni muszą zdać się na o wiele bardziej desperackie rozwiązania. I ja też.

Do szefa Marynarzy Egana nie jest wcale łatwo się dostać. Jego tak zwani wspólnicy prowadzą mnie i mojego porucznika Tristana przez labirynt tuneli pod murami miasta. Krążymy wiele razy, żeby zmylić nie tylko nas, ale i każdego, kto mógłby chcieć nas śledzić. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby Melody – złodziejka o uroczym głosie i czujnym spojrzeniu – od razu zawiązała nam oczy. Ona jednak zdała się na ciemność i to wystarczyło. Gdy w końcu wyłaniamy się z tuneli, nie mam pojęcia, gdzie jest północ, a co dopiero mówić o drodze powrotnej.

Tristan jest nieufny, nie na darmo przeszedł szkołę życia w Szkarłatnej Gwardii. Nie odstępuje mnie na krok i nie wyciąga ręki z kieszeni kurtki, w której ma nóż. Melody i jej ludzie śmieją się z tego, odsłaniają płaszcze i szale i pokazują mu swoją broń.

– Nic się nie martw, Wielkoludzie – kpi dziewczyna, zadzierając głowę, bo Tristan jest naprawdę wysoki. – Zaopiekujemy się wami.

Tristan rumieni się ze złości, ale nie puszcza noża. Ja też nie zapominam o ostrzu ukrytym w moim bucie, ani tym bardziej o pistolecie zatkniętym za spodnie.

Melody prowadzi nas przez huczący od hałasu i śmierzący rybą rynek. Jej potężne ciało sunie sprawnie przez tłum, który dosłownie się przed nią rozstępuje. Widać tatuaż na jej ramieniu – niebieska kotwica otoczona czerwoną zwiniętą liną – stanowi wystarczające ostrzeżenie. Jest Marynarzem, czyli należy do grupy przemytników, których przydatność dla sprawy nakazało mi wy badać Dowództwo. Wnioskując po tym, jak zarządza swoimi ludźmi, a ma ich trzech, jest szanowana i stoi wysoko w tej hierarchii.

Czuję, jak mi się przygląda, choć wzrok ma wciąż utkwiony przed siebie. Spodziewałam się tego i dlatego nie wzięłam ze sobą reszty oddziału. Wystarczy, że my z Tristanem spotkamy się w mieście z jej szefem, poznamy jego nastawienie

i złożymy odpowiedni raport.

Wygląda na to, że Egan ma zupełnie inne podejście niż ja.

Siłą rzeczy spodziewam się podziemnej twierdzy takiej jak nasza Irabelle, ale Melody prowadzi nas do starej latarni o ścianach zniszczonych przez lata smagania słonym powietrzem. Kiedyś pomagała ona statkom zawinąć do portu. Teraz znajduje się zbyt daleko od wody, bo miasto rozrosło się w głąb jeziora. Z zewnątrz wydaje się, że budynek stoi opuszczony, okna są zabite, a drzwi zabarykadowane. Marynarze w ogóle się tym nie przejmują. Nawet nie próbują ukryć kierunku marszu, choć ja instynktownie staram się zachować jaką taką dyskrecję. Melody jednak wali prosto przez rynek z dumnie uniesioną głową.

Tłum płynie z nami niczym ławica ryb. Ruchomy kamuflaż. Eskortuje nas aż do latarni, pod same zamknięte, zabarykadowane drzwi. Tym mnie zaskoczyli. Jestem pod wrażeniem doskonałej organizacji. Wymagają szacunku, to jasne, i ogromnej lojalności. Obie te cechy cenione są także w Szkarłatnej Gwardii, szczególnie że są to wartości, których nie kupi się za pieniądze ani nie zdobędzie zastraszaniem. Serce wali mi mocniej. Marynarze mogą się okazać cennymi sojusznikami.

W końcu jesteśmy już w latarni, u stóp wijących się bez końca schodów. Oddycham z ulgą. Infiltrowanie miast Srebrnych to dla mnie nie pierwszozna, ale nie lubię tego. A jeszcze gorzej jest teraz bez pułkownika, tej opryskliwej, ale jakże skutecznej tarczy chroniącej przed całym złem.

– Nie boicie się oficerów? – pytam, patrząc, jak jeden z Marynarzy zamyka za nami drzwi. – Nie wiedzą, że tu jesteście?

Melody znów chichocze. Jest już na kilkunastym stopniu i wspina się jeszcze wyżej.

– E tam, oczywiście, że wiedzą.

Tristan wybałusza oczy.

– Co? – Blednie i dokładnie wiem, co czuje.

– Strażnicy wiedzą, że tu jesteśmy – potwierdza Melody, a jej głos niesie się echem po wnętrzu.

Stawiam pierwszy krok na schodach, ale Tristan chwytą mnie za przegub.

– Znikajmy stąd, pani ka... – wymyka mu się, ale nie daję mu dokończyć, nie pozwalam, by zdradził moje imię, złamał protokół i zasady, które chroniły nas dotąd tak skutecznie. Zamiast tego walę przedramieniem prosto w jego tchawicę, z całej siły pcham go w stronę schodów. Upada, jego długie cielsko rozciąga się na stopniach.

Gorąco zalewa mi policzki. Wcale nie chciałam tego zrobić, szczególnie nie przed obcymi. Tristan to dobry porucznik, może tylko trochę nadopiekuńczy. Sama nie wiem, co jest bardziej szkodliwe – pokazanie Marynarzom, że nasze szeregi są zwaśnione czy że są tchórzliwe. Mam nadzieję, że jednak to drugie. Ostentacyjnie

wzruszam ramionami, cofam się i podaję Tristanowi rękę, żeby wstał. Nie przepraszam go i wiem, że rozumie dlaczego.

Bez słowa idzie za mną po schodach.

Melody przepuszcza nas i teraz czuję jej wzrok na swoich plecach. Obserwuje każdy mój krok, a ja pozwalam jej na to, zachowując zupełnie obojętny wyraz twarzy. Staram się wyglądać jak pułkownik. Nieodgadnione spojrzenie. Kamienny spokój.

Ze szczytu latarni, przez zabite dechami okna widać całe miasto. Zbudowano je na innym, o wiele starszym, stąd to kłębowisko alei i zaułków. Wąskie, wijące się uliczki nadają się raczej dla koni niż nowoczesnych pojazdów. W drodze tu musieliśmy nieraz kryć się po kątach, żeby nie dać się przejechać. Teraz widzę, że w samym środku miasta znajduje się słynny port, który – tak się składa – ma zbyt wiele zaułków, tuneli i zapomnianych miejsc, by można go skutecznie patrolować. Jeśli jeszcze dodać do tego ogromny odsetek Czerwonych w populacji tego miasta, staje się jasne, że Harbor to doskonałe miejsce dla celów Szkarłatnej Gwardii. Nasz wywiad uznał, że to właśnie tu najlepiej zacząć planować rebelię Czerwonych w Norcie. W przeciwieństwie do Archeonu, gdzie aż roi się od gubernatorów, zatoka Harbor nie jest wcale tak ściśle kontrolowana.

Choć oczywiście nie jest też całkiem bezbronny. Na wodzie znajduje się baza wojskowa dzieląca to idealne półkole ziemi i fal na dwie części. „Fort Patriot”. Baza nortańskiej marynarki, wojsk lądowych i sił powietrznych, jako jedyna obsługująca wszystkie trzy rodzaje wojsk Srebrnych. Tak samo jak domy w Harbor budynki bazy są białe, dachy niebieskie, a iglice długie i srebrne. Staram się zapamiętać ten widok. Kto wie, kiedy się przyda. Dzięki tej bezsensownej wojnie na północy Fort Patriot zupełnie nie ma czasu przejmować się znajdującym się tuż obok miastem. Żołnierze nie wyściubiają nosa za mury, miasto nadzorowane jest tylko przez strażników. Według naszych raportów chronią oni swoich obywateli, czyli Srebrnych, a Czerwoni właściwie rządzą się sami, organizując się w osobne grupy i bandy o własnej hierarchii. Wśród nich wyróżniają się trzy.

Czerwony Patrol to swego rodzaju policja, usiłująca walczyć o sprawiedliwość i pilnować przestrzegania prawa, którym strażnicy Srebrnych się oczywiście nie przejmują. To Patrol rozstrzyga spory między Czerwonymi i orzeka w sprawach przestępstw, żeby zapobiec bezlitosnym rozwiązaniom Srebrnych. Ich działalność jest ogólnie uznawana, tolerują ją nawet Srebrni oficerowie i dlatego właśnie z nimi nie będę się kontaktować. Choć ich cele są bardzo szlachetne, jak dla mnie zbyt blisko współpracują ze Srebrnymi.

Do gangu Piratów też się raczej nie zgłoszę. Tych ludzi cechuje brutalność, co zwykle sobie cenię. Robią we krwi, to jasne, ale zachowują się trochę jak wściekłe psy – są równie agresywni, uparci i głupi. Ich członkowie często giną

w egzekucjach, szybko się ich zastępuje. Swoją część miasta kontrolują poprzez szantaże i morderstwa. Pozostają w niemal stałym konflikcie z inną grupą – Marynarzami.

I to tych trzech właśnie chcę przeciągnąć na naszą stronę.

– Jagnię, jak rozumiem.

Obracam się tyłem do rozciągającego się za oknami horyzontu.

Mężczyzna, który jest pewnie Eganem, opiera się o okna naprzeciw mnie. Nie wiem, czy nie uświadamia sobie tego zagrożenia, czy po prostu się nie boi, ale za jego placami jest przecież tylko stare szkło, a potem już przepaść. Egan również w coś gra, pokazuje tylko te karty, które chce, a inne starannie ukrywa.

Przyszedł tu z samym Tristanem, bo chodziło mi o osiągnięcie pewnego określonego efektu. Egan otoczył się kilkoma Marynarzami, w tym Melody, a więc postawił na pokaz siły. Chce mi zaimponować. „Doskonale”.

Krzyżuje ręce na piersi, ukazując swoje mięśnie i identyczne tatuaże z kotwicami na obu ramionach. Trochę przypomina mi pułkownika, choć z wyglądu nie są podobni. Egan jest niski, przysadzisty, ma skórę spaloną słońcem i długie, zniszczone solą włosy, które splótł w warkocz. Nie mam wątpliwości, że kawał życia spędził na morzu.

– A w każdym razie takim kryptonimem cię uraczyli, jak rozumiem – ciągnie Egan i szczerzy zęby. Których sporo mu brakuje. – Mam rację?

Wzruszam ramionami.

– Czy moje imię ma tu jakieś znaczenie?

– Żadnego. Liczą się tylko twoje zamiary. Przejdźmy od razu do nich.

Odpowiadam mu równie szerokim uśmiechem i przechodzę przez pomieszczenie, ostrożnie wymijając dziurę po świetle, którego już nie ma.

– Te już pewnie znasz.

Z rozkazów, które otrzymałam, wynikało, że nawiązano już jakiś kontakt, ale nie było żadnych szczegółów. Celowo oczywiście, żeby nikt nie mógł wykorzystać korespondencji przeciwko nam.

– Tak, wiem wiele o celach i taktykach waszych ludzi, ale teraz pytam o ciebie. Po co ty tu jesteś?

„Waszych ludzi”. Te słowa natychmiast przyczepiają się do mojego mózgu. Muszę je potem rozszyfrować. Naprawdę wolałabym walkę na pięści, a nie tę koszmarną grę w odbijanie pytań. Wolę siniaka niż zagadkę.

– Moim celem jest ustalenie kanałów komunikacyjnych. Zajmujecie się przemysłem, więc posiadanie przyjaciół po drugiej stronie granicy jest dla was równie dobre, jak dla nas. – Znów posyłam mu czarujący uśmiech i jeszcze przeczesuję splecione włosy palcami. – Ja jestem tu tylko posłannikiem.

– Hm, raczej nie podejrzewałbym, że kapitan Szkarłatnej Gwardii to byle posłannik.

Tym razem Tristan trzyma głowę na kłódkę. To ja zapominam o wszystkim, czego mnie uczono, i reaguję głupim rumieńcem i lekkim rozszerzeniem oczu. Jego podwładni, szczególnie Melody, mają czelność skwitować to chichotem.

„Wasi ludzie. Szkarłatna Gwardia”. On już nas zna.

– Zatem nie przychodzę do ciebie jako pierwsza.

Znów ten szalony uśmiech.

– Bynajmniej. Pracujemy dla was już... – urywa dla efektu, patrzy wymownie na Melody. – Od dwóch lat?

– Od września 300, szefie – odpowiada dziewczyna.

– Racja. Rozumiem, że nic ci o tym nie wiadomo, Owieczko.

Opanowuję przemożną chęć zgrzytnięcia zębami, albo i warknięcia. „Dyskrecja”, przypominam sobie zalecenia z rozkazów. Domyślam się, że wywalenie jednego nadętego przestępcy z jego walącej się wieży nie kwalifikowałoby się jako dyskretne rozwiązanie sprawy.

– Nie mamy takiego zwyczaju – taka odpowiedź musi im wystarczyć.

Egan wyobraża sobie, że jest kimś o wiele ważniejszym i lepiej poinformowanym niż ja, ale się myli. Pojęcia nie ma, kim jesteśmy, co zrobiliśmy i co jeszcze zamierzamy zrobić. W życiu by tego nie zrozumiał.

– W każdym razie twoi kumple dobrze płacą, co do tego nie ma dwóch zdań. – Potrząsa mi przed nosem piękną srebrną bransoletą splecioną niczym lina. – Rozumiem, że ty też.

– Jeśli zrobisz, o co poprosimy, zapłacę.

– No to zrobię, o co poprosicie.

Jedno skinienie w kierunku Tristana wystarcza. Porucznik rzuca się w moją stronę, dwa wielkie, szybkie kroki i już jest przy moim boku. Egan wybucha śmiechem.

– Ho, ho, a z ciebie to dopiero patyczak – kpi. – Jaką tobie walnęli ksywkę? Tyczka?

Powstrzymuję uśmiech. Nie chcę zrobić Tristanowi przykrości. Bez względu na to, ile je i trenuje, nijak nie potrafi przybrać na wadze. Ale brak mięśni nie ma u niego znaczenia. Tristan jest snajperem, a nie awanturnikiem. Najskuteczniejszy jest, gdy znajduje się ze sto metrów od celu, z dobrą bronią w dłoni. Nie mówię też Eganowi, że jego kryptonim to Kości.

– Potrzebujemy informacji i wprowadzenia do tak zwanej sieci Pukawek – zgodnie z planem to Tristan przedstawia moje żądania. Kolejna taktyka, którą zerznęłam od pułkownika. – Szukamy zaufanych kontaktów w następujących kluczowych strefach.

Podaje im mapę – zupełnie pustą poza czerwonymi kropkami w ważnych miastach i na skrzyżowaniach dróg w całym państwie. Znam ją na pamięć. Przemysłowe slumsy Szarego Miasta i Nowego Miasta; stolica, czyli Archeon;

Delphie; wojskowe Corvium; i wiele pomniejszych miast i wsi między nimi. Egan nawet nie patrzy na papier, tylko kiwa głową. Uosobienie pewności siebie.

– Coś jeszcze? – pyta.

Tristan ogląda się na mnie. Daje mi w ten sposób ostatnią szansę, by zignorować ten rozkaz Dowództwa. Ale jej nie wykorzystuję.

– Będziemy już wkrótce potrzebować waszej siatki szmuglerów.

– Łatwizna. Dzięki Pukawkom cały kraj stanie przed wami otworem. Możecie spokojnie przesyłać choćby i żarówki stąd do Corvium i z powrotem.

Tym razem nie udaje mi się powstrzymać uśmiechu.

I wtedy uśmiech Egana blednie. Dociera do niego, że to nie będą żarówki.

– Co to będzie za towar?

Szybkim ruchem ciskam mu pod nogi małą sakiewkę z tetrarchami. Srebrnymi. To wystarczy, by go przekonać.

– Ludzie.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 6 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 1.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Zatoka Harbor, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– **MARYNARZE: przywódca EGAN zgadza się na warunki. Na etapie 2 operacji CZERWONA SIEĆ zajmą się transportem w regionie WYBRZEŻE.**

– **Informacja dodatkowa: MARYNARZE wiedzą o organizacji SG. Inne komórki aktywne w NRT. Prośba o wyjaśnienie?**

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Pulownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: JAGNIĘ w Harbor, NRT.

– Zignorować. Skupić się na CZERWONA SIEĆ.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 10 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 1.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Albanus, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Ustalone kontakty w sieci PUKAWKI w regionie WYBRZEŻE, przechodzę do DOLINA CAPITAL, chętni do etapu 2.

– Przesuwamy się w górę rzeki CAPITAL.

– Miejscowość ALBANUS – najbliższy ośrodek Czerwonych przy SUMMERTON (letnia siedziba króla Tyberiasza + jego rządu).

– Znaczenie? Do oszacowania.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

Okoliczna ludność nazywa tę wieś Palami. I dobrze rozumiem dlaczego. Rzeka wezbrała, jak to na wiosnę, i większość osady znalazłaby się już dawno pod

wodą, gdyby nie wysokie podpory, na których oparta jest cała ta przemysłna konstrukcja. A nad nią góruje arena na wzgórzu – dosadne przypomnienie, kto tu rządzi.

To niewielka miejscowość, więc w przeciwieństwie do Harbor czy Haven nie ma tu murów, bram ani testów krwi. Wchodzę z moimi żołnierzami rano, gdy do wsi dociera akurat grupa kupców podążających Traktem Królewskim. Srebrny oficer rzuca okiem na nasze fałszywe identyfikatory i ze znużoną miną macha ręką, żebyśmy szli dalej. Właśnie wpuścił do swojej wioski pełnej owiec prawdziwą watahę wilków. Gdyby nie położenie tego miejsca, gdyby nie jego bliskość do letniej rezydencji króla, w ogóle by mnie tu nie było. Nie ma tu nic ciekawego. Przepracowani drwale i ich rodziny, wszyscy ledwo żywi ze zmęczenia, nie ma szans, żeby wykrzesali z siebie energię potrzebną do walki z reżimem. Ale zaledwie kilka kilometrów stąd znajduje się Summerton, a to sprawia, że Albanus staje się dla nas bardzo ważnym miejscem.

Zanim wyruszyliśmy, Tristan nauczył się na pamięć planu wsi. A przynajmniej próbował. Nie możemy przecież korzystać z map, bo to od razu zdradziłoby nas jako obcych. Teraz skręca szybko w lewo, a my za nim. Schodzimy z Traktu Królewskiego na pełną błota niebrukowaną uliczkę, która ciągnie się wzdłuż rzeki. Buty zapadają nam się w mazi, ale jakoś unikamy poślizgnięcia.

Na lewo widzimy domy, to musi być pewnie ulica Marcher. Patrzy na nas parę brudnych dzieciaków, które dla zabicia czasu ciskają kamieniami w rzekę. Dalej widać rybaków na łódkach. Wciągają połyskujące sieci pełne ryb, śmieją się, szczęśliwi, że mają pracę. To dzięki niej nie muszą iść na tę bezsensowną wojnę.

Jesteśmy tu z powodu Pukawki z Orienpratis, kamieniołomów położonych w prowincji Wybrzeże. Zapewniła nas, że ktoś działa również w Palach – odkupuje łupy od złodziei i pomaga w innych nie za bardzo legalnych działaniach. Tylko że powiedziała nam jedynie, że Pukawka tu jest, ale gdzie – tego już nie. Nie dlatego, że mi nie ufała, ale po prostu nie wiedziała, kto konkretnie działa w Albanusie. Podobnie jak Szkarłatna Gwardia Pukawki posługują się tajemnicami jak tarczami. Pozostaje mi więc mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

Na rynku w Palach panuje tłum i gwar. Znosi się na deszcz, wszyscy chcą więc pozalać sprawunki, zanim lunie. Przerzucam warkocz na lewe ramię. To sygnał. Nie muszę się oglądać, żeby wiedzieć, że moi gwardziści rozdzielili się i ruszyli w tych parach co zwykle. Mają jasne rozkazy. Dyskretnie obejrzą rynek. Wyłapać ewentualne wskazówki. Jeśli tylko się da, namierzyć Pukawkę. Mają też swoje dość nieszkodliwe towary – szklane koraliki, baterie, starą kawę – które będą próbowali sprzedać lub wymienić, by dotrzeć do pasera. „No to do roboty”. Ja też mam bowiem małą, ale ciężką sakiewkę, którą schowałam pod rąbkiem bawełnianej koszuli. W środku są kule. Każda innego kalibru, żeby wyglądały na

kradzione. Tak naprawdę mam je z naszej nowej bazy w Norcie, wspaniałej jaskini skrytej w Kniei. Tego jednak oczywiście nikt nie może wiedzieć.

Tristan jak zawsze mnie nie odstępował, ale tu jest spokojniejszy. Takie małe miejscowości nie stanowią dla nas specjalnego zagrożenia. Wprawdzie strażnicy Srebrnych patrolują rynek, ale jest ich niewielu i wyraźnie się nie przykładają. Co ich obchodzi, że Czerwoni się nawzajem okradają. Kary dostaną się tylko tym bezczelnym, którzy poważą się na spojrzenie jakiegoś Srebrnemu w oczy. I tym, którzy już tak narozrabiają, że strażnicy naprawdę będą się musieli pofatygować i interweniować.

– Głodna jestem – mówię, odwracając się do straganu z gruboziarnistym chlebem. Ceny, w porównaniu z tym, co płaciłam za pieczywo w Lakelandii, są horrendalne, ale też w Norcie trudno o zboże. Ziemia jest tu zbyt kamienista, żeby można było cokolwiek z powodzeniem uprawiać. Jakim cudem ten człowiek w ogóle daje radę się utrzymać, sprzedając chleb, na który nikogo nie stać? Dla mnie to żadna tajemnica.

Piekarz zbyt chudy jak na swój zawód nawet na nas nie patrzy. Z pewnością nie wyglądamy na potencjalnych klientów. Muszę dopiero zadzwonić monetami, żeby w ogóle zwrócił na nas uwagę.

W końcu podnosi wzrok, jego oczy są duże i załamane. Zaskoczył go dźwięk obcych monet.

– Mam tylko to, co widać. – Prosto z mostu. To mi się podoba.

– Te dwa – odpowiadam, wskazując najpiękniejsze bochenki. Ujdą.

Unosi brwi. Łapie bochny, owija je z wprawą w stary papier. Gdy bez żadnego targowania podaję mu miedziane monety, robi jeszcze bardziej zdziwioną minę. I staje się podejrzliwy.

– Nie znam cię – mamrocze. Odwraca wzrok w prawo, gdzie w oddali jakiś oficer łąka kilkoro wygłodzonych dzieci.

– Jesteśmy kupcami – odpowiada Tristan. Pochyla się, opiera o ladę stoiska. Unosi lekko rękaw, ukazując coś na nadgarstku. Czerwona opaska. Znak Pukawek. To tatuaż, choć nieprawdziwy. „Tego piekarz nie musi wiedzieć”.

Wzrok mężczyzny zatrzymuje się na chwilę na Tristanie, potem znów wraca do mnie. Nie jest zatem taki głupi, na jakiego wygląda.

– I czym handlujecie? – pyta, podając mi jeden z bochnów. Drugi jednak trzyma. Czeka.

– A różnymi takimi – szepczę i zaraz potem gwizdzę, cicho, ale wiem, że mnie słyszy. To tylko dwie nuty. Nauczyła mnie ich inna Pukawka. Zupełnie nieszkodliwa melodia. Jeśli się nie wie, o co chodzi.

Piekarz nie uśmiecha się, nie kiwa głową. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji.

– Handluje się lepiej po ciemku.

– To prawda.

– Na ulicy Mill, na łuku. Wóz – dodaje. – Po zachodzie słońca, ale przed północą.

Tristan kiwa głową. Wie, gdzie to jest.

Dorzucam swoje lekkie skinienie, dyskretne podziękowanie. Piekarz jednak nie odpowiada tym samym. Zamiast tego jego palce zaciskają się na moim drugim bochenku chleba, który odkłada z powrotem na blat. Jednym sprawnym ruchem rozrywa papier, po czym wgryza się w pieczywo. Na jego rzadką brodę sypią się okruchy, a każdy z nich to wiadomość dla mnie. Monetami zapłaciłam za coś o wiele cenniejszego niż chleb.

„Ulica Mill, na łuku”.

Z trudem powstrzymuję się od uśmiechu, przerzucam warkocz na prawe ramię.

Moi żołnierze zaprzestają poszukiwań. Wracają do mnie jak jeden mąż, spływają jak ławica ryb. Wymykamy się z rynku. Dwie moje gwardzistki gderają, bo ktoś je zdążył okraść.

– Tyle dobrych baterii. Przepadły. I nawet nie wiem kiedy – wścieka się Cara, obmacując swoją sakwę.

Oglądam się na nią.

– A nadajnik? – Jeśli przepadł nadajnik, małe radyjko do komunikowania się za pomocą pikania i stukania, będziemy mieć poważne kłopoty.

Na szczęście dziewczyna kręci głową, klepie się po niewielkim wyrzuceniu pod bluzką i mówi:

– Jest.

Ukrywam ulgę i reaguję tylko krótkim skinieniem.

– Hej, a mi rąbnęli monety! – mamrocze zdumiona Tye. Przeszukuje kieszenie swoimi umięśnionymi, pełnymi blizn łapami.

Mało nie wybucham śmiechem. Wybraliśmy się dziś na ten targ, żeby znaleźć mistrza złodziei, a tymczasem moi żołnierze dali się okraść byle kieszonkowcom. Powinnam się chyba na nich zezłościć, ale zamiast tego z trudem opanowuję chichot. Tych kilka straconych monet nie ma znaczenia. Przecież ledwie parę tygodni temu pułkownik twierdził, że wybieram się na misję samobójczą.

„A tymczasem idziemy jak burza. I jesteśmy jak najbardziej żywi”.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 11 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 1.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Albanus, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– ALBANUS/PALE: PUKAWKI chętne do współpracy na etapie 2.

– Mamy obserwatora w SUMMERTON/letni pałac króla.

– Wstępne informacje o Czerwonych kontaktach w armii w CORVIUM.

Do sprawdzenia.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: JAGNIĘ w Albanus.

– To wykracza poza rozkazy. I jest zbyt niebezpieczne. Skupić się na CZERWONA SIEĆ.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 12 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 1.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Siracas, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– **Celem operacji CZERWONA SIEĆ etap 1 jest wprowadzenie SG do NRT przez istniejące sieci. Działanie zgodnie z rozkazami.**

– **Kontakty wśród Czerwonych w armii bezcenne. Kontynuuję. Przekazać wiadomość do DOWÓDZTWO.**

– **W drodze do CORVIUM.**

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: JAGNIĘ w Siracas.

– **Wstrzymać akcję. Nie jechać dalej do CORVIUM.**

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: JAGNIĘ w Siracas, BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Kontynuować drogę do CORVIUM. Oszacować kontakty w armii pod kątem informacji i etapu 2: Usuwanie.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 12 operacji CZERWONA SIEĆ.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Corvium, NRT.

Do: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ], BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Tak jest.

– Widać nie aż takie niebezpieczne.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Zdecydowanie odradzam dalszy rozwój operacji CZERWONA SIEĆ. JAGNIĘ trzeba trzymać krótko.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Dzięki za radę.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

Stąd czuć już Dusznę. Popiół, dym, trupy.

– Spokojny dzień. Żadnych bomb. – Tye wpatruje się w horyzont na północnym zachodzie, gdzie czai się ciemna mgielka, która może być tylko jedną rzeczą: frontem tej bezsensownej wojny. Tye sama była w armii, choć po innej stronie, niż się teraz znajdujemy. Walczyła za panów Lakelandii. Podczas mrozów w okopach straciła ucho. Nie ukrywa tej straty. Jasne włosy zaczesuje mocno, tak żeby wszyscy widzieli pozostałości po jej tragicznej lojalności.

Tristan po raz trzeci metodycznie przeszukuje krajobraz wokół, wpatrując się uważnie w celownik swojej długiej strzelby. Leży na brzuchu, skryty dość dobrze w trawie. Jego ruchy są powolne, precyzyjne, miał czas nabrać wprawy w Irabelle i w lasach Lakelandii. W promieniach słońca dobrze widać nacięcia na lufie. Dwadzieścia dwa, po jednym na każdego zabitego z tej broni Srebrnego. Jak na kogoś o tak chaotycznych ruchach, ten chłopak ma zadziwiająco spokojny palec spustowy.

Z naszego miejsca na wzgórzu mamy dobry widok na otaczające nas lasy.

Dusznia znajduje się kilka kilometrów na północny zachód (nawet w porannym słońcu skrywa ją dym), a na wschodzie leży Corvium. Nie ma tu żadnych innych miejscowości. Nie ma nawet zwierząt. Znajdujemy się zbyt blisko okopów. Tu są już tylko żołnierze. Ale oni z kolei trzymają się Traktu Żelaznego, głównej trasy, która przez Corvium dociera aż na front. W ciągu ostatnich kilku dni dowiedzieliśmy się sporo o legionach Czerwonych, którzy nieustannie się przemieszczają. Pojawiają się nowi, zastępują poległych, i ledwie tydzień później maszerują z powrotem, targając kolejnych poległych i rannych. Pojawiają się zawsze o zmroku. Trzymamy się na uboczu, ale i tak słyszymy, jak idą traktem. Pięć tysięcy w każdym legionie – pięć tysięcy naszych braci i siostr, którzy skończą jako ruchome cele. Konwoje z zapasami nie są aż tak przewidywalne, bo przyjeżdżają wtedy, gdy są potrzebne, bez żadnego rozkładu. Je także obsługują Czerwoni żołnierze. Pilnują ich wprawdzie Srebrni oficerowie, ale ci najbardziej beznadziejni. To żaden zaszczyt dowodzić transportem starego żarcia i zużytych bandaży. Dla Srebrnych konwój to kara, dla Czerwonych ratunek. Dla nas najważniejsze jest to, że są one słabo strzeżone. W końcu wroga Lakelandia znajduje się po drugiej stronie Duszni, za kilometrami nieużytków, okopów i artylerii. Nikt, kto maszeruje po trakcie, nie patrzy przecież na drzewa. Nikt nie ma podejrzeń, że nawet wewnątrz ich diamentowych murów czai się już inny wróg.

Z mojego miejsca nie widzę Traktu Żelaznego – drzewa pełne są liści, które zasłaniają brukowaną drogę. Ale dziś nie obserwujemy traktu. Nie obserwujemy ruchów armii. Zamierzamy z tą armią porozmawiać.

Mój wewnętrzny zegar twierdzi, że już się spóźniają.

– To może być zasadzka – mamrocze pod nosem Tristan, który ma w ogóle zwyczaj panikować.

Nie odrywa wzroku od celownika. Pułapki zaczął się spodziewać już w tamtej chwili, gdy Will Pukawka powiedział nam o swoich kontaktach w armii. A teraz, gdy mamy się z nimi spotkać, Tristan panikuje jeszcze bardziej niż zwykle, o ile to w ogóle możliwe. Przynajmniej dzięki temu nie traci czujności, ale jednak trochę przesadza. Ryzyko jest wpisane w tę grę. Jeśli będziemy myśleć tylko o tym, jak nie zginąć, daleko nie zajdziemy.

Ale nie bez powodu czekamy tu tylko we trójkę.

– Jeśli to rzeczywiście zasadzka, wydostaniemy się z niej – odpowiadam. – Bywało gorzej.

Nie kłamię. Wszyscy mamy swoje blizny, swoje duchy z przeszłości. Niektóre przygnały nas do Szkarłatnej Gwardii, inne zdobyliśmy już tu. Ja mam i takie, i takie.

Mówię to bardziej ze względu na Tye niż na Tristana. Jak każdy, kto uciekł z okopów, bardzo cierpi, że musiała tu wrócić, nawet jeśli tym razem nie ma na sobie niebieskiego munduru Lakelandii. Nie powie słowa, ale po prostu wiem.

– Coś się rusza.

Zniżamy się z Tye i obracamy w stronę, w którą patrzy Tristan. Lufa przesuwana się powoli niczym ślimak, podąża za czymś wśród drzew. Cztery cienie. „Za dużo”.

Wychodzą z rękoma w górę, pokazują nam, że mają puste dłonie. W przeciwieństwie do żołnierzy na trakcie ci czterej woleli odwrócić swoje mundury na lewą stronę, poplamionymi na brązowo i czarno podszewkami na wierzch. To zapewnia im lepszy kamuflaż w lesie. I ukrywa przed nami ich ranę, nazwiska. Nie widzę przez to żadnych odznak. Nie mam pojęcia, kim są.

Bryza głaszcze trawę, która faluje niczym staw z jednym kamieniem – zielone fale rozbijają się o czterech ludzi podążających ku nam gęsiego. Przyglądam się ich stopom. Ostrożnie stawiają kroki w ślady przywódcy. Każdy, kto by usiłował ich tropić, myślałby, że szła tędy jedna osoba. „Sprytne”.

Tym przywódcą jest kobieta. Szczękę ma jak kowadło. Brakuje jej obu palców spustowych. Widać to jej nie przeszkadza w byciu żołnierzem, jeśli wnioskować po zmęczeniu na twarzy. Głowę ma wygoloną, tak zresztą jak i smukła, opalona dziewczyna, która idzie za nią.

Za nimi kroczą przez trawę dwaj mężczyźni. Obaj są młodzi, pewnie to dopiero pierwszy ich rok w wojsku. Żaden z nich nie ma jeszcze blizn ani jakichkolwiek innych widocznych obrażeń, więc w Corvium nie uda im się udawać rannych. Pewnie to żołnierze odpowiedzialni za zaopatrzenie. Szczęściarze, którzy muszą tylko targać skrzynie z amunicją i jedzeniem. Chociaż ten drugi, ten, który idzie na samym końcu, wydaje się zbyt delikatnej budowy na fizyczną pracę.

Ogolona kobieta zatrzymuje się trzy metry od nas, ręce wciąż trzyma wysoko. Jest jak na mój gust zdecydowanie za blisko nas. Mimo to podnoszę się i podchodzę jeszcze bliżej. Tye i Tristan stoją bez ruchu. Nie chowają się, ale też nie zbliżają.

– To my – mówi kobieta.

Ręce trzymam na biodrach, palce ledwie kilka centymetrów od broni, którą mam za pasem. Oczywiście groźba.

– Kto nas przysłał? – pytam, żeby ją sprawdzić.

Za mną Tristan zamiera niczym wąż. Kobieta jest na tyle odważna, że odrywa wzrok od jego lufy. Pozostali za nią nie.

– Will Pukawka z Palów – odpowiada, ale na tym nie poprzestaje, choć to by wystarczyło. – Dzieci zabrane matkom, żołnierze wysłani na rzeź, niezliczone pokolenia niewolników. Każdy z nich was do nas przysłał.

Bezgłośnie bębnię palcami. Wściekłość to miecz obosieczny, a tę kobietę ranił z każdej strony.

– Pukawka wystarczy. Kim jesteś?

– Kapral Eastree, z Legionu Wieży. Wszyscy jesteśmy z jednego legionu. –

Wskazuje na pozostałych, którzy nadal wpatrują się w Tristana. Daję mu znak głową i jego palec trochę się odpręża. Ale tylko trochę. – Należymy do oddziałów pomocniczych, zrekrutowani zostaliśmy w Corvium.

– To już wiem od Willa – kłamię szybko. – A co wam powiedział o mnie?

– Dość, byśmy tu przyszli. Dość, byśmy nadstawili karku. – To głos szczupłego mężczyzny na końcu. Wychyla się zza swoich towarzyszy, jego uśmiech jest kpiący, chłodny. – Wiecie chyba, że jeśli nas tu złapią, mamy murowaną egzekucję?

Znów wieje wiatr, tym razem mocniej. Zmuszam się do podobnego uśmiechu.

– Doprawdy?

– Załatwmy to jak najszybciej – mówi Eastree. – Wy może wolicie nie zdradzać swoich imion, ale nam wszystko jedno. Mają naszą krew, nasze twarze. To szeregowi Florins, szeregowi Reese i...

Ten z kpiącym uśmiechem wychodzi ze swojego miejsca, podchodzi bliżej i aż dziwne, że nie wyciąga dłoni na powitanie.

– Jestem Barrow. Shade Barrow. I wolałbym przez ciebie nie zginąć.

Mrużę oczy.

– Niczego nie mogę obiecać.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 23 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 1.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Corvium, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– **Załączam informacje z CORVIUM: statystyki fortu, plan miasta, plan tuneli, rozkład zajęć armii.**

– **Wstępna ocena: duże szanse na współpracę z kpr. E. (chętna, wściekła, odważna) i ad. B. (znajomości, adiutant oficera stacjonującego w CORVIUM).
Opcje: rekrutacja teraz lub etap 2.**

– Obydwoje chętni do współpracy, ale poza tym nieświadomi obecności SG w NRT i LL. Dobrze byłoby mieć dwóch agentów w CORVIUM. Przyspieszony tryb rekrutacji?

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: JAGNIĘ w Corvium.

– Prośba odrzucona. Kpr. E. i ad. B. niepotrzebni.

– Za długo w CORVIUM. Kontynuować oszacowanie kontaktów wśród PUKAWKI/dóbr nadających się do usunięcia na etapie 2.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Corvium, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Wywiad w CORVIUM kluczowy dla sprawy SG. Prośba o więcej czasu w CORVIUM. Przekazać do DOWÓDZTWO.

– Jestem przekonana, że kpr. E. i ad. B. są silnymi kandydatami.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: JAGNIĘ w Corvium, BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Prośba odrzucona. Rozkazy: kontynuować etap 1, przygotowania do etapu 2/usunięcie dóbr.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Corvium, NRT.

Do: DOBOSZ w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Nie zgadzam się. W CORVIUM dużo dóbr, które wymagają oszacowania przed etapem 2.

– Prośba o więcej czasu w CORVIUM.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: JAGNIĘ w Corvium.

– Prośba odrzucona. Ruszaj dalej.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

Zgodnie z protokołem podpalam cienki papier z rozkazami od Dowództwa. Kropki i kreski, w których zakodowana została wiadomość, pożera płomień. Znam to uczucie. Taki sam płomień liże teraz wściekle moje wnętrze. Ale obok stoi Cara, więc na twarzy mam kamienny spokój.

Patrzy na mnie wyczekująco przez swoje grube okulary. Palce już jej drżą gotowe wystukać moją odpowiedź na rozkazy, których nie potrafi odczytać.

– Nie będzie odpowiedzi – mówię jej. Przez chwilę oswajam to kłamstwo, nim padnie z moich ust. – Dowództwo dało się przekonać. Zostajemy.

Idę o zakład, że pułkownik przewraca właśnie oczami, tym swoim przeklętym czerwonym też. Ale jego rozkazy są głupie i krótkowzroczne, a teraz Dowództwo, nie wiedząc czemu, też go popiera. Niewykonanie tych rozkazów jest po prostu moim obowiązkiem. Robię to dla dobra sprawy, dla Szkarłatnej Gwardii. Kapral Eastree i Barrow będą bardzo pomocni, a poza tym ryzykują życiem, by zdobyć dla mnie informacje, których potrzebuję. Gwardia jest im winna przysięgę, a może nawet ewakuację na drugim etapie mojej operacji.

„Nie ma ich tu na miejscu, to dlatego”, mówię sobie, co trochę uspokaja moje sumienie. Pułkownik i Dowództwo nie rozumieją najwyraźniej, jak duże znaczenie ma Corvium dla całego wojska Norty. Ani jak przydatne będą te informacje. Już sam system tuneli jest wart głębszej analizy – łączy każdy zakątek fortecy, umożliwiając tajne przemieszczanie oddziałów, ale i zarazem ułatwiając infiltrację samego Corvium. Dzięki pozycji Barrowa, który jest adiutantem wysokiego rangą Srebrnego, zdobywamy też co pikantniejsze szczegóły. Który z oficerów woli wymuszone towarzystwo Czerwonych żołnierzy. Albo że wielmożny generał Osanos, Wodniak, gubernator Pojezierza, zwaśniony jest

z wielmożnym generałem Larisem, dowódcą całej floty powietrznej Norty. I kto jest kluczowy dla wojska, a kto odznaki nosi tylko dla picu. A ta lista się ciągnie. Małe konflikty i słabości, które można tak wspaniale wykorzystać. Zgnilizna, która aż się prosi o to, by w nią uderzyć z całej siły.

Jeśli Dowództwo tego nie widzi, to chyba jest ślepe.

„Ale ja ślepa nie jestem”.

A dziś w końcu sama wkradnę się za mury i zobaczę, co Norta ma do zaoferowania podczas zbliżającej się rewolucji.

Cara składa swój nadajnik, zawiesza sobie kabel z powrotem na szyi. Trzyma go tam zawsze, nadajnik tuż przy sercu.

– Nie chcesz dać znać pułkownikowi, że wyszło na twoje? – pyta.

– Nie dziś. – Zmuszam się do kpiącego uśmiechu. To ją uspokaja.

A mnie ostatecznie przekonuje. Już od dwóch tygodni czerpię pełnymi garściami z istnej kopalni złota. Następne dwa przyniosą z pewnością jeszcze więcej informacji.

Wychodzę z ciasnej garderoby, której używamy do nadawania. To jedyne miejsce w tym opuszczonym gospodarstwie, które ma cztery ściany i porządy dach. Reszta spełnia zadanie i stanowi świetną kryjówkę w Corvium. Główny pokój w domu ma całkiem sporo ścian z cegieł, ale jednak nie wszystkie, bo jedna się zawaliła, a razem z nią dach z zardzewiałej blachy. A mniejsze pomieszczenie, które pewnie było sypialnią, w ogóle nie ma sufitu. Co nam zupełnie nie przeszkadza. Szkarłatna Gwardia bywała w gorszych miejscach, a poza tym noce są wyjątkowo ciepłe, choć może trochę wilgotne. Zbliży się lato. Nasze plastikowe namioty chronią przed deszczem, ale nie przed mokrym powietrzem. „To nic – mówię sobie. – Drobną niedogodność. – Ale pot cieknie mi po karku. – A tu jeszcze nawet nie ma południa”.

Staram się nie myśleć o tym, jakie wszystko wydaje się lepkie w tej duchocie. Upinam warkocz na głowie jak koronę. Jeśli pogoda się utrzyma, to chyba go całkiem zetnę.

– Spóźnia się – mówi Tristan ze swojego miejsca przy pozbawionym szyby oknie. Jego oczy jak zawsze w ruchu, zawsze szukające.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. – Barrow nie stawił się punktualnie na żadne nasze spotkanie w ciągu tych ostatnich dwóch tygodni.

Cara opada w zacienionym kącie przy Tye i zabiera się do czyszczenia okularów. Wkłada w to tyle samo serca, co Tye w polerowanie broni. Obie są typowymi blondynkami z Lakelandii. Tak jak ja nie są przyzwyczajone do majowych upałów i szukają cienia, gdzie tylko się da.

Co innego Tristan. Pochodzi z Piedmontu, to dziecko łagodnej zimy i parnego lata. Skwar mu nie przeszkadza. Jedyne jego reakcja na wyższą temperaturę to zwiększająca się w zawrotnym tempie liczba piegów. Na

ramionach, na twarzy. Ma też teraz dłuższe włosy, czerwone kudły kręcące się od wilgoci.

– To samo mu powiedziałam – rzuca Rasha z przeciwległego kąta. Plecie sobie warkoczyki, odgarnia je z ciemnej twarzy, starannie dzieli czarne loki na równe pasma. Strzelbę, nie tak długą jak Tristanowa, ale równie skuteczną, oparła o ścianę tuż obok siebie. – Zaczynam podejrzewać, że ludzie z Piedmontu są jacyś nadpobudliwi, nie odpoczywają, nie śpią.

– Robisz się specjalistką od moich nawyków sennych, Rasha. – Tristan się śmieje, tym razem odrywając jednak wzrok od okna. Patrzy znacząco w jej czarne oczy.

– Weźcie, załatwajcie to w lesie albo co – mamroczę, ledwo powstrzymując śmiech. „Wystarczająco trudno zasnąć na tej twardej ziemi, wolałabym przynajmniej nie słyszeć co noc szurania w namiocie obok”. – Zwiadowcy wciąż nie wrócili?

– Tarry i Shore są jeszcze na skale i zostaną tam aż do zmierzchu. Tak zresztą jak i Duży Coop i Martenson. – Tristan wylicza mi na palcach moich ludzi. – Cristobel i Mały Coop są jakąś milę stąd, na drzewach. Czekają na tego twojego Barrowa i pewnie jeszcze chwilę poczekają.

Kiwam głową. Wszystko zgodnie z planem.

– Dowództwo zadowolone?

– Co ma nie być zadowolone – kłamię jak z nut. Na szczęście Tristan nie odrywa wzroku od tego, co za oknem, nie zauważa więc rumieńca, który zalewa mi szyję. – Zdobyliśmy mnóstwo cennych informacji. Na pewno nie marnowaliśmy czasu.

– Zdecydowali się w końcu zrekrutować Eastree i Barrowa?

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Wzrusza ramionami.

– Wpakowaliśmy w nich sporo czasu, jak na kogoś, kogo byśmy mieli jednak zrekrutować. Czy raczej nadają się bardziej na drugi etap?

Tristan nie chce być wścibski. To dobry porucznik, najlepszy, jakiego widziałam, lojalny do szpiku kości. Po prostu pojęcia nie ma, co dla mnie oznacza to pytanie. I jak bardzo boli.

– Sprawa jest otwarta – odpowiadam wymijająco. – Obejdę dom – dodaję, żeby zmienić temat. – Dajcie znać, gdyby pokazał się Barrow.

– Tak jest, szefowo – odpowiadają.

Staram się iść równym, bitewnym krokiem. Żadnego podejrzanego pośpiechu. Mija cała wieczność, nim docieram do drzew i mogę wziąć głęboki wdech, żeby się uspokoić. „To dla ich dobra. Muszę kłamać, muszę złamać rozkazy. Tak będzie lepiej. Nie moja wina, że pułkownik nie rozumie. Nie moja wina”. Ten stary refren uspokaja mnie w końcu niczym łyk czegoś mocniejszego.

Wszystko, co robię, robię dla sprawy. Nikt mi nie zarzuci, że tak nie jest. Nikt nie będzie podważał mojej lojalności. Nie – jeśli podam im Nortę na srebrnym talerzu.

Uśmiecham się mimo woli. Mój oddział niczego się nie spodziewa. Nawet Tristan. Nie mają pojęcia, co właściwie Dowództwo zaplanowało na najbliższe tygodnie ani co zrobiliśmy w tym królestwie, by to umożliwić. Z uśmiechem przypominam sobie szumiącą kamerkę wideo. Słowa, które przed nią powiedziałam. Wkrótce świat je usłyszy.

Nie podoba mi się ten las. Za cicho, za spokojnie, a w powietrzu wisi smród popiołu. Może i drzewa żyją, ale poza tym to miejsce jest martwe.

– Miła pora na spacer.

Mój pistolet przywiera do jego skroni, nim nawet mam czas się zastanowić.

Ale Barrow ani drgnie. Unosi tylko dłonie, jednak nawet ten gest poddania jest u niego prześmiewczy.

– Głupi jesteś jak but, słowo daję – warczę.

Odpowiada złośliwym chichotem.

– Pewnie tak, skoro jakoś uparcie wracam do waszego obdrapanego klubiku rebeliantów.

– I znów się spóźniłeś.

– Może i cierpię na lekką prokrastynację. Nie pożałujesz mnie?

Prycham tylko i chowam pistolet do kabury, ale wciąż trzymam na nim rękę. Mrużę oczy. Zwykle Barrow przychodzi w mundurze wywiniętym na lewą stronę, ale teraz widać mu się nie chciało. Jego mundur jest czerwony jak krew, ciemny, znoszony. Na tle zieleni widać go jak na dłoni.

– Wypatruje cię dwóch moich obserwatorów.

– Widać nie są to najlepsi obserwatorzy świata. – Znów ten uśmiech. Ktoś inny mógłby pomyśleć, że Shade Barrow jest otwartym, ciepłym człowiekiem. Ale ja wyczuwam skryty pod śmiechem chłód. Żelazny chłód. – Przyszedłem tą drogą co zawsze.

Znów tylko parskam niewesołym śmiechem i poklepuję go po mundurze.

– Doprawdy?

O właśnie. Ten nagły błysk, niczym odłamek bursztynu. Shade Barrow też coś ukrywa. Jak każdy.

– Dam im w takim razie znać, że już jesteś – mówię i robię krok w tył. Barrow patrzy na mnie, nad czymś się po cichu zastanawia. Jest taki smukły, ma przecież zaledwie dziewiętnaście lat, służy w wojsku tylko trochę ponad rok. Widać jest nad wyraz pojętny.

– Im? Czy temu twojemu pieskowi stróżującemu?

Kącik ust sam mi się unosi.

– Ma na imię Tristan.

– Racja, Tristan. Rudzielec przyklejony na stałe do strzelby. – Barrow

trzyma się na dystans, ale idzie za mną w stronę domu. – Zabawne, że jakoś nie spodziewałem się po tobie południowca.

– Południowca? – Głos mam idealnie opanowany, jakbym nie zauważyła, do czego tak naprawdę dąży Barrow.

Przyspiesza kroku, teraz niemal depcze mi po piętach. Mam ochotę kopnąć go w kolano.

– Typek jest przecież z Piedmontu. Ten akcent jest raczej nie do podrobienia. Więc to chyba nie tajemnica. A reszta twojego oddziału jest z Lakelandii, co?

Oglądam się przez ramię.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– A ty z kolei jesteś z dalekiej Północy. Tak dalekiej, że już mapa tam nie sięga – ciągnie. Wyraźnie go bawi takie zgadywanie. – Przygotuj się na piękne lato, dni będą długie i upalne. Nie ma to jak ciężkie burzowe chmury, z których nigdy nie spada ani kropla deszczu, i powietrze tak wilgotne, że i bez ulewy można się w nim utopić.

– Nic dziwnego, że cię nie wysyłają do okopów – warczę, gdy w końcu docieramy do drzwi. – To nie miejsce dla poetów.

Na co drań puszcza do mnie oko!

– Cóż, nie możemy wszyscy być brutalami.

*

Mimo ostrzeżeń Tristana idę z Barrowem zupełnie nieuzbrojona. Jeśli ktoś mnie złapie w Corvium, zawsze mogę udawać zwykłą Czerwoną z Norty. Twierdzić, że się zgubiłam. A nikt mi raczej nie uwierzy, jeśli znajdą przy mnie lakelandzki pistolet albo zużyty nóż myśliwski. W takim wypadku egzekucję na miejscu miałabym murowaną – za noszenie broni bez pozwolenia i za bycie Lakelandką. A przedtem pewnie wzięłby mnie jeszcze w obroty jakiś Szeptacz. I to by było najgorsze.

Większość miast rozrasta się wokół, to jest otaczają je mniejsze miejscowości i dzielnice znajdujące się już za murami. Ale nie Corvium. Barrow zatrzymuje się na granicy drzew. Patrzy na północ na otwartą przestrzeń wokół wzgórza. Przyglądam się fortecy, zapamiętuję, co się da. Mam za sobą godziny ślęczenia nad mapami Corvium, ale co innego zobaczyć je na własne oczy.

Czarne granitowe mury najeżone lśniącym żelazem i inną „bronią”, którą wykorzystują utalentowani Srebrni. Kilkanaście wież obrośniętych zielonymi, grubymi pnączami. Do i tak już pełnej fosy spływa z wychodzących z miasta rur ciemna woda. Między metalowymi prętami w oknach połyskują dziwne lusterka. To pewnie dla Cienistych, żeby zwiększyć ich możliwości panowania nad światłem. Poza tym jest też bardziej tradycyjna broń, którą dobrze by było oszacować. Ciemne wieże pełne są karabinów maszynowych gotowych ostrzelać

wszystko w zasięgu wzroku. Budynki za murami są wysokie, najwyraźniej po to, by maksymalnie wykorzystać małą przestrzeń. Też są czarne, z odrobiną złota i srebra, niczym cienie pod jasnym słońcem. Z mapy wynika, że całe miasto zbudowane jest na planie koła – ulice to szprychy dochodzące do centralnego placu, gdzie odbywają się musztry i egzekucje.

Trakt Żelazny przecina Corvium ze wschodu na zachód. Na zachodniej części traktu jest teraz cicho. Nikt widać nie maszeruje po południu. Ale wschodnia część drogi tętni życiem – transportowce przewożą Srebrną arystokrację i oficerów, wywożą ich z fortecy. Za nimi wolniejszy konwój Czerwonych, który wraca na targ w Racaście, pobliskiej miejscowości, gdzie się zaopatrują. Służący jadą transportowcami, wozami ciągniętymi przez konie, a nawet idą na piechotę. Czeka ich czterdzieści kilometrów drogi. I to tylko po to, by za kilka dni znów wrócić. Wyciągam z kieszeni lornetkę, przykładam ją do oczu, przyglądam się konwojowi.

Kilkanaście transportowców, mniej więcej tyle samo wozów, ze trzydziestu pieszych. Idą wolno, byle się nie rozłączać. Dotarcie na miejsce zajmie im dobre dziewięć godzin. Zupełna strata ludzkiej energii, ale pewnie im to nie przeszkadza. Każdy wie, że bezpieczniej dostarczać mundury, niż je nosić. Patrzę spokojnie, jak konwój wychodzi z miasta przez wschodnią bramę.

– Brama Modlitwy – szepcze Barrow.

– Hę?

Stuka mi w lornetkę, a potem pokazuje na bramę.

– Mówią o niej Brama Modlitwy. Kiedy przez nią wchodzisz, modlisz się, żeby wyjść. Kiedy wychodzisz, modlisz się, żeby więcej nie wracać.

– Nie wiedziałam, że Nortę się nawróciła – kpię, ale on tylko kręci głową. – To do kogo się modlą?

– Do nikogo. To tylko puste słowa.

Nie wiem czemu, ale tu, tuż pod Corvium, oczy Shade’a Barrowa zdradzają jednak odrobinę ciepła.

– Przeprowadź mnie jakoś przez tę bramę, a nauczę cię mojej modlitwy. – „Powstańcie, Czerwoni niczym świt”. Może i Barrow gra mi na nerwach, ale mam przeczucie, że będzie szkarłatny jak nikt.

Przechyliła głowę, przygląda mi się tak uważnie jak ja jemu.

– Umowa stoi.

– Tyle że pojęcia nie mam, jak zamierzasz tego dokonać. Mogliśmy się wślizgnąć, gdy szedł konwój, ale przez tę twoją prokrastynację tę opcję diabli wzięli.

– Nikt nie jest doskonały, nawet ja – odparowuje mi z bezczelnym uśmiechem. – Ale obiecałem, że się dostaniesz do miasta, więc się dostaniesz. Jakoś.

Lustruję go, próbuję przejrzeć. Nie ufam temu całemu Barrowowi. W ogóle

nikomu nie ufam. „Ale ryzyko jest wpisane w tę grę”.

– Czy ty chcesz, żeby mnie tu zastrzelono?

Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Wkrótce się przekonasz.

– No dobra, to jak się tam dostaniemy?

Ku mojemu zdumieniu wyciąga w moją stronę swoją smukłą dłoń. Gapię się na nią zdezorientowana. „Co mu się ubzdurało? Że przebiegniemy sobie przez tę bramę za rękę niczym rozchichotane dzieci?” Marszczę brwi, krzyżuję ręce, odwracam się do niego plecami.

– Komu w drogę...

Ciemność przed oczami. To Barrow zasłonił mi oczy chustą.

Krzyczałabym, gdyby się dało. Wezwałabym Tristana, który idzie naszym śladem, trzymając się jakieś pół kilometra za nami. Tylko że nagle z moich płuc uchodzi całe powietrze, wszystko się jakoś kurczy. Nie czuję nic, poza malejącym światem i ciepłą piersią Barrowa przyciśniętą do moich pleców. Czas wiruje, wszystko się rozpada. Pod moimi stopami pojawia się ziemia.

Walę w beton tak mocno, że aż kręci mi się w głowie. Choć w sumie już przedtem w niej wirowało. Opaska zsuwa się z oczu, ale niewiele to pomaga. Chaos przed oczami, coś czarnego na tle czegoś jeszcze ciemniejszego. Muszę zacisnąć powieki, żeby wytłumaczyć sobie, że się przecież nie obracam.

Próbuję się kurczowo czegoś złapać, trafiam na coś śliskiego, zimnego, może to woda. Chcę się od tego odepchnąć, wstać, ale zamiast tego lecę do tyłu. Otwieram oczy. Granatowa, wilgotna ciemność. Cienie znikają, najpierw powoli, potem wszystkie naraz.

– Co jest, k...!

Padam na kolana, wymiotuję.

Czuję rękę Barrowa na plecach, masuje je, chyba w jego przekonaniu uspokajająco. Ale od tego dotyku mnie mrozi. Wypluwam, co mogę. Próbuję wstać, choć nogi się pode mną uginają. Za wszelką cenę muszę się od niego odsunąć. Wyciąga rękę, żeby mnie podtrzymać, ale odpycham ją. Żałuję teraz, że nie wzięłam jednak noża.

– Nie dotykaj mnie – warczę. – Co to było? Co się stało? Gdzie ja jestem?

– Ho, ho, jakie filozoficzne pytania.

Pluję mu pod nogi żółcią.

– Barrow! – syczę.

Wzdycha niczym nauczyciel, któremu kończy się cierpliwość.

– Przeciągnąłem cię przez rurę. Jest ich kilka wśród drzew. Musiałem ci oczywiście zakryć oczy. Nie mogę zdradzać wszystkich tajemnic za darmo.

– Gówno prawda. Ledwie minutę temu byliśmy pod drzewami. Rurą w życiu byśmy się tak szybko nie przemieścili.

Barrow usiłuje powstrzymać uśmiech.

– Rąbnęłaś się w łepetynę – mówi po dłuższej chwili. – Zemdlałaś mi, jak zjeżdżaliśmy w dół.

To by niby wyjaśniało, dlaczego wymiotowałam. „Wstrząs mózgu”. Tylko że głowę bym dała, że nie straciłam przytomności. Ból i mdłości przeszły już zresztą jak ręką odjął.

Ostrożnie obmacuję czaszkę w poszukiwaniu guza, jakiejś rany, ale nic takiego tam nie ma.

Barrow przygląda się moim ruchom z podejrzanym zainteresowaniem.

– Chyba nie myślisz, że jakimś cudownym sposobem przerzuciłem cię do środka fortecy, co?

– Nie, jasne, że nie.

Moje oczy przyzwyczyły się już do mroku i teraz widzę, że znajdujemy się w piwnicy. I to dawno opuszczonej, jeśli wnioskować po zakurzonych, pustych półkach i kilku centymetrach wody na podłodze. Staram się omijać wzrokiem świeżą kałużę wymiocin.

– Masz, włóż to. – Gdzieś z ciemności wyciąga zwitek ubrań. Najwyraźniej sprytnie je tu przedtem schował. Ciska je w moją stronę. Uderzają w moją pierś, bucha mi w twarz chmura kurzu i smrodu.

– Pięknie – odburkuję, bo spostrzegam, że to mundur. Znoszony, poplamiony lichem wie czym. Proste insygnia, pojedyncza biała kreska z czarną krawędzią. Żołnierz piechoty. „Chodzący trup”. – Z czyjego ciała to buchnąłeś?

Znów ten nagły błysk chłodu w jego oczach. Natychmiast znika.

– Twój rozmiar. Resztą nie zaprzataj sobie głowy.

– Też prawda.

Ściągam bez zastanowienia kurtkę, potem zniszczone spodnie i koszulę. Bieliznę mam mocno nijaką, oczywiście nie od kompletu, ale chociaż czystą, Barrow jednak odwrócił wzrok, usta ma lekko rozchylone.

– A ty, co? Muchy łapiesz, Barrow? – kpię, wciągając na siebie czerwone spodnie. W słabym świetle wyglądają na znoszone, trochę przypominają stare, zardzewiałe rury.

– Przepraszam – mamrocze, odwracając głowę, potem całe ciało. Jakby mi zależało na prywatności. Prycham na widok rumieńca na jego karku.

– Nie wiedziałam, że żołnierzy tak zawstydzają kobiece kształty – naigrywam się z niego, zapinając zamek w kurtce. Trochę jest obcisła, ale ujdzie. Wyraźnie nosił ją ktoś niższy, węższy w ramionach.

Odwraca się raptownie w moją stronę. Teraz jest już czerwony także na twarzy. Z tym rumieńcem wydaje się młodszy. „Nie – dociera do mnie. – Po prostu wygląda na swój wiek”.

– A ja nie wiedziałem, że Lakelandkom brak skromności.

Posyłam mu lodowaty uśmiech.

– Należę do Szkarłatnej Gwardii, mały. Mam ważniejsze zmartwienia na głowie niż odrobina golizny.

Coś drży między nami. Może jakiś przeciąg. Albo może to jednak daje mi się we znaki uraz czaszki. „To pewnie to”.

Nagle Barrow wybucha śmiechem.

– Jesteś zupełnie jak moja siostra.

Moja kolej, żeby się uśmiechnąć.

– Często ją podglądasz?

Puszcza tę zniewagę mimo uszu.

– Przypominasz ją zachowaniem, Farley. Logiką.

– To musi być bystra dziewczyna.

– Z pewnością się za taką uważa.

– Bardzo śmieszne.

– Zaprzyjaźniłybyście się. – Potem jednak przechyla głowę. – Albo byście się pozabijały.

I jakoś tak się znów dzieje, że go dotykam. Nie tak delikatnie, jak on mnie, gdy wymiotowałam, tylko daję mu lekkiego kuksańca w ramię.

– Ruszajmy – mówię. – Nie przepadam za staniem tak beczynn timer w ciuchach jakiejś nieboszczki.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

— **Sluchaj rozkazów. DOWÓDZTWO nie będzie tolerować takiego nieposłuszeństwa. — BARAN —**

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 29 operacji ŚCIANA TARCZ, etap 2.

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: DOBOSZ w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

- Brak kontaktu z JAGNIĘ od 2 dni.
- Prośba o pozwolenie na interwencję.
- ŚCIANA TARCZ – postępy szybsze niż przewidywano. Wyspa nr 3 gotowa, ale problem z transportem. Potrzeba więcej statków, niż wstępnie szacowaliśmy.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Od: DOWÓDZTWO z [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

- Pozwolenie na interwencję udzielone, przekazujemy szczegółowe dane położenia JAGNIĘ.
- Użyć siły, jeśli konieczna. To pan ją zasugerował, jeśli tak dalej będzie, to pan będzie za to odpowiedzialny.
- Przejść do etapu 2 operacji CZERWONA SIEĆ. Współpraca z innymi zespołami, rozpocząć usuwanie.

– Sprawdzimy inne opcje transportu na nr 3.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

— JAGNIĘ, opamiętaj się, idiotko, bo pożałujesz. — BARAN —

Kolejną wiadomość pochłania ogień.

– Po prostu bosko – syczę, patrząc, jak płoną słowa pułkownika.

Cara już nawet o nic nie pyta, tylko zaciska kurczowo usta, jakby chciała powstrzymać w ten sposób czającą się lawinę pytań. Minęło pięć dni, odkąd ostatni raz wysłałam jakąkolwiek odpowiedź. Nie jest głupia, wie, że coś jest nie tak.

– Caro... – zaczynam, ale unosi dłoń.

– Nie mam pozwolenia specjalnego – przypomina, ale potem patrzy mi w oczy z zaskakującym dla mnie żarem. – I nie obchodzi mnie, gdzie nas prowadzisz, póki ty uważasz, że to słuszna droga.

Robi mi się ciepło na sercu. Staram się to ukryć, ale wymyka mi się uśmiech wdzięczności. W geście podziękowania kładę jej rękę na ramieniu.

– Nie przesadzajmy z tymi czułościami, pani kapitan – rzuca żartem i chowa nadajnik.

– Też racja.

Wyprostowuję się i obracam twarzą do reszty oddziału. Stoją kawałek dalej w zaułku, bo chciałam mieć odrobinę prywatności podczas odbierania rozkazów. Żeby nas ukryć, Tristan i Rasha siedzą na krawężniku przed wejściem do zaułka. Kaptury na głowach, ręce wyciągnięte jak żebracy. Przechodnie omijają ich wzrokiem.

– Tye, Duży Coop. – Podchodzą oboje. Tye przekręca głowę tak, żeby nadstawić się zdrowym uchem w moją stronę. Duży Coop zasłużył sobie z nawiązką na ten przydomek. Szeroka klata, ponad dwa metry mięśnia. Jest prawie dwa razy większy od swojego brata Małego Coopa. – Zostańcie z Carą, drugi nadajnik cały czas w gotowości.

Tye wyciąga rękę, aż ją palce świerzbią, żeby się pobawić naszą nową zabawką. To jeden z trzech nowiutkich nadajników – szczyt osiągnięć techników, długi zakres, cacka świeżo rąbnięte przez Barrowa z jakichś sklepów w Corvium. Podaję jej jeden nadajnik, drugi zatrzymuję dla siebie. Barrow ma trzeci na wypadek, gdyby musiał się z nami skontaktować. Dotąd, widać, nie musiał. Nie żebym zwracała uwagę na to, kiedy się do nas odzywa. Zresztą zwykle, jeśli ma coś do powiedzenia, po prostu się pojawia nie wiadomo skąd, wymijając wszelkich obserwatorów, jakich postawię na warcie. Dziś jednak jesteśmy poza jego zasięgiem. Czterdzieści kilometrów na wschód, w środku Rocasty.

– Co do reszty... Cristobel, Mały Coop, wy stoicie na warcie. Ukryjcie się gdzieś wysoko. Sygnały takie jak zawsze.

Cris uśmiecha się swoim szczerbatym uśmiechem. To kara za to, że „kpiła sobie” ze Srebrnego pana, gdy miała zaledwie dwanaście lat i służyła w jakimś dworku w Trialu. Mały Coop też z entuzjazmem przyjmuje rozkaz. Jest bardzo

drobny, zachowuje się jak myszka i przy wielkim bracie wygląda zupełnie nieszkodliwie, a jednak to doskonały żołnierz. Bez słowa ruszają do pracy. Mały Coop wspina się po rynnie i już jest na dachu domu, pod którym stoimy. Cris wskakuje na płot, a z niego na parapet i też już jej nie ma. Wiem, że będą szli za nami po dachach.

– Pozostali, wiecie, kto kogo śledzi, tak? Miejcie uszy i oczy szeroko otwarte. Zapamiętajcie wszystko. Chcę znać datę ich urodzin, rozmiar buta, wszystko. Zbierzcie jak najwięcej informacji. – Te słowa brzmią tak znajomo. Wszyscy dobrze wiedzą, po co te zwiady. Ale nie wiedzą, że będą one ostatnią nicią, która nas zwiąże, połączy. „Która wciągnie ich w twoją zdradę”.

Zaciskam pięści, wbijam sobie paznokcie w dłoń tak, że nikt tego nie widzi. Ból pomaga mi zwalczyć tę myśl. Jak i wiatr, który hula w zaułku. Śmierdzi śmieciami, ale przynajmniej jest chłodny. Wieje z północy, znad jeziora Eris.

– Im więcej wiemy o konwoju z żywnością, tym łatwiej będzie go infiltrować. – „Powód równie dobry, co każdy inny, by tu zostać wbrew rozkazom pułkownika”. – Bramy zamykają się o zachodzie słońca. W ciągu godziny wróćcie na miejsce zbiórki. Zrozumiano?

Kiwają zgodnie głowami, ich jasne, skupione oczy wpatrują się we mnie.

Kilka ulic dalej zegar na wieży bije dziewięć razy. Ruszam bez zastanowienia, moi gwardziści natychmiast suną za mną. Ostatni idą Tristan i Rasha. Bez strzelby mój porucznik wydaje się nagi, ale wiem dobrze, że gdzieś tam ma ukryty pistolet, może z tyłu za paskiem na spoconych plecach. Wychodzimy na ulicę. To główna aleja w Czerwonej części miasta. Na razie jesteśmy bezpieczni, otaczają nas domy Czerwonych, nie powinniśmy natknąć się na wielu Srebrnych oficerów. Tak jak w zatoce Harbor, w Rocascie też funkcjonuje Czerwony Patrol, który chroni to, czego Srebrnym się nie chce przypilnować. Choć idziemy w to samo miejsce, rozdzielamy się i przemykamy parami. Nie możemy przecież wkroczyć do miasta niczym oddział szturmowy czy jakiś gang. Tristan trzyma się blisko mnie, pozwalając jednak, żebym to ja prowadziła do celu – na Trakt Żelazny. Tak jak w Corvium i tu dzieli on miasto na dwie części, przecinając serce Rocasty niczym rzeka dolinę. Im jesteśmy bliżej, tym większy ruch. Spóźnieni służący biegną do domów swoich panów, ochotnicy z patrolu wracają z nocnej warty, rodzice pospieszają dzieci, żeby zdążyły do swoich zrujnowanych szkół.

I oczywiście jest coraz więcej oficerów. W mocnym słońcu późnej wiosny rzucają się w oczy ich czarne mundury ze srebrnymi wykończeniami. Tak zresztą jak ich lśniące pistolety i pałki zaczepione w pasie. To zabawne, że czują potrzebę noszenia mundurów. Tak jakby dało się ich pomylić z Czerwonymi. Z nami. „Mowy nie ma”. Wystarczy spojrzeć na ich skórę – niebieską, szarą, pozbawioną życia. Nie ma na całej ziemi Czerwonego, który byłby tak zimny jak Srebrny.

Dziesięć metrów przed nami Rasha zatrzymuje się tak nagle, że jej partner Martenson o mało się o nią nie potyka. Co w sumie byłoby niezłym osiągnięciem, biorąc pod uwagę, że nasz siwiejący Mały Papa jest od niej z piętnaście centymetrów niższy. Czuję, jak Tristan cały się spina. Nie zmienia jednak pozycji. Zna zasady. Nic nie jest ważniejsze niż Gwardia, nawet uczucia.

Srebrni legionieści ciągną za ręce jakiegoś chłopaka, który kopie nogami na wszystkie strony. Jest mały, nie wygląda na osiemnaście lat, które pewnie jednak ma. Wątpię, żeby musiał się już golić. Staram się nie słuchać jego błagania, ale nie da się nie słyszeć zawołania jego matki. Biegnie za nimi, tuż za nią dwoje dzieci, a na końcu ojciec o ponurej twarzy. W ostatnim geście oporu matka zaciska ręce na koszuli syna.

Ulica zamiera, patrząc w milczeniu na tragedię tej rodziny.

Uderzenie, kobieta pada na ziemię, trzyma się za obity policzek. Legionista nawet palcem nie ruszył, nawet nie podniósł wzroku. Pewnie jest Psychikiem i posłużył się swoją mocą, żeby odepchnąć kobietę.

– Mało ci? – warczy na nią, gdy matka wstaje z ziemi.

– Nie! – błaga chłopiec, to jego ostatnia chwila na wolności.

„To się skończy. To się musi skończyć. Po to tu jestem”.

Mimo to jednak słabo mi się robi na myśl o tym, że dla tego chłopca, dla tej matki nie mogę nic zrobić. Wszystko idzie zgodnie z planem, ale nie dość szybko. Nie dla niego. „Może przeżyje”, mówię sobie. Ale wystarczy jedno spojrzenie na jego chude ramiona, na okulary zgniecione pod buciorem legionisty i już wiem, że nie ma się co łudzić. Ten chłopiec zginie jak tyłu przed nim. W okopach albo na pustkowiu, w samotności gdzieś na końcu świata.

– Nie mogę na to patrzeć – mamroczę i skręcam w jakiś zaułek.

Po długiej, dziwnej chwili wahania Tristan idzie za mną. Mam tylko nadzieję, że Rasha będzie dalej szła do ustalonego celu. Ale rozumiem, co czuje. Straciła dwie siostry, gdy Lakelandczycy wzięli je do wojska. Uciekła z domu, zanim i ją spotkał ten los.

*

Rocasta nie jest otoczona murem, nie ma więc bram, które przyduszałyby trakt. Łatwiej tu wejść, ale to paradoksalnie utrudnia nam zadanie. Główna część konwoju powracającego z frontu podąża traktem, ale część eskorty odłączyła się, idzie na skróty. Kiedy indziej spokojnie byśmy poszli za nimi aż do ich domów i tam upewnili się, że grzecznie odsypiają długą podróż. Ale dziś nie mamy na to czasu. Bo dziś jest pierwszy piątek. Czas na Pokaz Lipcowy.

Ta nortańska tradycja jest po prostu żałosna, ale jeśli wierzyć naszym szpiegom, zadziwiająco skuteczna. W prawie każdym mieście znajduje się arena i raz na miesiąc zalewa ją krew. Czerwoni mają obowiązek stawić się na Pokazie,

muszą siedzieć i patrzeć, jak Srebrni mistrzowie walczą na ciosy i zdolności, jak się bawią. W Lakelandii nie mamy czegoś takiego. Nasi Srebrni widać nie czują potrzeby popisywania się przed nami, a historie z Norty wystarczają, by zastraszyć i naszych Czerwonych.

– W Piedmoncie też to robią – mamrocze Tristan. Opiera się o betonowe ogrodzenie, zaraz za rogiem jest wejście na arenę. Nasz wzrok przesuwają się w tę stronę, jedno z nas bez przerwy ma na oku śledzonych przez nas ludzi, drugie obserwuje grupę oficerów, którzy zaganiają Czerwonych na arenę.

– Nie nazywali tego Pokazami, tylko Aktami. I nie kazali nam tylko patrzeć. Czasami Czerwonych też zmuszali do walki. – Mimo gwaru otaczającego nas zorganizowanego chaosu słyszę w jego głosie wściekłość.

Delikatnie klepię go po ramieniu.

– Walczyć między sobą? – „Zabijać Czerwonych? Czy być zabijanym przez Srebrnych?” Sama nie wiem, co gorsze.

– Obserwowani się ruszyli – odburkuje tylko w odpowiedzi.

Rzucam jeszcze jedno spojrzenie na grupę oficerów, którzy teraz użerają się z bandą zabiedzonych dzieciaków tamujących ruch.

– Chodźmy. – „Diabli by wzięli ten cały syf”.

Odrywam się od ściany obok niego i wtapiam w tłum. Nie spuszcza wzroku z czterech czerwonych mundurów przed nami. Nie jest łatwo. Bliskość Corvium sprawia, że pełno tu Czerwonych żołnierzy, którzy albo są w drodze do swoich okopów w Duszni, albo maszerują z takimi konwojami jak ten, który obserwujemy. Ci czterej mężczyźni – trzech brązowi, jeden ciemnoskóry, a wszyscy czterej śmiertelnie wykończeni – trzymają się przynajmniej razem. Idziemy za nimi. W konwoju powozili wozem konnym, nie wiem, co wieźli. Kiedy wrócili, wóz był pusty. Wnioskując po braku strażników czy innych Srebrnych, nie mogli transportować amunicji ani broni. Trzej brązowi są, jak się domyślam, braćmi. Mają podobne twarze, ruchy. W komiczny sposób tak samo spluwają i tak samo drapią się po tyłkach. Czwarty mężczyzna, grubas o niesamowicie błękitnych oczach, jakoś daje radę wytrzymać to swędzenie, a za to uśmiecha się więcej niż reszta razem wzięta. Z tego, co udało mi się podsłuchać, ma na imię Crance.

Na arenę wślizgujemy się jak skradające się koty, blisko obserwowanych, ale nie na tyle, by nas zauważyli. Nad głowami migocze nam mocne, elektryczne światło oświetlające wysokie pomieszczenie, które łączy zewnętrzną promenadę ze środkiem areny. Na lewo od nas tłum jest zdecydowanie większy, bo tu przyjmują zakłady. Wysoko umieszczona tablica informuje o tym, jacy Srebrni będą teraz walczyć i jakie są ich szanse na wygraną:

Flora Lerolan, Niweczniczka, 3/1

Maddux Thany, Twardoskóry, 10/1

– Chwilunia – mówi Crance i reszta zatrzymuje się pod tablicą. Jeden

z brązowych mężczyzn się uśmiecha. On i Crance szperają w kieszeniach, widąc chęć zagrać.

Udajemy, że robimy to samo. Stajemy z Tristanem kilka metrów za nimi, skryci w narastającym tłumie. Czerwoni z Rocasty chyba bardzo lubią zakłady. Stać ich na takie rozrywki. Armia napędza tu gospodarkę i mało kto chodzi głodny. W tłumie widać zamożniejsze osoby – kupców, właścicieli przedsiębiorstw, dumnych ludzi w czystych ubraniach. Płacą bukmacherom miedziakami, a nawet srebrnymi tetrarchami. Idę o zakład, że warto by się zainteresować kasą areny w Rocaście. Obiecuję sobie przekazać tę informację Dowództwu. „O ile w ogóle będą mnie jeszcze chcieli słuchać”.

– No, spójrzcie tylko na tablicę. Pieniądze same się zarobią! – Crance uśmiecha się radośnie i wskazuje na nazwiska zawodników, potem na okienka do kasy. Dwaj jego koledzy nie wyglądają jednak na przekonanych.

– Wiesz coś o Twardoskórych, czego my nie wiemy, czy jak? – pyta najwyższy z nich. – Przecież Niweczniczka bez trudu sprawi mu manto.

– Rób, co chcesz, Horner, ale nie po to się tu włokłem aż z Corvium, żeby się teraz nudzić na widowni.

I Crance z kumplem zostawiają Hornera i tego drugiego. Jak na swoją tuszę Crance jest bardzo dobry w przepychaniu się przez tłum. Za dobry.

– Nie spuszczaaj z nich oka – szepczę do Tristana, a potem ruszam w tym kierunku co Crance, ale ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wokół jest za dużo kamer. Jeśli następne tygodnie potoczą się tak, jak to zaplanowaliśmy, lepiej zacząć ukrywać twarz.

Kiedy Crance podaje świstek w okienku, rękaw jego munduru lekko się unosi i widzę to, czego szukałam. Tatuaz. Ledwie widoczny na ciemnej skórze, ale ten kształt wszędzie bym poznała. Już go widziałam. Niebieska kotwica. Czerwona lina.

A zatem nie tylko my próbujemy rozpracować ten konwój. Marynarze już mają tam swojego człowieka.

„To dobrze. To się może przydać. – Potok myśli, gdy przepycham się z powrotem. – Zapłacimy za ich informacje. Mniejsze zaangażowanie Gwardii, a wynik ten sam. A być może ten Marynarz pracuje sam. Być może udałoby się go przeciągnąć na naszą stronę, zdobyć swojego człowieka wśród Marynarzy. Zacząć pociągać za sznurki. Gwardia mogłaby po prostu wchłonąć ten ich gang”.

Tristan jest tak wysoki, że jego głowa wystaje nad tłumem. Wciąż obserwuje tamtych dwóch. Opanowuję przemożną chęć, by do niego podbiec i wszystko mu opowiedzieć.

I nagle między nami pojawia się ta przeszkoda. Łysy mężczyzna. Równie spocony jak ja. „Lakelandczyk”. Nim mam czas popędzić do Tristana albo krzyknąć ostrzegawczo, jakaś ręka zaciska się na moim gardle. Ktoś chwycił mnie

od tyłu na tyle lekko, że mogę oddychać, ale z wystarczającą mocą, by móc mnie ciągnąć przez tłum. Łysy trzyma się tuż obok.

Kto inny może by próbował walczyć, ale ja nie jestem głupia. Roi się tu od Srebrnych oficerów, a ich „pomoc” to teraz najgorsza opcja. Muszę sobie zaufać. Sobie i Tristanowi. On musi dalej obserwować tamtych. Ja muszę się jakoś z tego wykaraskać.

Płyniemy z prądem tłumy. Nie widzę, kto mnie ciągnie. Zasłania go łysy, a poza tym porywacz zarzucił mi na głowę jakąś chustę. Zabawne, że jest akurat szkarłatna. Wspinamy się po schodach. Łąujemy wysoko nad areną, na długich ławkach, gdzie prawie nikogo nie ma.

Dopiero tu mnie puszcza i siłą sadza na ławce.

Obracam się wściekła, z zaciśniętymi pięściami.

Pułkownik. Gapi się na mnie tak, jakby był dobrze przygotowany na moją złość.

– Chce pani uderzyć przełożonego i dodać sobie kolejne przewinienie do tej i tak już jakże długiej listy? – pyta niemal słodko.

„Nie. Tego nie chcę”. Opuszczam bezsilne dłonie. Nawet gdybym pokonała łysolca, nie mam szans z pułkownikiem. Zamiast tego zaczynam rozmasowywać sobie skórę pod czerwoną chustą.

– Nie będzie siniaka – stwierdza.

– Pana błąd. Myślałam, że chodzi panu o wzmocnienie przekazu. Posiniaczona szyja to niemal synonim do „opamiętaj się, idiotko”.

Błysk jego czerwonego oka.

– Pani kapitan, ubzdurało się pani, że może pani tak po prostu zerwać kontakt i ja to puszczyć płazem? Chyba do reszty pani zgłupiała. A teraz proszę mi natychmiast powiedzieć, co tu się dzieje. Co właściwie wyprawia pani oddział? Wszyscy zdezerterowali czy co jest grane?

– Nikt nie zdezerterował. – Uśmiecham się przez zaciśnięte zęby. – Nikt. Wszyscy moi ludzie nadal wykonują rozkazy.

– Dobrze, że chociaż ktoś.

– Jestem na misji, czy się to panu podoba czy nie. Wszystko, co robię, robię dla dobra sprawy, dla Gwardii. Tak jak pan powiedział, to nie Lakelandia. I choć oczywiście przeciągnięcie na naszą stronę Pukawek jest bardzo ważne, równie ważne jest Corvium. – Muszę syczeć, żeby w ogóle usłyszał mnie w tym hałasie. – Tu nie możemy zdać się na powolne rozprzestrzenianie się wieści. Tu wszystko jest scentralizowane. Zauważą nas i zanim się obejrzymy, wyeliminują z gry. Musimy zadać mocny cios, cios, którego Srebrni nie zdołają zatuszować. – Czuję, że moje słowa nawet do niego docierają. Gdy odpowiada, panuje już nad głosem. Nadal jest wściekły, ale nie na tyle, żeby wpaść w furję. Zaczyna myśleć logicznie.

– I po to właśnie pani nagrała, co nagrała – mówi. – Chyba pani o tym nie

zapomniała.

Kamera, czerwona chusta zakrywająca mi pół twarzy. Pistolet w jednej dłoni, świeżo uszyta flaga w drugiej. Te słowa jak modlitwa. „Powstańcie. Czerwoni niczym świt”.

– Kapitan Farley, tak przecież działamy. Nikt nie trzyma wszystkich kart. Nikt nie wie, jaki ruch wykonamy w tej grze. Tylko dzięki temu możemy przetrwać i iść do przodu – ciągnie. W innych ustach brzmiałoby to jak prośba. Ale nie u niego. Pułkownik o nic nigdy nie prosi. On wydaje rozkazy. – Proszę mi wierzyć, że mamy swoje plany co do Norty. I wcale nie różnią się aż tak bardzo od tego, czego pani pragnie.

Pod nami na ten dziwny szary piasek wychodzą już zawodnicy. Twardoskóry Thany ma brzuch niczym skała. Trudno powiedzieć, czy jest szerszy czy wyższy. Nie potrzebuje zbroi, od pasa w górę jest nagi. Niweczniczka wygląda dokładnie tak, jak powinna – odziana w zbroję z pomarańczowych i czerwonych płytek tańczy niczym płomień.

– I czy te plany biorą pod uwagę Corvium? – szepczę, odwracając się znów w stronę pułkownika. Musi mnie zrozumieć. – Czy myśli pan, że jestem tak ślepa, że nie zauważyłabym innych działań w mieście? Ich tu po prostu nie ma. Nie ma tu nikogo poza mną. Nikomu innemu nie przyszło do głowy, żeby zająć się fortecą, przez którą musi przejść każdy Czerwony skazany na śmierć. Każdy. A wy uważacie, że to miejsce nie jest strategicznie ważne?

Staje mi przed oczami kapral Eastree. Jej szare oczy, szara twarz, determinacja. Ona nazywa to po prostu niewolnictwem i ma rację. Nikt nie ma odwagi powiedzieć tego na głos, ale tym właśnie są Czerwoni. „Niewolnikami. A potem już tylko trupami”.

Tym razem pułkownik nie odpowiada, co mu ślina na język przyniesie. „I dobrze, bo bym go mu mogła odrąbać”.

– Niech pan powie Dowództwu, że ktoś inny powinien przejąć Czerwoną Sieć. Ja zostaję tutaj. A, i jeszcze, że Marynarze już tu są. Oni mają więcej rozumu od nas.

Właściwie jestem prawie pewna, że mnie strzeli po gębie. Przez wszystkie te lata ani razu nie śmiałam aż tak ostro mu się postawić. Nawet tam, na Północy. W tym zamarzniętym miejscu, które nazywałam domem. Ale wtedy byłam jeszcze dzieckiem. Małą dziewczynką, która udawała myśliwego, zastawiała badziewne pułapki, by czuć się kimś ważnym. Już nią nie jestem. Mam dwadzieścia dwa lata. Jestem kapitanem Szkarłatnej Gwardii i nikt, nawet pułkownik, nie będzie mi wciskał, że się mylę.

– A więc?

Po długiej chwili otwiera powoli usta.

– Nie.

Wybuch pod nami. Równie wielki jak moja złość. Tłum patrzy z zapartym tchem, jak Niweczniczka próbuje walczyć tak dobrze, jak to zapowiadała tablica. Ale Marynarz miał rację. Wygra Twardoskóry. To góra, a ona jest tylko ogniem. Góra przetrzyma każdy ogień.

– Mój oddział mnie nie opuści – ostrzegam. – Straci pan dziesięciu dobrych żołnierzy i jednego kapitana, pułkownika.

– Nie, pani kapitan. Nie dopuszczę do tego, by ktoś inny przejął Czerwoną Sieć – mówi. – Ale poproszę Dowództwo, by wzięło pod uwagę Corvium. Zorganizują nowy oddział, który przejmie od pani tę misję.

„Zorganizują? Żadnego: jeśli się zgodzą zorganizować”. Ledwo dociera do mnie to, co mówi pułkownik.

– Do tego czasu zostanie pani w Corvium i będzie kontynuować pracę z nowymi kontaktami. Wszystkie strategiczne informacje proszę przekazywać tak jak zawsze.

– Ale Dowództwo...

– Dowództwo jest bardziej otwarte na pani propozycje, niż się to pani wydaje. I pojęcia nie mam dlaczego, ale wysoko sobie panią cenią.

– Nawet nie wiem, czy pan kłamie czy nie, pułkownika.

Wzrusza tylko jednym ramieniem. Przenosi wzrok na arenę i patrzy, jak Twardoskóry niszczy młodą Niweczniczkę.

Nie wiem czemu, ale nic mnie nie wkurza tak jak ta jego logika. Trudno mi go nawet wtedy nienawidzić, szczególnie jeśli przypomnę sobie, kim kiedyś był. Albo, co gorsza, całą resztę. Co nam zrobił, naszej rodzinie. Mojej matce, mojej siostrze, które wcale nie były takie okropne jak my i nie potrafiły przetrwać tego piekła, które nam zgotował.

Znów żałuję, że jest moim ojcem. Nie po raz pierwszy. I pewnie nie ostatni.

– Jak idzie Ściana Tarcz? – pytam, żeby przerwać ten ciąg myśli.

– Szybciej niż planowaliśmy – mówi bez dumy. Po prostu stwierdza fakty. – Problem może natomiast stanowić transport. Gdy już przejdziemy do usuwania.

To ma być niby drugi etap mojej operacji. Usuwanie i transportowanie „dóbr”. Czyli Czerwonych, którzy mogą się przydać Szkarłatnej Gwardii. Nie byle Czerwonych gotowych dla nas walczyć, ale takich, którzy umieją obsługiwać broń, prowadzić jakiś środek transportu, czytać, walczyć.

– Pewnie nie powinnam pytać, ale... – zaczynam, lecz mi przerywa. Coś mi mówi, że teraz już naprawdę nie ma z kim pogadać. Bo przecież nie z łysolcem. „Teraz, gdy ja już wyfrunęłam z jego, pożałuj się Boże, gniazda”.

– Dowództwo dało mi trzy statki. Trzy. Wydaje im się, że trzy łódeczki wystarczą, by zaludnić całą wyspę.

Gdzieś w głowie bicie dzwonów. Na arenie Twardoskóry unosi wielkie ramiona w geście zwycięstwa. Uzdrowiciele Ciała rzucają się ratować

Niweczniczkę, sprawnie leczą jej złamaną szczękę, potrzaskane ramiona.

„Crance będzie zadowolony”.

– Czy Dowództwo w ogóle bierze pod uwagę pilotów? – myślę na głos.

Pułkownik obraca głowę w moją stronę, unosi brew.

– Pilotów? Po co?

– Myślę, że mój człowiek w Corvium mógłby nam załatwić... a raczej mógłby nam ukraść coś lepszego niż statki.

Ktoś inny może by się uśmiechnął. Pułkownik reaguje szybkim skinieniem głowy.

– To do roboty.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: Rocasta, NRT.

Do: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– **Kontakt z JAGNIĘ nawiązany. Jej oddział cały, żadnych strat.**

– **Ocena sytuacji: warto by mieć oddział w CORVIUM. Sugeruję LITOŚĆ. Doradzam pośpiech. JAGNIĘ przekaże CORVIUM i wróci do CZERWONA SIEĆ.**

– **JAGNIĘ przekazuje informacje kluczowe dla ŚCIANA TARCZ oraz usunięcia/przewozu.**

– **Wracam na posterunek.**

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Z: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ], JAGNIĘ w Corvium, NRT.

- Przeanalizujemy radę co do CORVIUM.**
- JAGNIĘ w ciągu dwóch dni wróci do pracy nad CZERWONA SIEĆ.**
- DOWÓDZTWO podzielone w sprawie kary.**
- Czekamy na dalsze informacje.**

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Corvium, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ], DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

- Prośba o dodatkowy tydzień.**

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

— Głupia jesteś jak but, słowo daję. — BARAN —

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Z: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ], JAGNIĘ w Corvium, NRT.

– Pięć dni. Koniec negocjacji.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

Nie wiem, kiedy to się stało, ale w naszym gospodarstwie czuję się teraz jak w domu. Nawet ten zarwany dach, namioty powyginane od wilgoci, nawet ta dziwna cisza w lesie. Nigdzie jeszcze nie byłam tak długo, nie licząc Irabelle, która zawsze była moją bazą. I choć żołnierze z Irabelle są dla mnie namiastką rodziny, nigdy nie czułam się w tamtych zimnych, betonowych labiryntach korytarzy jak w domu. To zawsze jest jednak tylko stacja tranzytowa. Miejsce, gdzie się trenuje i ćwiczy przed następną misją.

Nigdy nie było tam tak przytulnie jak w tej ruinie tuż pod polem walki, w cieniu miasta grobu.

– To by było na tyle – mówię do Cary i opieram się o ścianę w garderobie.

Kiwa głową, chowa nadajnik.

– Miło wiedzieć, że znów sobie tak pogadujecie.

Nim mam czas się roześmiać, żałosne drzwi trzęsą się we framudze od delikatnego pukania Tristana.

– Mamy towarzystwo.

„Barrow”.

– Obowiązki wzywają – rzucam i przepycham się obok Cary, wciskając ją w kąt szafy.

Otwieram drzwi i widzę Tristana, stoi bardzo blisko i emanuje jeszcze większą ilością nerwowej energii niż zwykle.

– Tym razem nasi go zauważyli – mówi. Powinien być właściwie z tego zadowolony, ale coś najwyraźniej budzi jego niepokój. I doskonale go rozumiem. Nigdy dotąd nie zdołaliśmy namierzyć, skąd przychodzi Barrow. „Dlaczego nagle dziś się udało?” – Dał im znać, że to coś pilnego...

Za nim otwierają się na oścież drzwi domu, w progu staje czerwony na gębie Barrow, po jego bokach Cris i Mały Coop.

Wystarczy mi jedno spojrzenie na jego przerażoną twarz.

– Rozproszyc się – rozkazuję.

Wiedzą, co to znaczy. Wiedzą, dokąd iść.

Są jak huragan przetaczający się nagle przez ten budynek, który jeszcze przed chwilą był naszym domem. Broń, prowiant, sprzęt – wszystko znika zgodnie z wyćwiczoną procedurą, w mgnieniu oka torby i plecaki są gotowe. Cris i Mały Coop już zniknęli, już są na drzewach, jak najwyżej się da. Za pomocą lusterek i ptasich nawoływań dadzą znać pozostałym, którzy są jeszcze w lesie. Tristan nadzoruje resztę, ładuje strzelbę.

– Nie ma na to czasu, będą tu za chwilę! – syczy Barrow, nagle jest przy moim boku, chwyta mnie za łokieć wcale nie tak delikatnie. – Musicie stąd natychmiast zniknąć!

Strzelam palcami dwa razy. Moi ludzie rzucają wszystko, czego jeszcze nie spakowali. Wygląda na to, że trzeba będzie potem buchnąć skądś nowe namioty, ale to teraz najmniejsze z moich zmartwień. Jeszcze raz strzelam palcami i lecą jak pociski z pistoletu. Cara, Tye, Rasha i inni wypadają przez drzwi, przez zburzoną ścianę, rozpierzchają się w różne strony. Las wchłania ich bez śladu.

Tristan czeka na mnie. To jego obowiązek. Barrow też czeka, bo... Dlaczego Barrow czeka?

– Farley – warczy. Znów ciągnie mnie za ramię.

Rzucam jeszcze okiem, sprawdzam, czy wzięliśmy, co się dało, potem pędzę w stronę drzew. Oni biegną za mną. Przez krzaki, po splątanych korzeniach. Dudni mi w uszach, ten dręczący rytm. „Bywało przecież gorzej. Bywało gorzej”.

A potem szczekanie.

Psy kontrolowane przez jakiegoś Żywiaka. Wytropią nas, a wtedy dopadną nas Zwinni. Przy odrobinie szczęścia wezmą nas za dezerterów i zabiją od razu tu, w lesie. Bo jeśli nie... Wolę nie myśleć, jakie męczarnie czekają nas w czarnym mieście – w Corvium.

– Do wody! – krzyczę. – Tam zgubią trop!

Tylko, że rzeka jest prawie kilometr stąd.

Jedyna nadzieja w tym, że zatrzymają się, aby przeszukać dom. To da nam czas, by umknąć. Dobrze, że przynajmniej pozostali już są daleko i że się rozdzielili. Nawet psy nie zdołają przecież podążać śladem nas wszystkich. Ale ja, my? Nasz zapach jest najświeższy. Stanowimy tak łatwe ofiary.

Czuję opór mięśni, ale prę naprzód, biegnę szybciej niż kiedykolwiek. Jednak już po minucie – po marnej minucie – moje ciało zwalnia. Gdybym tylko potrafiła biec równie szybko, jak szybko wali moje oszalałe ze strachu serce.

Tristan zwalnia ze mną, choć przecież nie musi.

– Potok – rzuca, wskazując na południe. – Dopływ do rzeki, jest bliżej. Biegnij do niego.

– O czym ty mówisz?

– Ja dam radę dotrzeć do rzeki. Ty nie. Nie zdołają gonić nas obojga naraz.

Moje oczy szerokie ze zdezorientowania, mało się przez to nie potykam. Barrow mnie łapie, pomaga mi pokonać jakiś korzeń.

– Tristan...

Mój porucznik tylko się uśmiecha, klepie przewieszoną przez ramię broń.

– Tędy, szefowo – wskazuje mi kierunek.

Nim mam czas go powstrzymać, nim mam czas wydać rozkaz zakazujący mu tego szaleństwa, chudzielec rzuca się między drzewa, sadzi susy ponad coraz gorszym podłożem. Nawet nie mam jak spojrzeć na jego twarz. Tylko te czerwone włosy odbijające się ostro od zieleni wokół.

Barrow znów mnie chwyta. Na jego twarzy jakby ulga, ale pewnie coś mi się przywidziało. Szczególnie, że nagle słyszymy warczenie psa. Jakieś sto metrów za nami. Nawet drzewa wokół jakby się pochylają, gałęzie sięgają w naszą stronę niczym pazury. „Strażnicy Zieleni. Żywiaki. Zwinni. Srebrni dopadną nas oboje”.

– Farley. – Nagle obie jego dłonie na mojej szczęce. Przysuwa mnie tak, żebym musiała spojrzeć na jego twarz. I to dopiero jest szok. Tak, w jego złotych oczach widzę oczywiście trochę strachu. Ale zadziwiająco mało jak na taką sytuację. On nie jest wcale tak przerażony jak ja. – Obiecuj, że nie będziesz wrzeszczeć.

– Że co?

– Obiecuj.

Pierwszy pies. Już go widzę. Wielki jak mały kuc. Cieknie mu z pyska. A przy nim szara smuga jak ucieleśniony wiatr. „Zwinny”.

Nagle czuję, że Shade przyciąga mnie do swojego ciała, a potem odczuwam coś znacznie mniej przyjemnego. Świat się kurczy, wiruje, spadamy w pustkę. Wszystko się miesza, ściska, chyba widzę jakieś zielone gwiazdy. A może to drzewa. Potem znowu te nagłe mdłości. Tym razem jednak nie ląduję na betonie, tylko w strumieniu. Wypluwam wodę i żółć, starając się za wszelką cenę nie wrzasnąć i nie wymiotować.

Barrow pochyla się nade mną z uniesioną ręką.

– Błagam cię, nie krzycz.

Ograniczam się więc do wymiotowania.

– Powiedzmy, że w tej akurat chwili lepsze to niż krzyk – mamrocze i uprzejmie odwraca wzrok, żeby nie patrzeć na moją zzieleniałą twarz. – Przepraszam, chyba mam za mało wprawy. Albo ty jesteś jakaś nadwrażliwa.

Strumień opłukuje mnie dość szybko, a zimna woda działa na mnie lepiej niż czarna kawa. Zupełnie już przytomna natychmiast rozglądam się wokół. Wierzby. A jeszcze przed sekundą były przecież dęby. „I nie ruszają się – stwierdzam z ulgą. – Żadnych Zieleńców. Ani psów”. Ale w takim razie... gdzie my jesteśmy?

– Jakim cudem...? – charczę. – Tylko odpuść sobie te kity z rurami.

Opada maska, którą dotąd tak starannie nosił. Cofa się kilka kroków, siada

na kamieniu nad strumieniem, wygląda na nim jak gargulec.

– Właściwie nie potrafię tego wyjaśnić – mówi takim tonem, jakby przyznawał się do zbrodni. – Co najwyżej mogę... mogę ci to po prostu pokazać. Ale musisz znów obiecać, że nie będziesz krzyczeć.

Posłusznie potakuję. W głowie mi szumi, jeszcze nie odzyskałam równowagi. Z trudem siedzę, że o krzyczeniu nawet nie wspomnę.

Bierze głęboki wdech, palce zaciska na kamieniu. Kłykcie mu bieleją.

– Dobra.

I już go nie ma. Nie odbiegł. Nie schował się. Nie spadł z kamienia. Po prostu go nie ma. Mrugam, nie wierząc własnym oczom.

– Tutaj.

Odwracam głowę tak szybko, że o mało znów od tego nie wymiotuję.

Jest. Stoi na drugim brzegu rzeki. I potem znowu to robi, tym razem wraca na kamień, siada na nim powoli. Uśmiecha się niepewnie, bez radości. Oczy ma szeroko otwarte. Naprawdę szeroko. Może i kilka minut temu byłam przerażona. Ale on teraz jest w kompletnej panice. I ma po temu dobry powód.

Bo Shade Barrow jest Srebrnym.

Pamięć mięśniowa wystarcza. W okamgnieniu wyciągam pistolet, odbezpieczam kurek.

– Może i nie dam rady krzyknąć, ale zastrzelić cię na pewno.

Rumieni się. Jakimś cudem jego twarz i szyja pokrywają się czerwonym rumieńcem. „Złudzenie, sztuczka. Przecież jego krew jest innego koloru”.

– To nie zadziała z kilku przyczyn – mówi i nie boi się oderwać wzroku od mojej lufy. – Po pierwsze, pistolet masz pełen wody. Po drugie, jakbyś nie zauważyła... – I nagle jest tuż przy moim uchu, kuca obok mnie w strumieniu. Ze zdumienia wyrывa mi się jednak okrzyk. A raczej wyrwałby się, gdyby nie to, że Barrow zaciska mi dłoń na ustach. – ... jestem dość szybki.

„To mi się śni. To nie może być prawda”.

Podciąga moje oszołomione ciało w górę, zmusza do stanięcia w wodzie. Próbuje go odepchnąć, ale za bardzo kręci mi się w głowie.

– Po trzecie, może i nie wytropią nas tu psy, ale wystrzał na pewno by usłyszeli. – Nie puszcza moich ramion, trzyma mocno. – Może więc powinna pani przemyśleć tę strategię, pani kapitan. Co?

– Jesteś Srebrnym? – pytam, wyszarpując mu się. Udaje mi się tym razem utrzymać na nogach. Tak jak wtedy w Corvium mdłości bardzo szybko przechodzą. „Skutek uboczny jego umiejętności. Umiejętności Srebrnego. Już mi to raz zrobił i nawet się nie zorientowałam”. Ta myśl pali jak ogień. – Przez cały ten czas nas oszukiwałeś?

– Nie. Nie. Jestem Czerwony niczym ten cały świt, o którym bez końca nawijasz.

– Nie kłam. – Wciąż mam pistolet w dłoni. – To była tylko sztuczka, żeby nas co do jednego wyłapać. Idę o zakład, że to ty nasłałeś na mój oddział tych myśliwych...!

– Miałaś nie krzyczeć.

Teraz to się wściekł. Usta ma rozchylone, sapie ze złości. Jest tak blisko, że widzę jego rozchylone wargi. Czerwone żyłki w białkach jego oczu. Czerwone. „Złudzenie. Kolejna sztuczka”, powtarzam sobie. Ale wracają te wspomnienia. Ile razy spotykaliśmy się na osobności? Od ilu tygodni dla nas pracuje? Przekazuje tak cenne informacje, współpracuje z Czerwoną panią kapral? Ile to już razy miał okazję zastawić na nas pułapkę?

„Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem”.

– Nikt za mną nie szedł. Chyba rozumiesz już, że nikt nie potrafiłby mnie śledzić. Sami jakoś się o was dowiedzieli. Mają chyba szpiegów w Rocaście, nie dosłyszałam szczegółów.

– A zatem w Corvium wciąż jesteś bezpieczny? Wciąż dla nich pracujesz? Wciąż jesteś jednym z nich?

Kończy mu się cierpliwość.

– Mówiłem ci już! Nie jestem Srebrnym! – warczy niczym zwierzę. Mam ochotę odskoczyć, ale opanowuję się. Ani drgnę. Nie będę się go bać.

„Choć pewnie powinnam”.

Wyciąga nagle rękę, by drżącymi palcami podkasać rękaw.

– Zatnij mnie. – Kiwa głową w odpowiedzi na moje nieme pytanie. – Tnij.

Sięgam po nóż schowany w bucie i ze zdziwieniem stwierdzam, że moje palce drżą równie mocno jak jego. Przykładam ostrze do skóry, Barrow wzdryga się. „Przynajmniej czuje ból”.

Serce mi zamiera, gdy spod ostrza wypływa krew. „Czerwona niczym świt”.

– Jak to możliwe?

Podnoszę wzrok. Wpatruje się we mnie, czegoś szuka. I widzę w jego oczach ten błysk, jakby to znalazł.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, co to jest. Nie wiem, kim jestem. Wiem tylko, że nie jestem jednym z nich. Jestem jednym z was.

Na ułamek sekundy zapominam o swoim oddziale, o lesie, misji, nawet o stojącym przede mną chłopaku. Świat znów mi wiruje przed oczami. Ale tym razem nie przez Shade’a. To coś więcej. To zmiana. To nadchodzi nowe. „Nowa broń, którą posłużyłam się już tyle razy. Żeby zdobywać informacje, infiltrować Corvium. Z Shade’em Barrowem Szkarłatna Gwardia może dotrzeć wszędzie. Wszędzie”.

Ktoś może by pomyślał, że złamałam protokół już tyle razy, że nie odważę się na kolejne wykroczenie. A jednak. „Jedno w tę czy we w tę”.

Powoli zaciskam palce na jego nadgarstku. Wciąż krwawi, ale to nie szkodzi.

„To nawet pasuje”.

– Złożysz przysięgę wierności Szkarłatnej Gwardii?

Spodziewam się uśmiechu. Ale on odwraca twarz.

– Pod jednym warunkiem.

Moje brwi unoszą się tak wysoko, że giną pewnie pod włosami.

– Gwardia z nikim się nie targuje.

– Nie proszę o nic Gwardii. Proszę ciebie – odpowiada.

I chłopak, który porusza się szybciej niż błyskawica, robi w moją stronę ten najwolniejszy krok świata. Stajemy oko w oko. Błękit spotyka złoto.

Nie wytrzymuję z ciekawości.

– O co?

– Jak masz na imię?

„Moje imię”. Inni używają swoich, ale nie ja. Moje imię się nie liczy. Ważne są tylko stopień i pseudonim. To, jak wołała na mnie matka, nie ma już żadnego znaczenia. Dla nikogo. Nawet dla mnie. To tylko ciężar. Ciężar na sercu, gdy przypomina mi się jej głos, życie, którym wtedy żyliśmy. Wtedy, gdy pułkownik był jeszcze „papą”, a Szkarłatna Gwardia zaledwie mrzonką myśliwych, wieśniaków, żołnierzy. Moje imię to moja matka, moja siostrzyczka Madeline, ich groby wykopane w zmarzniętej ziemi w wiosce, w której nikt już nie mieszka.

Shade patrzy, czeka. Uświadamiam sobie, że trzyma mnie za rękę, na moich palcach zasycha jego krew.

– Jestem Diana. – Tym razem jego uśmiech jest szczery. To nie żart. To nie maska. – Jesteś z nami, Barrow?

– Jestem z tobą, Diano.

– A zatem powstaniemy.

Jego głos dołącza do mojego:

– Czerwoni niczym świt.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 34 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 1.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIE.

Z: W drodze.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ], DOWÓDZTWO w [OBJĘTO

TAJEMNICĄ].

– Wyruszamy z CORVIUM, kierunek DELPHIE. Po drodze zatrzymujemy się, aby spotkać PUKAWKI.

– Planowane przejście do etapu 2 – w ciągu tygodnia.

– Poinformować agentów wyznaczonych do działań w CORVIUM, że władze w CORVIUM wiedzą o „grasujących w lesie bandytach i dezerterach”.

– Załączam szczegółowe informacje o dywizjonie lotniczym stacjonującym w DELPHIE, zdobyte przez świeżo zaprzysiężonego ad. B. (kryptonim CIEŃ) nadal przebywającego w CORVIUM.

– Kpr. E. także kwalifikuje się do przysięgi.

– Jestem i pozostanę kontaktem w SG dla CIEŃ.

– CIEŃ zostanie wkrótce usunięty z CORVIUM, szczegóły objęte tajemnicą.

– CORVIUM – podsumowanie:

Polegli: G. TYE, W. TARRY, R. SHORE, C. ELSON, H. „Duży” COOPER (5).

Zaginionieni w akcji: T. BOREEVE, R. BINLI (2).

Straty po stronie Srebrnych: Zero (0).

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Agent: General [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: DOBOSZ.

Z: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Wywiad dał zielone światło. Ruszyła operacja DELPHIE.

– Przewóz pociągowy między ARCHEON i Miasto nr 1.

– Zacząć 3 tydzień odliczania przed operacją BRZASK.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

— Twoja córa ma *cojones*. — DOBOSZ —

— Tracimy przez nią ludzi. — BARAN —

— Warto dla takich wyników. Choć to prawda, że jej postawa pozostawia wiele do życzenia. — DOBOSZ —

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 54 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 2.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Albanus, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– PUKAWKI w DOLINA RZEKI CAPITAL w akcji. Przystępujemy do usuwania w ALBANUS, pomaga zaprzysiężony agent WILL PUKAWKA.

– Usunięto 30 dóbr w 2 tygodnie.

– CIENÍ nadal działa w CORVIUM. Zdobyte informacje: przesunięcie legionów w okopach, powstały dziury.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

Nie znoszę tego smrodu.

Stary paser imieniem Will zapala świeczkę, jakby to mogło jakoś pomóc. W wozie robi się przez to tylko jeszcze cieplej, jeszcze duszniej. Ale poza odorem właściwie wszystko gra.

Pale to spokojna wioseczka, można tu wyluzować. Tak się zresztą składa, że to tutaj urodził się Shade. Choć w sumie nie wspomina prawie o domu. Mówi tylko o siostrze. Wiem jednak, że wciąż do nich pisuje. Sama zresztą „nadałam” jego ostatni list. Zniosłam go dziś rano na zwykłą pocztę. Ponoć dzięki temu dotrze szybciej, niż jeśliby się zdać na pocztę wojskową. Dojdzie do jego bliskich w zaledwie dwa tygodnie po tym, jak go napisał, a nie w miesiąc, bo listy Czerwonych podobno nigdy nigdzie nie docierają szybciej.

– Czy to ma przypadkiem coś wspólnego z tym „nowym towarem”, który moi ziomkowie przewożą dla was w dół rzeki? Do zatoki Harbor bodajże? – Will wpatruje się we mnie jak to on, oczy ma dziwnie jasne jak na jego wiek. Ale jego broda wydaje mi się jeszcze rzadsza niż miesiąc temu. Schudł. Za to herbatę nalewa sobie z chirurgiczną precyzją.

Grzecznie dziękuję za gorący napój w jeszcze gorętszym wozie. „Jak on wytrzymuje w tych długich rękawach?”

– Co takiego słyszałeś?

– A różne takie.

Przebiegły jak zawsze. Jak to Pukawka.

– To prawda. Zaczynamy przerzucać ludzi. Sieć Pukawek ma w tej operacji bardzo duże znaczenie. Mam więc nadzieję, że do nas dołączysz.

– Hm. Dlaczego miałbym zrobić coś tak durnego?

– Skoro byłeś już na tyle durny, żeby złożyć przysięgę Szkarłatnej Gwardii... Ale jeśli potrzebujesz dodatkowej zachęty... – Z uśmiechem wyciągam z kieszeni pięć srebrnych tetrarch. Ledwie muskają nasz mały stolik, już je chwyta. Znikają między jego palcami. – Będzie więcej. Za każdą sztukę.

Nadal jednak nie powiedział, że się zgodzi. Musi się targować. Jak zresztą wszystkie Pukawki, które przedtem przekonałam, by nam pomogły.

– Możesz zawsze zrezygnować – mówię i uśmiecham się przebiegle. – W każdej chwili możemy zakończyć współpracę.

Macha na to ręką.

– Jesteście mi tak potrzebni jak dziura w moście.

– Tak? – Szczerzę zęby, bo Will naprawdę słabo blefuje. – Dobrze. W takim razie zmywam się i nie będę ci więcej zawracać głowy.

Ale zanim nawet zdążę wstać, już mnie zatrzymuje.

– To kogo zamierzacie przerzucić?

„Tu cię mam”.

– „Dobra”. Ludzi, którzy mogą się przydać w walce o sprawę.
Ten nagły cień w jego oczach. „To tylko złudzenie. Światło tak padło”.

– I kto ich niby wybierze?

Mimo duchoty robi mi się nagle zimno. To jest ten trudny moment.

– Mamy agentów w całym kraju. Wyszukują takich ludzi. Ja też ich szukam.
Oceniamy sytuację, proponujemy kandydatów, czekamy na akceptację.

– I domyślam się, że na wasze listy raczej nie trafią starzy, chorzy, dzieciaki skazane na rekrutację. Nikt nie będzie ratował tych, którzy naprawdę tego potrzebują.

– Jeśli tylko będą mogli się jakoś przydać...

– Taaa... – Will spluwa, jego policzki robią się czerwone ze złości. Łyka szybko herbatę, wypija ją zaledwie kilkoma haustami. To go jakoś uspokaja. Odstawia pusty kubek, w zamyśleniu opiera brodę na dłoniach. – Cóż, pewnie na więcej i tak nie ma co liczyć.

„Kolejny kanał otwarty”.

– Na razie.

– Hm.

– Aha, i jeszcze jedno. Tu pewnie nie będzie z tym problemu, ale radziłabym trzymać się jutro jak najdalej od Srebrnych. Mogą być nie w humorze.

„Jutro”. Na samą myśl krew mi buzuje w żyłach. Nie wiem, co właściwie zaplanowali pułkownik i Dowództwo, ale wiem, że potrzebne jest im do tego to moje nagranie i że na pewno warto było wymachiwać z tego powodu flagą.

– Powinienem wiedzieć coś więcej? – pyta Will z przekąsem. – Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek więcej?

Nie udaje mi się powstrzymać uśmiechu.

– A masz może coś mocniejszego niż herbata?

Nim jednak zdąży odpowiedzieć, rozlega się łomotanie do drzwi wozu. Will zrywa się na równe nogi, o mało nie rozbija kubka. Łapię naczynie odruchowo, ale nie spuszczam wzroku z Pukawki. Zalewa mnie znajoma fala strachu, czekamy chwilę w milczeniu. Potem ta myśl: „Oficerowie nie pukają”.

– Will! – woła dziewczęcy głos. Will mało nie przewraca się z ulgi. Ja też oddycham swobodniej. Daje mi ręką znak, żebym się schowała za zasłonę przedzielającą wóz.

Robię, co mi każe. Gdy otwiera drzwi, już mnie nie widać.

– Panna Barrow! Witam, witam – słyszę jego głos.

*

„Tysiąc koron”. Klnę pod nosem, idąc z powrotem do tawerny. „Od głowy”. Skąd mi się w ogóle wzięła taka olbrzymia suma we łbie? Pojęcia nie mam. Dlaczego w ogóle zgodziłam się spotkać z tą dziewczyną – „z siostrą Shade’a, to

musi być ona” – to już prędzej potrafię zrozumieć. Ale po co jej obiecałam pomoc? Po co powiedziałam, że uratuję przed rekrutacją jej koleżkę? I ją samą. Dwoje nastolatków, których nawet nie znam. Złodziejaszki, dla których ryzykuję życie przewoźników. Lecz w głębi duszy wiem dlaczego. Pamiętam wciąż tego chłopca w Rocaście, którego odciągnięto od matki. Tak samo było z Shade’em i z jego dwoma starszymi braćmi. Tak samo ich odciągnięto – i to na oczach tej właśnie dziewczyny, która przyszła dziś błagać mnie o pomoc. „Mare, ma na imię Mare”. Prosiła mnie o pomoc dla siebie i jeszcze jednego człowieka, pewnie jej chłopaka. W jej głosie słyszałam tylu ludzi. Stała mi przed oczami tamta matka z Rocasty. I Rasha, która nie mogła od niej oderwać wzroku. I Tye, która umarła tak blisko miejsca, z którego za wszelką cenę chciała uciec. I Cara, Tarry, Shore, Duży Coop. Wszyscy oni przepadli, bo zaryzykowali własnym życiem. Zapłacili nim jak tylu innych, którzy poświęcili się dla Szkarłatnej Gwardii.

Wiem, że Mare nie zdobędzie tych pieniędzy. Tego po niej nie oczekuję. Ale jestem winna Shade’owi o wiele więcej za jego usługi. I właściwie uratowanie jego siostry przed rekrutacją to naprawdę mało w porównaniu do wszystkich informacji, jakie dla nas zdobył. A cokolwiek przyniesie Mare, wydam to przecież dla dobra sprawy.

W połowie drogi między Palami a oberżą spotykam Tristana. W sumie chyba myślałam, że zobaczę się z nim dopiero na miejscu, że będzie czekał tak jak Rasha, Mały Coop i Cristobel, te smętne niedobitki naszego nieszczęsnego oddziału.

– Owocne spotkanie? – pyta, ostrożnie poprawiając płaszcz, żeby nie było widać pistoletu na jego biodrze.

– Bardzo – odpowiadam. Trudno mi jakoś wymówić to słowo. Tristan zna mnie zbyt dobrze, by pytać o szczegóły. Zmienia temat, podaje mi nadajnik. Znów z Corvium. – Barrow dobija się od jakiejś godziny.

„Znowu się chłopak nudzi”. Ile razy mu już mówiłam, że nadajnik jest do oficjalnych wiadomości i nagłych wypadków, a nie żeby mnie wkurzać. A jednak mimowolnie szczerzę zęby jak głupia. Ukrywam uśmiech przed Tristanem i przejmuję nadajnik.

Naciskam odbiornik, posyłam serię, zdawałoby się, przypadkowych kropek. „Jestem”, brzmi mój komunikat.

Odpowiada tak szybko, że mało nie upuszczam nadajnika.

– Farley, muszę stąd spadać. – Jego głos się łamie, ledwo go słysząc przez ten mały głośniczek. – Farley? Muszę natychmiast zniknąć z Corvium.

Panika.

– Dobra – odpowiadam, umysł pracuje na najwyższych obrotach. – Możesz... możesz sam się wydostać? – Przecież przy Tristanie nie mogę go spytać wprost, ale dlaczego nie może po prostu wyskoczyć z tej koszmarnej fortecy?

– Będę czekał w Rocaście.

– Dobra.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 56 operacji CZERWONA SIEĆ, etap 2.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Rocasta, NRT.

Do: BARAN w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Gratulacje z okazji bombardowania w ARCHEON.

– W ROCASTA w celu usunięcia agenta CIEŃ.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 60 operacji ŚCIANA TARCZ, etap 2.

Agent: Pułkownik [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: BARAN.

Z: [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Do: JAGNIĘ w Rocaście.

– Działaj. Wyślij go do TRIAL. Wróć jak najszybciej do CZERWONA SIEĆ.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

Zeszło mi na to o wiele więcej czasu, niż planowałam. Że nie wspomnę o tym, że jestem sama.

Po bombardowaniu w Archeonie podróż stała się oczywiście o wiele trudniejsza, nawet tymi sposobami co zawsze. Trudniej o statki i transportowce Pukawek. A już dostanie się do miasta, nawet tak małego jak Rocasta, graniczy z cudem. Na punktach kontrolnych w mieście Czerwoni muszą okazywać identyfikatory, a czasami nawet mają sprawdzaną krew. Powinnam więc za wszelką cenę takich punktów unikać. Wprawdzie na nagraniu, podczas którego ogłosiłam wszystkim istnienie Szkarłatnej Gwardii, moja twarz była zasłonięta, ale nie mogę ryzykować.

Ogoliłam już nawet głowę, żeby pozbyć się długiego jasnego warkocza, który na tym krótkim filmiku widać aż za dobrze.

Crance, Marynarz pracujący przy konwojach z jedzeniem, zgodził się w końcu mnie przemyścić do miasta, ale nieźle się musiałam nagadać, żeby go do tego nakłonić. W każdym razie udało mi się dostać do miasta, jestem cała i zdrowa, nadajnik mam zatknięty za pas.

„Sektor Czerwonych. Targowisko”.

Tam chce się spotkać Shade, tam więc muszę dotrzeć. Nie zakrywam twarzy, nie nakładam kaptura, bo to mogłoby zwrócić uwagę. Włożyłam tylko ciemne okulary, żeby ukryć tę część twarzy, którą wszyscy widzieli na nagraniu. Czuję, jak z każdym krokiem zwiększa się ryzyko. „Ryzyko jest wpisane w tę grę”. Ale jakoś nie o siebie się boję. Ja już zrobiłam swoje, nawet więcej niż swoje. Mogłabym teraz zginąć, a i tak Gwardia uznałaby mnie za dobrego agenta. Moje imię ktoś zapisałby kropkami, pewnie Tristan. To on musiałby przekazać wieści pułkownikowi.

Ciekawe, czyby mnie oplakiwał.

Jest pochmurnie, a nastrój w mieście odpowiedni do pogody. I nikt nie mówi o niczym innym tylko o bombardowaniu. Czerwoni miotają się między nadzieją a przygnębieniem, niektórzy wprost szepczą o tej tak zwanej Szkarłatnej Gwardii. Inni, szczególnie starsi, warczą na młodych, besztają ich za naiwność. Nie ma co wierzyć w takie bzdury, mówią, to oznacza tylko jeszcze więcej kłopotów dla Czerwonych. Nie jestem na tyle głupia, żeby przystawać i ich przekonywać.

Targowisko znajduje się w głębi sektora Czerwonych, ale i tak pełno tu dziś Srebrnych oficerów. Są jak wilki, które wyszły na polowanie. Broń w dłoni, nie w kaburze. Słyszałam już o zamieszkach w większych miastach, o Srebrnych obywatelach, którzy zaczęli się rzucać na każdego Czerwonego, co im się nawinął, jakby wszyscy byli winni występków Gwardii. Mam jednak przecucie, że ci strażnicy nie są tu, by chronić moich ludzi przed szurniętymi Srebrnymi. Mają budzić nasz strach, uciszać nas.

Szeptów jednak przecież nie uciszą.

- Kim oni właściwie są?
- To Szkarłatna Gwardia.
- W życiu o nich nie słyszałem.
- Widzieliście? Zachodni Archeon stoi w płomieniach...
- ... nie ma rannych...
- ... ściągną na nas same kłopoty...
- ... będzie tylko gorzej...
- ... wina spadnie na nas...
- Chcę ich znaleźć.
- Farley.

Ciepły oddech w moim uchu, głos tak znajomy jak moja własna twarz. Odwracam się odruchowo i przyciągam go do siebie, czym zaskakuję chyba nas oboje.

- Dobrze, że jesteś – rzuca cicho.
- Spadamy stąd – szepczę, odsuwając się. Wystarczy jeden rzut oka i wiem już, że ostatnie tygodnie nie były łatwe. Jest blady, posępny. Ciemne cienie pod oczami. – Co się stało?

Bierze mnie pod ramię i daje mu się prowadzić przez pokorny tłum na rynku. Wyglądamy jak każda inna para Czerwonych.

- Przenoszą mnie na front. Będę w Legionie Burzy.
- Za karę?

Kręci głową.

– W każdym razie nie za przekazywanie informacji Szkarłatnej Gwardii. Wciąż nie wiedzą o tym przecieku. Nie, to dość dziwny rozkaz.

- W jakim sensie dziwny?

– Poprosił o mnie generał. Szycha. Mam być jego adiutantem. Co nie ma sensu. Dokładnie tak nie ma sensu, jak wiesz co. – Posyła mi znaczące spojrzenie, kiwam głową. – Chyba wiedzą. Myślę, że chcą się mnie pozbyć.

Z trudem przelętkam. Mam nadzieję, że tego nie zauważył. Nie chcę, żeby mój strach odebrał jako cokolwiek innego niż niepokój o dobrego żołnierza.

– W takim razie czas na twoją egzekucję. Uznajmy, że uciekłeś i zastrzelono cię za dezercję. Eastree sfałszuje dokumenty, robiła to już dla tylu innych. I tak już najwyższy czas, żeby cię stąd wyciągnąć.

- Masz pomysł dokąd?

– Wysyłamy cię za granicę, do Trialu. To nie powinno być zbyt trudne dla kogoś z twoimi zdolnościami.

– Nawet ja nie jestem niezniszczalny. I nie przeskoczę przecież setek kilometrów. Zresztą nie znam tej okolicy. A ty? – mamrocze.

Uśmiecham się. „Crance będzie jak znalazł”.

- Załatwię ci przecież mapę i przewodnika.

– A ty nie pójdziesz ze mną? – Rozczarowanie w jego głosie to na pewno tylko złudzenie.

– Mam inne rzeczy, które muszę najpierw załatwić. Ostrożnie – dodaję, bo przed nami stoi grupka oficerów. Shade przyciąga mnie mocniej do siebie. „Znów skoczy, jeśli nie będzie innego wyjścia. A ja znów zarzygam sobie buty”. – Weź, zrób jakoś tak, żebym tym razem nie wymiotowała, co? – rzucam z kpiącym uśmiechem.

Niepotrzebnie się jednak spinał. Uwagę oficerów zaprzęta coś zupełnie innego – popękany ekran, pewnie zresztą jedyny na całym rynku Czerwonych. Używa się go do przekazywania oficjalnych informacji, ale to, co oglądają, raczej się jako takie nie kwalifikuje.

– Zapomniałem, że dziś Królewska Próba – mówi jeden z nich, pochylając się i mrużąc oczy. Ekran miga co jakiś czas. – Nie dało się załatwić jakiegoś lepszego sprzętu, Marcos?

Marcos rumieni się na szaro ze złości.

– To sektor Czerwonych, nie? Czego żeś się spodziewał? Jak ci się nie podoba, to wracaj na obchód i nie zawracaj mi głowy.

„Królewska Próba”. Coś mi się kołacze. Te słowa musiały się widać pojawić w tych papierzyskach, które pułkownik kazał mi przeczytać, zanim mnie wysłano do Norty. To się jakoś wiązało z księciem. Chyba ma wtedy wybrać sobie żonę czy coś. Wzdrygam się na samą myśl, ale mimo to nie mogę oderwać oczu od ekranu, na którym swoimi zdolnościami popisuje się dziewczyna w czarnej skórze. „Żeleźczyni”. Widzę, jak manipuluje znajdującym się na arenie metalem.

A potem nagle na ekranie ta smuga czerwieni. Na elektrycznej tarczy osłaniającej Żeleźczynię od elity Srebrnych, którzy oglądają sobie bezpiecznie jej popisy, rozpląszcza się jakaś postać w czerwonym uniformie.

Oficerom wyrywa się jęk przerażenia. Jeden z nich odwraca wzrok.

– Nie mogę na to patrzeć. – Wygląda, jakby miał zwymiotować.

Shade stoi jak wmurowany, nie odrywa oczu od ekranu, wpatruje się w tę żalostną czerwoną plamę. Zaciska mocniej palce na mojej ręce. Każe mi patrzeć. „Ta plama ma twarz. Twarz jego siostry. To Mare Barrow”.

Czuję, jak drży, gdy Mare znika. Zamiast niej jest już tylko błyskawica.

*

– Jakim cudem ona to w ogóle przeżyła?

Teraz ręce trzęsą mu się tak bardzo, że musi przykucnąć w zaułku, by się cały nie telepać. Padam przy nim na kolana, kładę mu rękę na dygoczącym ramieniu.

– Jakim cudem ona żyje? – pyta znowu, jego oczy stają się wielkie, puste.

Wiem dobrze, że w kółko analizuje tę scenę w głowie. Jego młodsza siostra

upadająca na arenę podczas Królewskiej Próby. Na pewną śmierć. Tylko że Mare żyje. Kamery pokazały nam przed chwilą, jak Żeleźczyni poraziła ją prądem. A mimo to Mare nie zginęła.

– Ona żyje, Shade – mówię mu, przyciągam jego twarz do swojej. – Sam widziałeś, wstała i pobiegła.

– Jak to możliwe?

Nie czas teraz na żarciki, więc mówię wprost:

– Już kiedyś zadałam ci to pytanie, Shade.

– Ona też jest inna. – Barrow ma ponury wzrok. Już nawet na mnie nie patrzy. – I oni ją schwytali. Muszę jej pomóc.

Próbuje wstać, ale szok mu nie minął, muszę go podtrzymać.

– Zabiją ją – szepcze. Jego głos łamie mi serce. – Diano, oni ją zabijają.

– Jakoś mi się nie wydaje. Teraz właściwie nie mogą. Przecież wszyscy to widzieli. Na oczach wszystkich Czerwona dziewczyna przeżyła kontakt z błyskawicą. – „Najpierw będą musieli znaleźć jakieś wytłumaczenie. Choćby i coś nazmyślać. Tak jak zmyślali, by zataić nasze istnienie, póki nie zadaliśmy kłamu ich słowom”. – Twoja siostra właśnie zatknęła czerwoną flagę.

Nagle w zaułku robi się zbyt ciasno. Shade patrzy na mnie zupełnie inaczej – jak żołnierz.

– Nie zostawię siostry samej.

– Nie będzie sama. Już moja w tym głowa.

Jego wzrok staje się twardy – równie twardy jak moje postanowienie.

– I moja.

ROZSZYFROWANO NASTĘPUJĄCĄ WIADOMOŚĆ:

TAJNE – WYMAGANE POZWOLENIE SPECJALNE

Dzień 2 operacji BŁYSKAWICA.

Agent: Kapitan [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

Kryptonim: JAGNIĘ.

Z: Summerton, LL.

Do: DOWÓDZTWO w [OBJĘTO TAJEMNICĄ].

– Op. w toku. MARE BARROW skontaktowała się z WILL PUKAWKA i KOŚCI w ALBANUS, zaprzysiężona, kluczowy wpływ miał sierż. CIENŃ.

– W PALATIUM SŁOŃCA jej kontaktem będzie agent PANNA.

– Agent STEWARD skontaktował się w sprawie nowych rekrutacji w obrębie PALATIUM SŁOŃCA, do sprawdzenia.

POWSTAŃCIE, CZERWONI NICZYM ŚWIT.

KRÓLEWSKA KLATKA
(fragment)

tłum. Adriana Sokołowska-Ostapko

ROZDZIAŁ 1

Mare

Podnoszę się z klęczek, gdy on mi na to pozwala.

W następnej chwili czuję szarpnięcie łańcucha, które zaciska kolczatkę na mojej szyi. Metalowe szpikulce wrzynają się w skórę, ale nie na tyle mocno, żeby skaleczyć mnie do krwi – przynajmniej na razie. Za to nadgarstki mam całe skrwawione. Pokrywają je otarcia od chropowatych, wpijających się w ciało kajdan, które skuwają mnie od wielu dni. Na rękawach białej luźnej sukni ciemniejszą rdzawą smugę zaschniętej krwi i świeże jasnoczerwone plamy, świadectwo mojej męki. Żeby nikt na dworze Mavena nie miał wątpliwości, ile wycierpiałam.

Król stoi nade mną, twarz ma nieprzeniknioną. Ojcowska korona sprawia, że wydaje się wyższy, jak gdyby żelazne kolce wyrastały nie z obręczy, którą nosi na skroniach, ale wprost z głowy. Przeplatane srebrem i brązem czarne metalowe płomienie mienią się ogniem. Koncentruję się na znajomych do bólu szczegółach, żeby tylko nie spojrzeć młodemu królowi w oczy. Mimo to Maven przyciąga mnie do siebie, szarpiąc za drugi łańcuch, którego nie widzę, a jedynie czuję.

Blada dłoń łapie mój nadgarstek zaskakująco delikatnie. Wbrew sobie przenoszę wzrok na twarz króla, nie potrafię dłużej unikać jego spojrzenia. Widzę uśmiech, w którym nie ma ani odrobiny życzliwości. Wargi cienkie jak ostrza żyłki, białe zęby gotowe kąsać. Najgorsze jednak są oczy. Maven ma oczy Elary. Kiedyś wydawały mi się zimne, lodowate. Teraz jednak wiem, że jest inaczej. Najgorętszy ogień ma jasnoniebieską barwę, podobnie jak spojrzenie króla.

Cień, który pokonał płomień. Maven płonie, ale okala go ciemność. Wokół nabiegłych srebrną krwią oczu rozlewają się siniaki o metalicznej barwie. Nie sypia. Jest chudszy niż kiedyś, rysy ma ostrzejsze, okrutniejsze. Czarne jak otchłań włosy sięgają mu do uszu, kręcą się na końcach. Policzki nadal są gładkie. Czasami zapominam, jak bardzo jest młody. Jak młodzi jesteśmy oboje. Ukryte pod suknią wypalone na moim obojczyku piętno w kształcie litery „M” zaczyna pulsować bólem.

Maven gwałtownie się odwraca i mocno ściskając łańcuch, zmusza mnie, żebym ruszyła za nim. Niczym księżyc przyciągany siłą planety.

– Oto nasz jeniec, oto świadectwo naszego zwycięstwa – mówi, prostując się przed zgromadzonym tłumem. Na placu tłoczy się co najmniej trzystu Srebrnych: arystokraci i cywile, wojskowi i strażnicy. Kątem oka cały czas widzę wartowników, ich ogniste szaty nie pozwalają mi ani na sekundę zapomnieć o tym,

że jestem więźniem, nawet jeśli nie ma wokół mnie krat. Podobnie pilnujący mnie Uciszacze z rodu Arven nigdy nie znikają z pola widzenia. Ich białe stroje lśnią oślepiająco, ich umiejętność paraliżuje, tłumi moją moc, a mnie samą niemal dławi.

Głos króla niesie się ponad wytwornym placem Cezara, rozchodzi w tłumie, który odpowiada pomrukiem aprobaty. Z pewnością zainstalowano gdzieś mikrofony i głośniki, aby gorzkie słowa Mavena dotarły do najdalszego zakątka nie tylko miasta, ale i królestwa.

– Oto przywódczyni Szkarłatnej Gwardii, Mare Barrow. – Chociaż moja sytuacja jest tragiczna, mam ochotę parsknąć śmiechem. „Przywódczyni”. Może i matka króla umarła, ale kłamstwa, które spłodziła, są nadal żywe. – Morderczyni, terrorystka, zaciekle wróg naszego królestwa. Teraz klęczy przed nami, zdemaskowana.

Znów czuję szarpnięcie. Zataczając się do przodu, rozkładam ramiona, żeby utrzymać równowagę. Ruchy mam ociężałe, oczy spuszczone. Niewiele we mnie godności. Ogarniają mnie wściekłość i wstyd, gdy uzmysławiam sobie, jak bardzo to krótkie przedstawienie może zaszkodzić Szkarłatnej Gwardii. Czerwoni w całej Norcie będą patrzyli, jak tańczę na sznurku, za który pociąga Maven, i pomyślą, że jesteśmy słabi, przegrani, niewarci ich uwagi, wysiłku ani nadziei. Tymczasem prawda wygląda zupełnie inaczej. Ja jednak nie mogę nic na to poradzić, nie teraz, nie tutaj, balansując nad przepaścią, zdana na łaskę Mavena. Zastanawiam się, co dalej z Corvium, zmilitaryzowanym miastem, które stało w ogniu, gdy przelatywaliśmy nad nim w drodze do Duszni. Po transmisji mojego orędzia wybuchły zamieszki. Czy był to początek rewolucji, czy jej ostatnie tchnienie? Nie mam skąd się tego dowiedzieć. Wątpię, żeby komukolwiek wpadło do głowy, by przynieść mi gazetę.

Cał ostrzegał mnie przed groźbą wojny domowej już dawno temu, zanim umarł jego ojciec i zanim stracił wszystko prócz znajomości z porywczą dziewczyną od błyskawic. Przewidywał bunt po obu stronach barykady. Kiedy jednak stoję uwiązana na smyczy Mavena i patrzę na jego dwór, na królestwo Srebrnych, nie widzę żadnego podziału. Mimo że wszystko im powiedziałam, wyjawiałam prawdę o uprowadzeniach ich bliskich, o więzieniach Mavena, o tym, że król i jego matka zawiedli zaufanie swojego ludu – to ja wciąż jestem wrogiem numer jeden. Chcę im wywrzeszczyć prawdę, ale rozsądek każe mi milczeć. Słowa króla zawsze będą do nich przemawiały bardziej niż moje.

„Czy oglądają mnie mama i tata?” Wspomnienie o nich sprawia, że ogarnia mnie kolejna fala smutku i z całej siły przygryzam wargę, aby powstrzymać łzy. Wiem, że zamontowane wokoło kamery są wycelowane we mnie. Wiem to, nawet jeśli nie potrafię już tego wyczuć. Maven za nic w świecie nie darowałby sobie, gdyby nie wykorzystał okazji uwiecznienia mojego upadku.

„Czy za kilka chwil rodzice zobaczą, jak umieram?”

Raczej nie, skoro mam obrożę. Nie wierzę, że Maven urządził całe to widowisko tylko po to, by na końcu mnie zabić. Być może komuś innemu ta myśl przyniosłaby ulgę, ja jednak czuję skurcz strachu w trzewiach. On mnie nie zabije. Nie robi tego. Poznają to po jego dotyku. Długie, blade palce nadal obejmują mój nadgarstek, chociaż unieruchamia mnie smycz, którą Srebrny władca cały czas ściska w drugiej dłoni. Nawet teraz, gdy ma nade mną absolutną władzę, nie puszcza mojej ręki. Wolałabym umrzeć, niż tkwić w tej klatce, w matni szaleństw i obsesji młodocianego króla.

Pamiętam liściki od niego, które niezmiennie kończyły się tym samym żalonym zaklęciem:

„Do zobaczenia”.

Maven ciągnie przemowę, ale jego słowa zaczynają tracić dla mnie znaczenie, przemieniają się w dźwięki równie puste i doprowadzające do szału jak brzęczenie szerszenia. Oglądam się za siebie, omiatam wzrokiem tłum dworzan. Wszyscy stoją sztywno wyprostowani w ciemnych żałobnych szatach, dumni i nikczemni. Wielmożny Volvo z rodu Samos i jego syn Ptolemeusz wspaniale się prezentują w wypolerowanych, czarnych jak heban zbrojach przepasanych od ramienia po biodro srebrnymi łuskowatymi szarfami. Na widok Ptolemeusza ogarnia mnie furia. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie rzucić się na niego i nie wydłubać mu oczu. Jedyne, czego w tym momencie pragnę, to wbić mu nóż prosto w serce i odpłacić za śmierć mojego brata Shade'a. Najwyraźniej Żeleźca wyczytał to pragnienie z mojej twarzy, ponieważ uśmiecha się do mnie znacząco i bezczelnie. Gdyby nie obroża i Uciszacze, którzy pozbawiają mnie wszystkiego, czym jestem, stopiłabym jego kości, a ciało spaliła na popiół.

Siostra Ptolemeusza, moja rywalka sprzed wielu miesięcy, nie patrzy na mnie. W wysadzonej szpikulcami z czarnego kryształu sukni Evangeline jak zwykle świeci najjaśniejszym blaskiem. Przypuszczam, że wkrótce zostanie królową, wystarczająco długo musi znosić zaręczyny z Mavenem. Wpatruje się intensywnie w plecy króla, wydaje się wręcz wbijać spojrzenie w jego kark. Lekki podmuch wiatru wicherzy jej rozpuszczone srebrne włosy, zwiewa je z ramion, ale ona nawet nie mruga. Mam wrażenie, że dopiero po dłuższej chwili czuje na sobie mój wzrok, jednak zerka na mnie jedynie przelotnie. Jej oczy wydają się puste, beznamiętne. Przestałam być warta jej uwagi.

– Mare Barrow jest królewskim więźniem i zostanie osądzona przez króla oraz radę. Odpowie za swe liczne zbrodnie.

„Ciekawe jak”, zastanawiam się.

W odpowiedzi tłum wyje z aprobatą. Przeważają w nim „prości” Srebrni, nieposiadający arystokratycznych korzeni, i to oni upajają się słowami Mavena. Dwór zachowuje stoicki spokój. Tylko niektórzy wielmoże szarzeją na twarzach, ich rysy tężeją, a spojrzenia stają się twarde. Najbardziej widać to po

przedstawicielach domu Merandus ubranych w czarne żałobne szaty ozdobione granatowym kolorem przynależnym zmarłej królowej. Evangeline ledwie raczy na mnie spojrzeć, za to oni wbijają we mnie oczy. Błękitne i roziskrzzone niczym najgorętszy płomień. Spodziewam się usłyszeć w głowie ich szepty, kilkadziesiąt głosów wwiercających się w mózg niczym robaki w zgniłe jabłko. Jednak pod moją czaszką panuje cisza. Być może otaczający mnie Arvenowie są nie tylko strażnikami więziennymi, ale i moimi ochroniarzami – tłumią zarówno moją umiejętność, jak i umiejętności tych, którym zachciałoby się wykorzystać swoje moce przeciwko mnie. Pewnie tak rozkazał im Maven. Nikt nie może mnie skrzywdzić.

Nikt poza nim.

Wszystko mnie boli. Ból nęka mnie, gdy stoję, gdy się ruszam, gdy myślę. Jestem poobijana od czasu rozbicia odrzutowca, wymęczona po torturach nadajnikiem fal dźwiękowych i odrętwiała przez miazdzącą siłę, z jaką Uciszacze dławią moją moc. Jednak są to jedynie obrażenia ciała. Siniaki. Złamania. Te rany z czasem się zagoją. Mam wszakże i takie, które nigdy się nie zabliznią. Mój brat nie żyje. Zostałam jeńcem. I nie wiem, co się dzieje z moimi przyjaciółmi, których porzuciłam wiele dni temu, zawierając pakt z diabłem. Cal, Kilorn, Cameron, moi bracia Bree i Tramy. Zostawiliśmy ich na polanie, ale byli ranni, sparaliżowani, bezbronni. Maven mógł posłać całą armię zabójców, aby dokończyli to, co zaczął. Przehandlowałam siebie za wolność najbliższych i nawet nie mam pewności, czy to cokolwiek dało.

Maven powie mi prawdę, jeśli go zapytam. Wyczytuję to z jego twarzy i zachowania. Zerka na mnie po każdym plugawym kłamstwie, po każdym kolejnym zdaniu, które jego poddani przyjmują z aplauzem. Upewnia się, że na niego patrzę, że interesuję się nim, że go zauważam. Zupełnie jak dziecko.

Nie będę go o nic błagać. Nie tutaj. Nie w ten sposób. Zostało mi zbyt wiele godności.

– Moja matka i mój ojciec zginęli, walcząc z tymi zwierzętami – grzmi Maven. – Oddali życie, aby utrzymać jedność królestwa, aby was ochronić.

Pomimo skrajnego wyczerpania i przygnębienia podnoszę głowę, spoglądam na niego i nasze spojrzenia się krzyżują. Oboje pamiętamy, w jaki sposób zginął jego ojciec. Z czyjej ręki. Królowa Elara szeptami wdarła się do mózgu Cala, zmieniając ukochanego królewskiego syna w kata. Maven i ja przyglądaliśmy się, jak Cal zmuszony jej mocą zabija ojca, ucina mu głowę i tym samym zamyka sobie drogę do tronu. Od tamtej pory widziałam wiele okropieństw, ale wspomnienie tamtego zdarzenia nadal mnie prześladowuje.

Nie pamiętam zaś zbyt wiele z tego, co zaszło między mną a królową przed więzieniem Corros. Wiem tylko, że już po wszystkim jej zmasakrowane zwłoki były świadectwem nieokiełznanej potęgi błyskawicy. Wiem również, że zabiłam

Elarę bez wahania, bez wyrzutów sumienia, bez odrobiny żalu. W bitewny szal wpadłam po nagłej śmierci Shade'a. Ostatnim moim wyraźnym wspomnieniem z Corros jest widok brata, który pada na ziemię z sercem przebitym zimnym metalowym ostrzem Ptolemeusza. Jakimś cudem Żeleźcowi udało się uniknąć mojej furiackiej zemsty, królowej jednak nie. Razem z pułkownikiem dopilnowaliśmy, żeby cały świat dowiedział się o losie, który spotkał Elarę, i podczas transmisji telewizyjnej pokazaliśmy jej ciało.

Szkoda, że Maven nie odziedziczył umiejętności po matce i nie może spenetrować moich myśli. Chciałabym, aby zobaczył moment, w którym z nią skończyłam. Chciałabym, żeby poczuł straszliwy ból po stracie tak samo dotkliwie jak ja.

Kończąc wyuczoną na pamięć przemowę, młody król nie odrywa ode mnie wzroku. Jedną rękę ma wyprostowaną, żeby lepiej zaprezentować łańcuch, na którym mnie trzyma. Każdy jego gest jest starannie zaplanowany, obliczony na efekt propagandowy.

– Przysięgam, że taki sam los czeka Szkarłatną Gwardię, przysięgam, że rozprawię się z potworami takimi jak Mare Barrow albo sam zginę.

„No to giń”, chcę wrzasnąć.

Ryk tłumu zagłusza moje myśli. Setki zebranych wiwatują na cześć władcy i jego tyranii. Idąc wcześniej przez most, płakałam na widok niezliczonych twarzy ludzi, którzy obwiniają mnie o śmierć swoich bliskich. Wciąż czuję schnące na policzkach łzy. Teraz znów chce mi się wyć, jednak tym razem nie ze smutku, ale z wściekłości. Jak oni mogą w to wierzyć? Jak mogą przełknąć te kłamstwa?

Jedno szarpnięcie łańcucha i bezwładnie niczym lalka obracam się tyłem do zgromadzonych. Resztką sił wyciągam szyję i spoglądam przez ramię, wypatrując kamer, łączników ze światem. „Ujrzyjcie mnie – zaklinam w duchu. – Rozszyfrujcie jego kłamstwa”. Zaciskam zęby i zwężam oczy, starając się przybrać taki wyraz twarzy, z którego będą wycierały wytrwałość, opór i gniew. „Jestem dziewczyną od błyskawic. Jestem burzą”. Co za stek bzdur. Dziewczyna od błyskawic nie żyje.

Jednak tylko to mi zostało, tyle mogę zrobić dla sprawy, dla ludzi, których kocham i którzy wciąż gdzieś tam są. Nie ugnę karku. Będę trzymała głowę wysoko. I chociaż nie mam pojęcia, w jaki sposób, będę walczyć nawet tutaj, w jaskini lwa.

Kolejne szarpnięcie zmusza mnie, abym obróciła się przodem do dworzan. Wyniośli Srebrni też na nas patrzą. Przyglądam się ich twarzom, ich pozbawionej życia sinopopielatej skórze poprzecinanej srebrnymi żyłkami, w których zamiast krwi krąży ciekła stal i diamenty. Wszyscy oni skupiają się nie na mnie, ale na Mavenie. W tym momencie przychodzi mi do głowy odpowiedź, której szukałam. W oczach Srebrnych arystokratów dostrzegam pożądanie.

Na ułamek sekundy robi mi się żal młodocianego króla osamotnionego na swoim tronie. W następnej chwili gdzieś głęboko w duchu czuję rozbłysk niepokornej nadziei.

„Pięknie, Maven. Wpakowałeś się w niezłe bagno”.

Teraz będę się zastanawiać już tylko nad tym, kto uderzy pierwszy.

Szkarłatna Gwardia czy wielmożowie gotowi poderżnąć gardło młodemu władcy i odebrać mu wszystko, za co zginęła jego matka.

*

Wspinamy się po schodach do Pałacu Białego Ognia i gdy tylko przekraczamy próg zięjącego pustką holu, Maven podaje smycz jednemu z Uciszaczy. Dziwne. Tak obsesyjnie pragnął mnie odzyskać, zamknąć w swojej klatce, a teraz bez mrugnięcia oddaje mnie strażnikom, odsuwa od siebie. „Tchórz”, myślę. Potrafi na mnie spojrzeć tylko na potrzeby widowiska.

– Dotrzymałeś obietnicy? – pytam, ciężko oddychając. Głos mam zachrypły, odzwyczaiłam się od mówienia. – Ile znaczy twoje słowo?

Nie odpowiada.

Reszta dworu powoli nas dogania i ustawia się w szeregu za nami. Każdy arystokrata dobrze wie, w którym rzędzie ma stanąć, jego pozycja jest wypadkową statusu i rangi. Tylko ja tutaj nie pasuję, idę pierwsza za królem, drepczę kilka kroków za nim, zajmując miejsce, które powinno przyspać królowej, chociaż nigdy w życiu nie byłam dalej od tego tytułu niż teraz.

Zerkam na wyższego z pilnujących mnie strażników w nadziei, że zobaczę w nim coś więcej niż ślepe posłuszeństwo władcy. Mężczyzna ma na sobie biały mundur, gruby, kuloodporny, zapięty na suwak po samą szyję. Na jego dłoniach lśnią rękawiczki, ale nie jedwabne, tylko gumowe. Wzdrygam się. Chociaż Arvenowie posiadają zdolność wyciszania umiejętności, wołą nie ryzykować. Nawet jeśli jakimś cudem udałoby mi się przywołać iskrę, rękawice ich ochronią i pozwolą utrzymać mnie w ryzach, przypiętą do smyczy, skutą łańcuchami, zamkniętą w klatce. Wyższy ze strażników nie zwraca uwagi na moje spojrzenie, w skupieniu wpatruje się w dal i zaciska usta. Drugi nadzorca robi to samo, stojąc po mojej drugiej stronie. Ruchy obydwu braci czy może kuzynów wydają się idealnie zsynchronizowane. Wpatruję się w ich lśniące łysiny i przypominam sobie Lucasa Samosa. Mojego dobrodusznego strażnika, przyjaciela, który został stracony, ponieważ mnie znał i ponieważ go wykorzystałam. Wtedy mi się poszczęściło, Cal przydzielił mi do ochrony przyzwoitego Srebrnego. Chociaż teraz też nie powinnam narzekać, uświadamiam sobie. Strażników, którzy są mi obojętni, łatwiej będzie zabić.

Ponieważ oni muszą umrzeć. Nieważne jak. Jeśli mam uciec, jeśli mam odzyskać błyskawicę, muszę pokonać pierwszą przeszkodę, którą stanowią oni.

Kolejnych przeciwników łatwo przewidzieć: wartownicy Mavena, pozostali strażnicy oraz funkcjonariusze rozstawieni po całym pałacu i oczywiście sam król. Opuszczę te mury dopiero po jego śmierci – albo po swojej.

Myślę o tym, w jaki sposób go zabiję. Wyobrażam sobie, że owijam łańcuch wokół jego szyi i wyduszam z niego resztki życia. Te fantazje pomagają mi nie zwracać uwagi na to, że z każdym krokiem coraz bardziej zagłębiam się we wnętrza pałacu, stąpając po białym marmurze, mijając inkrustowane złotem ściany, przechodząc pod dziesiątkami żyrandoli z kryształowymi światłkami w kształcie płomieni. Jest tu równie pięknie i chłodno, jak zapamiętałam. Więzienie ze złotymi zamkami i diamentowymi kratami. Przynajmniej nie będę musiała stanąć oko w oko z najbardziej brutalnym i niebezpiecznym dozorcą. Królowa matka nie żyje. Wspomnienie o niej sprawia, że wstrząsa mną dreszcz. Elara Merandus. Jej szept wciąż nawiedza mnie w snach. Kiedyś przedzierała się przez moje wspomnienia. Teraz stała się jednym z nich.

W pewnej chwili zwracam uwagę na postać w zbroi, która wymija strażników, po czym w orszaku zajmuje miejsce między mną a królem. Maszeruje w takim samym tempie jak my, nie ma na sobie stroju ani maski noszonych przez wartowników, ale wyczuwam, że jest tu po to, by chronić króla. Prawdopodobnie wie, że marzę o tym, by udusić Mavena. Przygryzam wargę, szykuję się na piekący ból i atak jadowitego szeptu.

Jednak nie, mężczyzna nie pochodzi z domu Merandus. Ma ciemną zbroję o barwie obsydianu, srebrne włosy i księżycowo bladą cerę. Gdy zerka na mnie przez ramię, widzę jego oczy – czarne i pozbawione wyrazu.

„Ptolemeusz”.

Bez zastanowienia, bez chwili wahania rzucam się na niego z zębami. Jedyne, czego w tym momencie pragnę, to przegryźć mu tętnicę. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy srebrna krew smakuje inaczej niż czerwona.

Nie dane mi jednak było dowiedzieć się tego.

Obroża zaciska się, szarpie mnie do tyłu tak gwałtownie, że wyginam się w łuk i z hukiem zwalam na podłogę. Zderzenie z marmurową posadzką niemal rozsadza mi czaszkę. Świat wiruje mi przed oczami, ale nie na tyle mocno, żeby mnie powstrzymać. Podnoszę się na kolana, widzę nogi Ptolemeusza, które obracają się w moją stronę. Znowu rzucam się do przodu i znowu obroża mnie odciągając.

– Dość tego – syczy Maven.

Stoi nade mną, zatrzymał się, żeby obejrzeć żalotne próby zemsty na Ptolemeuszu. Cały dworski orszak również stanął, wielu Srebrnych podeszło bliżej, chcąc zobaczyć ostatnie nędzne podrygi wynaturzonego Czerwonego szczura.

Obroża cały czas się zaciska, z trudem przetykam ślinę i chwytam się za

gardło.

Maven wpatruje się w metalowe, kurczące się ogniwa.

– Evangeline, dość tego, powiedziałem.

Pomimo bólu oglądam się przez ramię i tuż za sobą widzę Żeleźczynię. Jedną dłoń ma zwiniętą w pięść i podobnie jak król nie odrywa wzroku od obroży. Metalowa obręcz pulsuje, najwyraźniej zaciska się w rytm uderzeń jej serca.

– Uwolnij ją – syczy Evangeline. Przez sekundę myślę, że chyba się przesłyszałam. – Uwolnij ją tu i teraz. Odeślij strażników, a ja ją zabiję, rozprawię się z nią i z jej błyskawicą.

Obnażam zęby i wykrzywiam twarz w zwierzęcym grymasie, upodabniając się do potwora, za jakiego mnie mają.

– Spróbuj – charczę. Z całego serca pragnę, żeby Maven przystał na propozycję Żeleźczynie. Mimo ran, dni spędzonych w ciszy i lat przeżytych w nieświadomości mocy, która we mnie drzemie, chcę tego samego co Srebrna arystokratka. Już raz zdołałam ją pokonać. To wyzwanie to dla mnie szansa. Lepszej nie mogłam sobie wymarzyć.

Maven przenosi spojrzenie z mojej obroży na swoją narzeczoną, jego twarz rozciąga się w jadowym grymasie. Jest przerażająco podobny do matki.

– Kwestionujesz rozkazy króla, wielmożna Evangeline?

Zęby Żeleźczynie połyskują między pomalowanymi na fioletowo wargami. Jeszcze chwila i fasada dworskich manier runie doszczętnie, ale zanim Evangeline zdąży cokolwiek powiedzieć, przysuwa się do niej Volvo Samos i przywierając ramieniem do ramienia córki, wysyła jej jasny sygnał: „Bądź posłuszna”.

– Nie – odwarkuje Srebrna, mimo że jej oczy mówią co innego, po czym zgina kark i pochyla głowę. – Wasza Królewska Mość.

Obroża się rozluźnia, wraca do poprzedniego rozmiaru, a może nawet robi się odrobinę obszerniejsza. Dobrze wiedzieć, że Evangeline nie jest aż tak skrupulatna, za jaką chce uchodzić.

– Mare Barrow jest więźniem korony i sąd koronny zdecyduje, jaki spotka ją los – oznajmia Maven, podnosząc głos tak, aby usłyszeli go Srebrni stojący za jego wybuchową narzeczoną. Omiata twardym spojrzeniem cały dwór, by nie pozostawić wątpliwości co do tego, jaka jest jego wola. – Śmierć to dla niej zbyt mało.

Po sali przechodzi szmer. Słyszę pomruki dezaprobaty, ale i zadowolenia. „Dziwne”. Myślałam, że wszyscy będą chcieli obejrzeć moją egzekucję, napawać się widokiem powolnej śmierci: przywódczyni Szkarłatnej Gwardii spętana i zżerana żywcem przez sępy, wykrwawiająca się na ziemiach, które zapragnęła przejąć. Wygląda jednak na to, że życzą mi czegoś gorszego.

„Gorszego niż śmierć”.

Wiele tygodni temu wspominał o tym Jon. Gdy zobaczył, co niesie mi

przyszłość, dokąd prowadzi droga, którą idę. Wiedział, co się zbliża. Wiedział i przekazał to królowi. Kupił sobie bezpieczne miejsce u boku władcy za cenę życia mojego brata i mojej wolności.

Odnajduję go w tłumie arystokratów. Stoi na uboczu, Srebrni trzymają się od niego z daleka. Oczy ma czerwone, twarz pobladła, włosy przedwcześnie posiwiałe, ściągnięte w starannie spleciony warkocz. Kolejny Nowy w roli maskotki Mavena Calore, ale ten nie ma na sobie łańcucha, przynajmniej żadnego nie dostrzegam. Nie jest więźniem, ponieważ pomógł królowi powstrzymać naszą misję ratunkową, zanim zaczęła się na dobre i zanim zdążyliśmy ocalić dziecięcy legion. Wyjawiał mu naszą przyszłość, pokazał ścieżki, którymi ruszymy. Podał mnie na tacy młodocianemu królowi. Zdradził nas wszystkich.

Jon oczywiście również wlepia we mnie spojrzenie. Nie spodziewam się przeprosin za to, co zrobił, i też ich nie otrzymuję.

– Co z przesłuchaniem? – odzywa się ktoś stojący po mojej lewej stronie. Nie rozpoznaję głosu, ale poznaję twarz.

Samson Merandus. Wojownik z areny, brutalny Szeptacz, kuzyn zmarłej królowej. Przepycha się w moim kierunku, a ja mimowolnie się wzdrygam. W poprzednim życiu widziałam, jak na arenie zmusza swojego przeciwnika do samobójstwa. Kilorn siedział wtedy obok mnie, wiwatował, cieszył się ostatnimi godzinami wolności. Niedługo potem umarł jego mistrz i cały nasz świat przewrócił się do góry nogami. Zmienił się nasz los. Teraz leżę na nieskazitelnej marmurowej posadzce, zmarznięta i zakrwawiona, niczym pies warujący u stóp króla.

– Czy przesłuchanie ma ją ominąć, Wasza Królewska Mość? – dopytuje Samson, wyciągając rękę w moją stronę. Ujmuje mnie pod brodę, siłą podnosi moją twarz. Z trudem się powstrzymuję, by nie ugryźć go w dłoń. Nie zamierzam dawać Evangeline pretekstu do tego, aby znów mnie podduśła. – Proszę pomyśleć o tym, co widziała. Co wie. To ich przywódczyni i klucz do tej nędznej hołoty.

Myli się, ale mimo to serce łomocze mi w piersiach jak szalone. Wiem wystarczająco dużo, żeby zaszkodzić Gwardii. Przed oczami stają mi Klin, pułkownik, bliźniacy z Montfort. Infiltracja legionów i miast. Ludzie pokroju Willa czy Ellie Pukawki rozsiani po całym kraju, przemycający uchodźców w bezpieczne miejsca. Cenne, pilnie strzeżone sekrety, które wkrótce zostaną ujawnione. Ile osób narażę przez to, co wiem? Ile straci życie, gdy mnie złamią?

Martwię się jednak nie tylko o informacje warte fortuny dla wywiadu wojskowego. Jeszcze bardziej przeraża mnie myśl o tym, co mogą znaleźć w najgłębszych zakamarkach mojego umysłu. W mrocznych zakątkach, w których chowają się wszystkie moje demony. Jednym z nich jest Maven. Książę, którego zapamiętałam, którego pokochałam i pragnęłam, aby okazał się prawdziwy. Kolejny to Cal i kłamstwa, którymi siebie karmiłam, myśląc o tym, komu i czemu

jest wierny. Wszystko, co robiłam i co lekceważyłam, żeby go zatrzymać. Zzerające mnie od środka wstyd i poczucie winy za popełnione błędy. Nie pozwolę, żeby Samson – albo Maven – dogrzebali się do tego.

„Proszę”, zaklinam w myślach, ale moje usta pozostają nieruchome. Chociaż nienawidzę Mavena i pragnę zobaczyć, jak cierpi, wiem, że w tym momencie jest moją jedyną szansą na ocalenie. Jednak błaganie o litość na oczach jego najsilniejszych sojuszników i najgorszych wrogów osłabiłoby jedynie i tak niezbyt stabilną pozycję króla. Dlatego milczę, usiłując zignorować ściskającego mnie za podbródek Samsona, i wbijam wzrok w twarz Mavena.

Na krótką chwilę nasze spojrzenia krzyżują się.

– Znacze rozkazy – rzuca szorstko w stronę pilnujących mnie Arvenów.

Strażnicy chwytają mnie mocno, ale nie brutalnie, i stawiają na nogi, po czym ujmują pod łokcie, by wyprowadzić z tłumu. Reszta orszaku zostaje z tyłu. Evangeline, Ptolemeusz, Samson i Maven.

Ten ostatni obraca się na pięcie i rusza w przeciwnym kierunku. Idzie tam, gdzie znajduje się jedyna rzecz, która może go jeszcze ogrzać.

Tron z nieruchomych płomieni.

ROZDZIAŁ 2

Mare

Nigdy nie jestem sama.

Arvenowie nie odstępują mnie na krok. Zawsze jest ich dwoje, nie spuszczają ze mnie oczu i cały czas obezwładniają swoją ciszą. Dzięki temu wystarczy zamknąć za mną drzwi na klucz, żebym stała się więźniem. Oczywiście nie mogę nawet podejść do drzwi – jeśli tylko zbyt blisko się do nich zbliżę, zostaję bezceremonialnie odciągnięta na środek komnaty. Moi nadzorcy są silniejsi ode mnie i niezwykle czujni. Jedynym miejscem, w którym mogę się schować przed ich baczny wzrokiem, jest niewielka wyłożona białymi kafelkami łazienka, wyposażona w armaturę ze złota i wykończona złowrogim paskiem z Cichego Kamienia, biegnącym wzdłuż podłogi. Obecność szarych połyskujących brył sprawia, że głowa mi pęka, a gardło zaciska się boleśnie. Nie mogę tu być dłużej niż kilka chwil, jeśli nie chcę paść na posadzkę nieprzytomna. Obezwładniające uczucie przypomina mi o Cameron i jej umiejętności. Ta nastoletnia dziewczyna potrafi zabić swoją ciszą. Chociaż nie znoszę widoku bez przerwy pilnujących mnie strażników i tęsknię za samotnością oraz spokojem, nie ryzykuję i staram się przebywać w łazience najkrócej, jak się da.

Zabawne – kiedyś myślałam, że najbardziej obawiam się tego, iż zostanę sama. Teraz nigdy nie jestem sama, ale przerażenie mnie nie opuszcza.

Nie czuję błyskawicy już czwarty dzień.

Piąty.

Szósty.

Siedemnasty.

Trzydziesty pierwszy.

Każdą kolejną dobę zaznaczam karbem na listwie przypodłogowej obok łóżka, widelec pomaga mi mierzyć upływ czasu. Dobrze się czuję, zostawiając w komnacie swój ślad, wyrządzając choćby najmniejszą szkodę murom Pałacu Białego Ognia. Arvenowie nie zwracają na to uwagi. Przez większość dnia ignorują mnie, skupiając się na roztaczaniu totalnej, absolutnej ciszy. Siedzą na krzesłach przy drzwiach i przypominają posągi o żywych oczach.

Umieszczono mnie w innej komnacie niż podczas pierwszego pobytu w pałacu. Trudno się dziwić, że królewskiego więźnia trzyma się gdzie indziej niż księżącą oblubienicę. Nie trafiłam jednak do celi. Moje więzienie jest wygodne i elegancko umeblowane, śpię na szerokim, wytwornym łożu, mogę korzystać z biblioteczki przeładowanej nudnymi tomami. Do dyspozycji mam również parę

krzesel i stół, całości dopełniają delikatne zasłony w neutralnych odcieniach bieli, szarości i brązu. Wyplukane z barw tak samo jak ja zostałam wyplukana z mocy.

Powoli przyzwyczajam się do spania w pojedynkę, ale wróciły koszmary i nie ma przy mnie Cala, który mógłby je przegonić. Nie ma nikogo, komu by na mnie zależało. Za każdym razem, gdy wybudzam się z kolejnego paskudnego snu, dotykam włożonych w ucho kolczyków i w myślach powtarzam imiona: Bree, Tramy, Shade, Kilorn. Trzech rodzonych braci, jeden przybrany. Trzech żywych, jeden martwy. Żałuję, że nie mam pary do tego kolczyka, który podarowałam Gisie, zostałaaby mi wtedy pamiątka również po niej. Czasami jednak siostra przychodzi do mnie we śnie. Nie dzieje się w nim nic konkretnego, widzę jedynie jej twarz, włosy rude i ciemne jak zaschnięta krew. Za to na jawie prześladują mnie jej słowa. „Pewnego dnia ktoś przyjdzie i odbierze ci wszystko, co masz”. Nie pomyliła się.

W komnacie nie ma luster, nie zamontowano ich nawet w łazience. Domyślam się jednak, co ze mną robi to miejsce. Chociaż dostaję sute posiłki i nie pracuję fizycznie, odnoszę wrażenie, że wychudłam. Kości są widoczne pod skórą, ostrzejsze, jakbym marniała. Nie mam tu zbyt wiele do roboty, mogę jedynie spać albo czytać książki na temat systemu podatkowego Norty, ale mimo to czuję się wycieńczona. Wystarczy lekkie dotknięcie, by na skórze pojawiły się nowe siniaki. Obroza pali mnie nieustannie, nawet gdy całymi dniami dygoczę z zimna. Może mam gorączkę. Może pomału umieram.

Z nikim jednak nie mogę się podzielić swoimi obawami. Przez te wszystkie dni właściwie nie wydobywam z siebie głosu. Drzwi otwierają się jedynie wtedy, gdy nadchodzi pora na wniesienie jedzenia i wody lub na zmianę strażników. To wszystko. Nie widuję żadnych Czerwonych służących, chociaż na pewno nie zniknęli nagle z powierzchni ziemi. To Arwenowie podają mi pozostawiane przed progiem posiłki, pościel i ubrania na zmianę. Również oni po mnie sprzątają, krzywiąc się ze wstrętem, ponieważ wykonywanie tego typu zajęć z pewnością uwłacza ich godności. Sądzę, że Czerwonym służącym nie wolno się do mnie zbliżać, uznano to za zbyt niebezpieczne. Na myśl o tym uśmiecham się. Szkarłatna Gwardia nadal stanowi zagrożenie, wystarczająco duże, aby zachowano wobec mnie najwyższe środki ostrożności.

Nie dopuszcza się do mnie nikogo. Nikt nie przychodzi, aby się pogapić i napawać upadkiem dziewczyny od błyskawic. Nawet Maven.

Strażnicy nie odzywają się do mnie. Nie przedstawili mi się, dlatego w duchu nadałam im imiona. Kocicą zostaje starsza, niższa ode mnie kobieta o drobnej twarzy i bystrym, czujnym spojrzeniu. Ten z okrągłą, białą głową, ogoloną na łyso – jak zresztą u pozostałych strażników – to Jajo. Trzeciak ma wytatuowane na karku trzy linie biegnące wzdłuż szyi niczym ślady po pazurach. Zielonooka Koniczyna, dziewczyna w moim wieku, wypełnia swoje obowiązki

z niezłomną lojalnością. Tylko ona odważa się patrzeć mi prosto w twarz.

Gdy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Maven chce mnie odzyskać, spodziewałam się, iż pragnie zadawać mi ból, pogrążyć w otchłani cierpienia. Myślałam, że podda mnie wymyślnym torturom, które będę znosić pod jego płomiennym spojrzeniem. Nic takiego jednak się nie dzieje. Przynajmniej nie od dnia, w którym przybyłam do pałacu i zostałam zmuszona, aby paść przed królem na kolana. Powiedział, że zrobi z mojego ciała widowisko, ale nie pojawił się żaden kat. Nie przyszli do mnie Szeptacze, Srebrni pokroju Samsona Merandusa i zmarłej królowej, którzy włamałoby się do mojego umysłu i wygrzebali z niego najskrytsze myśli. Jeśli tak ma wyglądać moja kara, to jest śmiertelnie nudna. Mavenowi brakuje wyobraźni.

W mojej głowie nadal rozbrzmiewają głosy i kołaczą się wspomnienia, całe mnóstwo wspomnień. Przeszywają mnie niczym ostrza. Próbuje uśmierzyć ból, czytając otępiające książki, ale słowa rozmywają mi się przed oczami, litery zmieniają szyk i układają się w imiona ludzi, których zostawiłam. Żywych i umarłych. Do tego Shade, zawsze i wszędzie Shade.

Nawet jeśli mój brat zginął z ręki Ptolemejusza, to przeze mnie ich drogi się skrzyżowały. Zginął przez mój egoizm. Przez to, że miałam się za wybawcę i po raz kolejny zaufałam nieodpowiedniej osobie. Zaryzykowałam ich życia jak hazardzista. „Ale oswobodziłam więźniów. Zwróciłam wolność wielu ludziom... i uratowałam Juliana”.

Jednak w tym momencie marna to dla mnie pociecha. Teraz już wiem, jakim kosztem ocalałam osadzonych w więzieniu Corros. I codziennie wraca do mnie myśl, że gdybym jeszcze raz miała dokonać wyboru, nie zdecydowałabym się zapłacić tak wysokiej ceny. Nawet Julian, nawet setka ocalonych Nowych nie jest dla mnie warta tyle co życie Shade'a.

Tak czy inaczej, Maven dopiął swego. Od miesięcy zostawiał kolejne naznaczone krwią wiadomości, w których zaklinał mnie, bym wróciła. Chciał skłonić mnie do powrotu trupami, rosnącą liczbą ciał. Ja jednak myślałam, że nie kupi mnie za nic, nawet za cenę tysiąca niewinnych istnień. Teraz żałuję, że nie przystałam na jego propozycję o wiele wcześniej. Zanim wpadło mu do głowy, aby przyjść po tych, na których naprawdę mi zależy, ponieważ ich nie zawaham się uratować. Ponieważ Cal, Kilorn i moja rodzina to jedyne osoby, dla których poświęciłabym wszystko. Maven dobrze wie, co robi, rezygnując z tortur. Nie ucieka się nawet do użycia nadajnika fal dźwiękowych, urządzenia, które wykorzystuje błyskawicę przeciwko mnie i rozsadza mnie od środka nerw po nerwie.

Nie potrzebuje moich męczarni. Matka dobrze go wyszkoliła. Jedyne pociechę czerpię z myśli, że za młodym królem nie stoi już nikczemna królowa, która pociąga za sznurki. Podczas gdy ja przeżywam koszmar na jawie

w strzeżonej dzień i noc komnacie, on siedzi samotnie za sterem królestwa. Elara Merandus nie podpowiada mu już, jaki kurs obrać, ani nie chroni go przed ciosami w plecy.

Od miesiąca nie wychodzę na świeże powietrze i niemal tak samo długo nie oglądam niczego prócz czterech ścian mojej celi oraz widoku roztaczającego się z wąskiego okna.

Okno wychodzi na ogród, zwiędły i uschnięty o tej porze roku. Drzewka w zagajniku są wymyślnie poskręcane rękami Strażników Zieleni i w pełni rozkwitu na pewno prezentują się przepięknie: zielony baldachim liści wyrastający z fantazyjnie przeplecionych gałęzi. Jednak późną jesienią nagie konary sękatych dębów, wiązów i buków przypominają szpony, a pozbawione soków gałęzie uderzają o siebie z kłopotem przywodzącym na myśl stukot kości. Dziedziniec jest opuszczony, zapomniany. Zupełnie tak jak ja.

„Nie”, powtarzam w myślach.

Ktoś w końcu po mnie przyjdzie.

Karmię się tą nadzieją. Za każdym razem, gdy otwierają się drzwi, serce mi zamiera. Przez ułamek sekundy spodziewam się zobaczyć Cala, Kilorna, Farley, być może Babcie o celowo zmienionej twarzy. Może nawet samego pułkownika. Na widok jego przekrwionego oka chyba rozplakałabym się ze szczęścia. Jednak nikt się nie zjawia. Nikt po mnie nie przychodzi.

Nadzieja w sytuacji, gdy nie ma na nią miejsca, jest okrucieństwem.

Maven doskonale o tym wie.

Gdy trzydziestego pierwszego dnia zachodzi słońce, doznaję nagłego olśnienia i zaczynam rozumieć, jaki przyświeca mu cel.

Chce, żebym zgniła. Zgasła. Odeszła w zapomnienie.

Nad pełnym kościstych gałęzi dziedzińcem wirują tumany pierwszego śniegu, który w końcu zaczął się sypać z ołowianego nieba. Szyba jest lodowata w dotyku, ale uparła się, by nie zamarznąć.

Ja też będę uparta.

*

W porannym świetle śnieg na dworze wygląda nieskazitelnie, nagie drzewa pokrywa roziskrzona biała skorupka. Do południa się stopi. Z moich obliczeń wynika, że jest 11 grudnia. Zimny, szary, martwy czas przejściowy między jesienią a prawdziwą zimą. Potężne opady śniegu zaczną się dopiero w przyszłym miesiącu.

W Palach lubiłam skakać z werandy w zasy, nic nie potrafiło zniechęcić mnie do tej zabawy, nawet twarde lądowanie, które zaliczył pewnego dnia Bree – spadł prosto na pokryty śniegiem stos drewna na opał i złamał nogę. Na leczenie wydaliśmy całą miesięczną pensję Gisy, a ja musiałam ukraść większość potrzebnych felczerowi materiałów opatrunkowych. Zdarzyło się to ostatniej zimy

przed poborem jego rocznika do wojska, ostatniej zimy, którą cała nasza rodzina spędziła razem. Teraz już nigdy nie będziemy wszyscy razem.

Mama i tata schronili się dzięki Gwardii. Gisa i pozostali przy życiu bracia również. „Są bezpieczni. Są bezpieczni. Są bezpieczni”. Codziennie rano powtarzam w myślach te słowa. Dodają mi otuchy, nawet jeśli nie są zgodne z prawdą.

Powoli odsuwam od siebie talerz ze stałym zestawem śniadaniowym. Nie mam już apetytu na tosty i owsiankę z owocami.

– Dziękuję – mówię z przyzwyczajenia, choć doskonale wiem, że nikt mi nie odpowie.

Kocica podchodzi do mnie i wykrzywia wargi w szyderczym uśmiechu, patrząc na niedojedzony posiłek. Ujmuje talerz, jak gdyby dotykała obrzydliwego robala, sztywno wyciąga przed siebie rękę i odnosi naczynie do drzwi. Podnoszę wzrok w nadziei, że być może tym razem uda mi się pochwycić choć zarys pomieszczenia, które znajduje się za moją komnatą. Jak zwykle jednak nie dostrzegam nic prócz pustej przestrzeni, i znów ogarnia mnie przygnębienie. Strażniczka rzuca talerz na podłogę – upada z brzękiem i może nawet się tłucze, ale kobietę nic to nie obchodzi. Służba posprząta. Drzwi się zamykają, Kocica wraca na swoje krzesło. Na drugim siedzi Trzeciak, ręce ma skrzyżowane, oczy nieruchomo utkwione we mnie. Czuję moc tych dwojga. Krępuje mnie niczym zbyt ciasno owinięty pled, nie pozwala mi się ruszyć z miejsca i dotrzeć tam, gdzie skryła się moja błyskawica. Czasami mam ochotę zedrzeć z siebie ten niewidzialny koc razem ze skórą.

Nienawidzę go. Nienawidzę go.

Nie-na-wi-dzę-go.

Brzdęk.

Rzucam szklanką o ścianę, woda ochlapuje szkaradną szarą farbę, szkło rozpryskuje się dookoła. Strażnicy nawet nie drgną. Przyzwyczajali się do moich wybuchów.

Czuję się lepiej. Przez minutę. Niecałą.

Trzymam się rozkładu dnia, który wypracowałam w ciągu miesiąca niewoli. Budzę się. Natychmiast tego żałuję. Dostaję śniadanie. Tracę apetyt. Talerz zostaje zabrany. Natychmiast tego żałuję. Ciskam szklanką o ścianę. Natychmiast tego żałuję. Zrywam pościel z łóżka. Czasami rozdieram ją na kawałki, czasami krzyczę. Natychmiast tego żałuję. Usiłuję przeczytać książkę. Gapię się w okno. Gapię się w okno. Gapię się w okno. Dostaję lunch. I tak dalej.

Jestem bardzo zapracowaną dziewczyną.

Czy raczej kobietą.

Według prawa w osiemnastym roku życia przestajemy być dziećmi i stajemy się dorośli. A ja parę tygodni temu, 17 listopada, skończyłam osiemnaście lat.

Oczywiście przeszło to bez echa. Wątpię, aby Arvenów interesowało, że ich podopieczna jest o rok starsza. Tylko jednego osobnika w pałacu ten fakt mógłby choć trochę obejść, ale on nie złożył mi wizyty, na szczęście. Akurat ten aspekt mojej niewoli bardzo sobie cenię – chociaż jestem więziona przez najgorszych ludzi na świecie, nie muszę znosić jego obecności.

Przynajmniej tak było do dzisiaj.

Zalegającej wokół mnie śmiertelnej ciszy kres kładzie nie nagła eksplozja, ale ciche szcęknięcie. Znajomy odgłos przekręcanego w zamku klucza. O nietypowej porze, niezgodnej z rozkładem. Podrywam głowę, słysząc ten dźwięk, moi nadzorcy również się wzdrygają, niespodziewane zdarzenie rozprasza ich uwagę. W moich żyłach zaczyna krążyć adrenalina, serce mi wali. W ułamku sekundy powraca do mnie nadzieja. Gorączkowo się zastanawiam, kto może stać za drzwiami.

Moi bracia. Farley. Kilorn.

„Cal”.

Marzę, żeby to był Cal. Marzę, by jego ogień strawił pałac i wszystkich tych ludzi.

Jednak w progu widzę postać, której nie rozpoznaję. Jedyne jej szaty wydają mi się znajome – czarny mundur, srebrne wykończenia. Kolejny strażnik, bezimienny i mało ważny. Wchodzi do mojej komnaty, plecami przytrzymuje otwarte drzwi, za którymi widzę grupkę podobnie ubranych ludzi, ich ciemne mundury wypełniają całą zwykle pustą salę.

Arvenowie zrywają się na nogi, są równie zdumieni jak ja.

– Co tu robicie? – pyta Trzeciak. Słyszę jego głos po raz pierwszy.

Kocica postępuje zgodnie z tym, jak została przeszkolona, i staje między mną a przybyłym funkcjonariuszem. Uderza we mnie kolejna fala ciszy podsyciona strachem i dezorientacją Arvenki. Zalewa mnie z ogromną mocą, wymywa resztki sił. Nie podnoszę się z krzesła, nie zamierzam słaniać się i przewracać na oczach wszystkich.

Funkcjonariusz milczy, wpatruje się w podłogę. Czeka.

W następnej chwili wchodzi ona, ubrana w suknię z igieł. Srebrne włosy ma starannie splecione w okalający głowę warkocz i przybrane klejnotami tak, aby przypominały upragnioną przez arystokratkę koronę. Drzę na widok idealnej, zimnej i bezwzględnej Żeleźczyni, która nosi się jak królowa. Ale jeszcze nią nie jest. Widzę to po niej.

– Evangeline – mamroczę, usiłując zapanować nad głosem ochryplym ze strachu i od wielodniowego milczenia. Dziewczyna obrzuca mnie spojrzeniem subtelnym niczym smagnięcie batem. Mierzy mnie od stóp do głów, zauważając każdą niedoskonałość, każdą słabość. Wiem, że mam ich wiele. W końcu jej wzrok zatrzymuje się na mojej obroży, wpija się w metalowe szpikulce. Evangeline

wykrzywia wargi z odrazą i pożądaniem. Bez najmniejszego wysiłku mogłaby zacisnąć połyskujące ogniwa kolczatki, wbić ostre końcówki w gardło i sprawić, że zadławie się własną krwią.

– Wielmożna pani Samos, nie jest pani upoważniona do odwiedzin – oznajmia Kocica, wciąż odgradzając mnie własnym ciałem od wejścia. Jej śmiałość mnie zdumiewa.

Evangeline przenosi wzrok na moją nadzorczynię, a na jej twarzy pojawia się szydery uśmiech.

– Sądzie, że mogłabym zlekceważyć rozkazy mojego króla, mojego narzeczonego? – prycha pogardliwie. – Przybywam z jego polecenia. Nakazuje więźniarce stawić się w sądzie. Natychmiast.

Jej ton staje się coraz bardziej kąśliwy. Nagle miesiąc niewoli wydaje mi się zdecydowanie zbyt krótki. Jakiś głos podpowiada mi, żeby nie ruszać się z miejsca i zmusić Żeleźczynię, by wywlekła mnie z celi. Jednak nawet wielodniowe odosobnienie nie zdołało pozbawić mnie dumy i godności. Przynajmniej na razie.

„Nigdy nie zdoła”, napominam się w duchu. Wstaję więc o własnych siłach, chociaż nogi mam miękkie, stawy obolałe, a dłonie drżą mi z wysiłku. Miesiąc temu rzuciłam się na brata Evangeline, zamierzając zamordować go gołymi rękami. Próbuję wykrzesać z siebie tamto uczucie, odszukać wściekłość i hardość, które pomogą mi chociaż się wyprostować.

Kocica nie cofa się. Zerka na Trzeciaka, wymieniają spojrzenia.

– Nie zostaliśmy poinformowani. To wbrew protokołowi.

Evangeline znów wybucha śmiechem, ukazując lśniące białe zęby. Uśmiech ma piękny i okrutny jak stalowe ostrze.

– Czy ty mi się sprzeciwiasz, strażniczko Arven? – Przesuwa niewiarygodnie jasną dłonią po sukience wykonanej z tysięcy igieł, a gdy kilkadziesiąt maleńkich ostrzy przywiera do jej ręki jak do magnesu, wysuwa przed siebie pięść i rozkłada palce. W jej garści połyskuje kupka szpilek. Trzymając metalowe obrzynki na dłoni, unosi jedną brew i cierpliwie czeka. Arvenowie nie odważą się skierować swojej mocy przeciwko córce wielmożnego Samosa, zwłaszcza jeśli jest ona przyszłą królową.

Znów spoglądają po sobie, najwyraźniej rozważając w duchu słowa Evangeline. Trzeciak marszczy brwi, na jego twarzy maluje się gniew, ale Kocica po chwili głośno wzdycha. Odsuwa się na bok. Ustępuje.

– Słuszna decyzja, będę o tym pamiętać – mówi cicho Żeleźczyni.

Czuję się bezbronna, porzucona na pastwę jej przeszywającego spojrzenia i zupełnie sama, mimo że cały czas przyglądają się nam Arvenowie i przybyli strażnicy. Evangeline mnie zna, wie, kim jestem, pamięta, co potrafię. W Kościńcu niemal ją zabiłam, ale udało jej się uciec, gdy w przerażeniu kryła się przede mną i przed moją błyskawicą. Teraz na pewno nie jest już przerażona.

Celowo robię krok w przód. Ruszam w jej kierunku. W stronę strefy bezpieczeństwa, która ją otacza i pozwala na korzystanie z umiejętności. Kolejny krok. Ku wolności, prosto w objęcia energii elektrycznej. Czy poczuję ją od razu? Czy poczuję, jak we mnie wzbiera? Na pewno. Nie może być inaczej.

Jednak na twarzy Zeleźczyni znów pojawia się zjadliwy uśmiech. Srebrna cofa się zgrabnie o dwa kroki, a ja mam ochotę wyć.

– Nie tak szybko, Barrow.

Pierwszy raz wypowiedziała moje prawdziwe nazwisko.

Pstryka palcami i spogląda na Kocicę.

– Zabrać ją.

*

Prowadzą mnie tak samo jak pierwszego dnia po przyjeździe do Archeonu. Kocica ściska w dłoni łańcuch przymocowany do mojej obroży. Razem z Trzeciakiem wciąż otaczają mnie ciszą, której dudnienie rozsadza mi czaszkę. Przemierzamy pałacowe korytarze i chociaż idziemy dość powoli, czuję się tak, jakby kazano mi przebiec sprintem kilka kilometrów. Tradycyjnie nie zawiązano mi oczu. Chyba uznano, że nie ma sensu zawracać sobie tym głowy.

Otoczenie staje się coraz bardziej znajome, przecinamy korytarze i krużganki, po których swobodnie spacerowałam nie dalej niż kilka miesięcy temu, chociaż teraz zdaje mi się, że od tamtego czasu minęły całe wieki. Wtedy nie miałam potrzeby zapamiętywać tych wszystkich przejść i połączeń. Teraz staram się jak najdokładniej zakodować w pamięci mapę pałacu. Z pewnością mi się przyda, jeśli kiedykolwiek mam się stąd wydostać żywa. Moja komnata wychodzi na wschód i mieści się na piątym piętrze; ustaliłam to, licząc okna. Pamiętam, że Pałac Białego Ognia został zbudowany na planie przeplatających się kwadratów i każde skrzydło posiada wewnętrzny dziedziniec podobny do tego, który godzinami podziwiam ze swojej celi. Maszerując przez kolejne korytarze, obserwuję widoki zmieniające się za wysokimi łukowatymi oknami. Wewnętrzny dziedziniec z ogrodem, plac Cezara, długi pas terenów treningowych, na których Cal ćwiczył musztrę ze swoimi żołnierzami, majaczące w oddali mury i sylwetka odbudowanego mostu. Na szczęście nie przechodzimy przez apartamenty, w których znalazłam dziennik Juliana i które były świadkiem napadów wściekłości Cala oraz knowań Mavena. To dziwne, że z pałacem wiąże się aż tyle moich wspomnień, mimo iż spędziłam tu tak mało czasu.

Mijamy szereg osadzonych na półpiętrze i wychodzących na zachód okien, z których roztacza się widok na koszary, rzekę Capital oraz dzielnicę miasta leżące na drugim brzegu. Między budynkami rozpięra się Kościelnice, z daleka poznaję jego zwalistą bryłę. Poznaję również tę panoramę. Przed tym samym rzędem okien stałam razem z Calem. Okłamałam go, wiedząc, że atak rozpocznie się najbliższej

nocy. Nie miałam jednak pojęcia, czym się skończy dla każdego z nas. Cal wyznał wtedy szeptem, że żałuje, iż rzeczywistość nie wygląda inaczej. Podzielałam jego rozżalenie.

Kamery zapewne śledzą nasz przemarsz, chociaż nie jestem w stanie ich wyczuć. Evangeline, otoczona funkcjonariuszami niczym metalowy łabędź obstępiony przez stado wron, milczy podczas naszej wędrówki w dół pałacu, w stronę reprezentacyjnego piętra. Gdzieś z oddali dolatuje nas muzyka. Pulsuje niczym opuchnięte, ociężałe serce. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego rodzaju dźwięków, nawet na balu, w którym brałam udział, ani podczas lekcji tańca z Calem. Ta melodia wydaje się żyć własnym życiem, jest mroczna, zawiła i dziwnie kusząca. Ramiona kroczącej przede mną Evangeline sztywnieją, gdy rozlegają się pierwsze osobliwe dźwięki.

Reprezentacyjne piętro okazuje się zaskakująco puste, mijamy po drodze jedynie paru strażników. Nigdzie nie widzę wartowników, którzy powinni zapowiadać obecność Mavena. Evangeline wbrew moim oczekiwaniom nie skręca w prawo, w stronę sali tronowej, do której wiodą okazałe, łukowato sklepione wrota. Rusza prosto, kierując się do innej aż nazbyt dobrze mi znanej komnaty.

Sala posiedzeń rady. Idealnie okrągła, marmurowa, wyposażona w wypolerowane do połysku drewniane meble. Wokół ścian ustawione są fotele, a w samym centrum na zdobionej posadzce widnieje godło Norty, Płonąca Korona, wykonana z czerwonych, czarnych i srebrnych elementów, o czubkach zakończonych płomieniami. Kolana uginają się pode mną na ten widok i na chwilę muszę przymknąć powieki. Kocica przeciągnie mnie przez salę, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ja jednak nie zamierzam otworzyć oczu i pozwalam ciągnąć się na łańcuchu, byle tylko nigdy więcej nie oglądać tego miejsca. Tutaj umarła Walsh. Pod zamkniętymi powiekami staje mi jej twarz. Wytropiono ją jak zającą. Do sfory, która ją zaszczuła, należeli Evangeline, Ptolemeusz i Cal. Złapali Walsh w tunelach pod Archeonem, gdy wykonywała rozkazy Szkarłatnej Gwardii. Znaleźli ją, przyciągnęli tutaj i oddali w ręce Elary, aby poddała ją przesłuchaniu. Królowa jednak nie zdążyła się włamać do jej umysłu. Dziewczyna zabiła się. Na naszych oczach połknęła truciznę, żeby ochronić sekrety Szkarłatnej Gwardii. By ochronić mnie.

Gdy muzyka staje się trzy razy głośniejsza, znów otwieram oczy.

Sala posiedzeń zniknęła, ale widok, który ukazał się zamiast niej, jest jeszcze gorszy.

PODZIĘKOWANIA

Jestem dozgonnie wdzięczna mojemu niestrudzonemu zespołowi, dzięki któremu toczy się do przodu ta moja maszyna zwana Czerwoną Królową. Na szczególne podziękowania zasłużyli: oddział New Leaf, a zwłaszcza: Suzie Townsend, Pouya Shahbazian, Danielle Barthel, Jackie Lindert, Kathleen Ortiz i Jess Dallow, którzy ratują mnie od szaleństwa i chaosu i są niezastąpieni w mojej karierze wydawniczej; wszyscy w Harper-Teen, od redaktorki Kristen „Kłękaj albo krwaw” Pettit przez wspaniałą Margot Wood aż po Elizabeth Lynch, dzięki której wszyscy pracujemy bez wytchnienia; zespół filmowy Benderspink, Daniel, JC i Jake’owie; moja rodzina i przyjaciele, którzy znoszą mnie jakoś nawet podczas pisania. I oczywiście każdy nauczyciel, bibliotekarz, księgarz, pisarz, bloger, dziennikarz i czytelnik, który postawił *Czerwoną Królową* na swojej półce lub włożył ją w czyjeś dłonie. Liczy się każda pomoc i jestem wam za nią niezmiernie wdzięczna!

PRZEKLETA KORONA

Tytuł oryginału: *Cruel Crown*

QUEEN SONG Copyright © 2015 by Victoria Aveyard
STEEL SCARS Copyright © 2016 by Victoria Aveyard

Copyright © for the translation by Maria Smulewska-Dziadosz

KRÓLEWSKA KLATKA

Tytuł oryginału: *King's Cage*

Copyright © 2017 by Victoria Aveyard

Copyright © for the translation by Adriana Sokołowska-Ostapko

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska, Wojciech Karkoszka

Cover art © 2016 by John Dismukes

Cover design by Sarah Nichole Kaufman

Adaptacja okładki na potrzeby wydania polskiego: Andrzej Sierak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Magdalena Adamek / d2d.pl

Korekta: Katarzyna Gniewko / d2d.pl,
Jadwiga Makowiec / d2d.pl

ISBN 978-83-7515-684-3

moondrive

www.moondrive.pl



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

